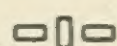


HETMANI

Odbito 25 egzemplarzy na papierze czerpanym
liczbowanych od Nr. 1 do 25.

JÓZEF WEYSSENHOFF



HETMANI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Haga, koniec maja 1899.

Dobrze wybrali sobie miejsce obrad rajcy powszechnego Pokoju. Hrabiowska Haga — Haga Comitum — jest ideałem letniego mieszkania dla ludzi pragnących wczasy swoje przystroić w pozory pracy historycznej, dla miłośników dobra ludzkości na odległość, dla dyplomatów niezmordowanych w wyrabianiu szanownego frazesu, osłaniającego własną i cudzą dążność do pilniejszych potrzeb — do złota i panowania.

Ostatecznie i ja, który tu przybyłem nie dla powszechnego, lecz dla własnego spokoju, mam zamiary podobne do tych delegatów Potęg. Nietylko kolegować będę z łaciastemi krowami na szmaragdowych pastwiskach, nietylko patrzeć na wiatraki strzegące przesolonych eterów, nietylko leżeć pod błękitem na piasku nadmorskim w Scheveningen, ale i łudzić się pragnę, że moje wakacye holender-

skie przyniosą pożytek, mnie i ludzkości, w postaci np. nowej książki.

Co za rozkosz nie być zależnym od skazówki zegara, który o $9^{1}/_{2}$ wysyła do biura kolei, choćby deszcz lał, jak z warszawskiego dziennika, choćby cię wcielona Afrodyta zaplotem ramion trzymała przy porannej, pocałunkami osłodzonej, kawie! Tutaj, póki łagodne słońce rozświeca kraj ten najcichszy i miasto smaczne od czystości, mogę żyć pod niebem. Gdy mi zagorąco, lub zawietrzno, mam przytułek w takim Mauritshuys'ie, gdzie jest tylko 30 obrazów Rembrandta obok doboru innych płócien. A kiedy i tem się nasycę — bo nawet rudy, jak słońce, Rembrandt może się przejeść na czas krótki — mam ten mój pokój, wysoką, narożną latarnię wzniesioną ponad miastem, w którem sklepikarz miejscowy i urzędnik warszawskiego biura kolejowego i ambasador Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości używają tych samych »hrabiowskich« przywilejów, tak cała Haga urządzona jest i wystrojona dla mieszkającego tu, lub przyjezdnego obywatela.

Z okna, przy którem piszę, widzę miejską z murów koronę Binnenhof'u, rozległą, na jednym z miastem poziomie osiadłą, a przy niej mistyczny staw, Vijver, klejnot oprawiony w cień murów, świeci polerowaną ciemnią. Tylko łabędzie prowadzą po nim nikłe, prze-

padające drogi blado-błękitnego światła. Cicho z tej strony, głęboki mrok tchnie świeżością, a księżyc górny łamie swą poświatę na żebrach wież i na surowych twarzach murów.

Gdy się opiję tęsknością — nie smutkiem — tego widoku, spoglądam przez drugie okno, pod kątem prostym do pierwszego. Tu miasto wieczorne żyje bez zgiełku, w harmonijnem zadowoleniu szczęśliwego po niestraconym dniu człowieka. Cały plac Lange Voorhout porastają ogromne wiązy i buki. Miękko po ubitym żwirze szemrzą koła powozów, krążą przechodnie świąteczni jacyś, jak na starych rycinach, przesadzających ład i ozdobę miast. Rama placu jaskrawsza, elektryczna, malowana różnobarwną cegłą wązkich a wysokich domów. Tylko biały »hôtel des Indes« świeci tą nijaką fizyognomią międzynarodową, którą się widzi wszędzie, jak wagon sypialny lub angielską czapkę. Ale i ten hotel uśmiecha się uprzejmiej, niż Palace-hotele i Bristole berlińskie lub szwajcarskie. Muszą w nim mieszkać nawet jacyś ciekawsi ludzie.

Słyszę poważny głos muzy: »Jeżeli myślisz, Tadeuszu Sworski, że ci pozwolę dalej pisać jakąś korespondencyę z Hagi po X groszy od wiersza, to się mylisz. Masz pisać dzieło wartościowe...«

Ciekawym jednak, co mi każe pisać ta moja Pani, której ślubowałem od lat dzie-

cinnych, i dlaczego nie wyraża się jaśniej? Dlaczego, wzbudziwszy we mnie umiłowanie literatury, nie postara się, przez swe olimpijskie protekcye, o inny los dla mnie, niż los urzędnika biura kolejowego w Warszawie? Wprawdzie to stanowisko nieodłączne od powołania polskiego literata, który przecie z samej literatury utrzymać się nie może w kraju analfabetów, jak nie zdoła nikt wyżyć ze sprzedaży futer na Saharze. A ja jeszcze nie umiem pisać na sprzedaż; mam pretensyę, pisząc, być z samym sobą w zgodzie, wypowiedzieć się jak najszczerzej i do głębi myśli; bawi mnie wynalazek wyrazu lub tonu, jednak dla formy nie lubię paczyć kierunku myśli.

Nie chcę dziś myśli swej rozcieńczać w urojonych obrazach, ani używać magnetyzerskich ruchów autora, sprowadzających suggestyę na czytelnika. Sprobuję spisywać własne przeżycia, stać się postacią główną mego opowiadania. Cóż lepszego dodać można do literatury niż duszę własną najmocniej, najszczerzej wyrażoną słowami?

Długi wywód, aby dojść do tego wniosku: Muza każe mi pisać pamiętnik. Co z tego będzie? — nie wiem dokładnie, ale czuję, że moje pragnienie twórcze musi dzisiaj zadowolić się w tej formie.

Młody jeszcze jestem, nie żyję wspomnie-

niami, oczekuję życia. Cokolwiek ono mi przyniesie, postaram się ująć rozwagą i wyrazem. Pisać będę dla siebie — to prawda; ale i w przewidywaniu, że ktoś kiedyś czytać mnie będzie — to także prawda. Człowiek, który bierze za pióro, widzi zawsze przed sobą chociażby cień czytelnika — to już prawda absolutna.

Tego więc możliwego czytelnika nie będę rozrzewniał wspomnieniami z lat dziecinnych, szczegółami o wychowaniu i stosunkach rodzinnych. Rodziny prawie nie mam, od małżeństwa bronię się jeszcze skutecznie, pomniczka rodzinnego nie buduję.

Jeżeli sięgnę czasem do szczegółów mojego przeszłego życia, to dlatego, żeby objaśnić pewne strony mojej bieżącej ewolucyi, której pragnę się przypatrywać.

Pochodzę ze szlachty, jak wszyscy u nas. Czasy są demokratyczne, ale proces demokratyzacyi przeprowadza szlachta. Jest to ruch bardziej wyrozumowany, niż żywiołowy. Tytanów z ludu, wogóle tytanów brak zupełny. Przeciętni obywatele kraju, zarówno sumienni, jak spekulanci, idealizują i popierają nowy rzekomo ustrój społeczny, erę ludową, przeważna zaś część tych pionierów jest ze szlachty — i pionierowie nie myślą wcale ustępować z widowni. Po dawnemu — uszlachcają lud i mieszczaństwo, a choć się to dzi-

siaj inaczej nazywa, rzecz pozostaje bardzo podobną: tworzy się nowa warstwa równouprawnionych i uświadomionych obywateli, która dawniej nazywała się szlachtą. Członek tego nowego wyboru obywateli zowie się postępowcem, demokratą, ludowcem — denominacya nie jest ustalona — ale ci wszyscy razem mają wszelkie cnoty i narowy dawnej szlachty: cnotę czujności na sprawę publiczną i patryotyzmu; narowy różne, a przedewszystkiem ten: każdy pomysłowy »demokrata« chce być wojewodą w nowej rzeczypospolitej.

Jeżeli co pozostało z zalet starego szlachectwa to dziedziczność kultury — i na tem polega dotąd wartość pochodzenia od wybitnych osobistości. Cnota, rozum, geniusz słabo się przekazują przez krew z ojca na syna choćby dlatego, że wpływ co najmniej połowiczny ma tu szereg matek. A przytem jest rozpaczliwa statyka w generacyi ludzkiej, zwłaszcza co do siły intelektualnej: gdy jedno lub dwa pokolenia wysilą się na indywidua wybitne, trzecie wyda niewątpliwie choć jednego idyotę lub kilku potomków tak wązko-głowych, że nie zachowają nic z siły twórczej przodków, zato z ich wad stworzą potworności, z ich zasług — pretensye do przywilejów w społeczeństwie.

Realniejszą doniosłość ma ciągłość kultury w jednej rodzinie; dziecko i młodzieniec, o ile nie zrywa stosunków z rodzicami, przejmuje od nich osobiście dużo przyzwyczajeń z zakresu etyki i estetyki. Ale znowu dziedziczność kultury znacznie osłabła z powodu zachwiania i rozpierzchłości nowoczesnej rodziny. Jednem słowem — nazwisko, tak zwana »dobra krew« znaczy jeszcze trochę w świecie, lecz coraz mniej.

Co do mnie — znudziło mi się już być szlachcicem. Mówię to szczerze i wyznam równie otwarcie, że poszukiwałem dawniej dokumentów do historyi mojej rodziny. Znalazłem, że Sworscy już w roku 1501... Daruję ten wywód czytelnikom, wiem bowiem, że nikomu, oprócz Sworskich, przyjemności tem nie sprawię. Najwyżej ktoś mnie pognębi swoją pochodzistością od dużo dawniejszych i znakomitszych przodków.

Drugi, nie znajdując nic na poparcie przekonania, jakie ma o wyższości swego własnego szlachectwa, rzuci się w pokorę, aby i mnie w niej utopić — i rzecze:

— Czemże my wszyscy wobec takich Tenczyńskich!

Trzeci, radykalny niby demokrata, ciężki walec szosowy do przytłaczania wszelkich nierówności na drodze postępu, »gwiżdżąc« na szlachtę, wspomni mimochodem, że liczy w sze-

regu swych przodków burmistrzów, uczonych i humanistów, którzy w roku 1501 i t. d. Chyłkiem więc, inną drogą, doszedłszy do pożądanego oparcia się o krawędź wieków średnich, okaże wymownie, że wszystkie te dziedziczne zaszczyty poświęcił dla ideałów jakobińskich.

Nietylko z powodu, że szlachectwo moje wygląda skromnie wobec wybujałych genealogii mego bajecznie szlacheckiego kraju, ale dla innej jeszcze przyczyny znudziło mi się być szlachcicem: zadużo widziałem karykatur wielkich panów.

Dawniej »wielki pan« był jedynie wybujałym okazem szlachcica-obywatela, gdyż nie znaliśmy ani feudalizmu, ani zasadniczej różnicy prawnej między mniejszą a większą szlachtą. Dopiero przed upadkiem Rzeczypospolitej zaczęła się arystokracya wyodrębniać i osamotniać, dzisiaj zaś doszła do karykaturalnej swej doskonałości. Nic jej nie wiąże ze sprawą narodu, tylko posiadauie na miejscu, w kraju, wielkich obszarów ziemi. Oprócz paru wyjątków, skąpiec, zdzierca i kosmopolita są typami charakterystycznymi tej koteryi, odłączonej już nawet przez haniebne tradycye stuletnie od narodu. Ta »wielka« szlachta odstręcza mnie od szlachectwa wogóle. Narodową *gentry* wypada już dzisiaj nazwać inaczej, choćby dla przyzwoitości.

Moich uczuć obywatelskich nie podejmuję się streścić w kilku zdaniach. Gdy się jednak nad sobą zastanawiam, stwierdzam w sobie rdzeń zwykłego u nas typu: jestem wyznawcą idei polskiej, rodzajem zelanta panującej u nas, powszechnej, lecz nie dogmatycznej i zbyt luźno związanej z życiem religii: polskiego patryotyzmu. Uczucie to wyrobione, posunięte często do niezrozumiałej dla cudzoziemca żarliwości i potęgi, ma wszelkie cechy religii.

Nie dlatego tylko, żeśmy w poezyi i filozofii poetycznej *nominatim* ubóstwiali Polskę i że dotychczas tchnie z wielu naszych pieśni i rozpraw messyanizm, ale i dlatego, że nasz patryotyzm nie jest tem samolubstwem zbiorowem, które cechuje narody tłuste i szczęśliwe, lecz umiłowaniem idealnem, trochę kobiecem w rozumowaniu, choć tyle razy męzkiem w skutkach. My rzadko zmierzamy wysiłkiem rąk i myśli do ogólnego dobra; krzepimy się raczej wiarą w naszą nieśmiertelność narodową i czekamy cudu. Z przyrodzenia uczuciowi i religijni, wszczepiliśmy w siebie głęboko niektóre cechy katolicyzmu: cudowność i proroctwa o zwycięstwie sprawiedliwości; mniej w nas wrosła etyka chrześcijańska; a już dogmatyczność i dyscyplina kościelna wcale nas nie pociągają.

Jednak mój uczuciowy stosunek do ojczy-

zny przekształcił się znacznie, — a może tylko ojczyzna tak mi się w oczach przemienia? Wcale inne miałem pojęcie o moich ziomkach z nauk macierzyńskich i z nauk naszej optymistycznej historyografii: rycerzami byli za wiarę i wolność. Gdzież oni są, gdy się ich dzisiaj szuka i pragnie oprzeć się na nich? Niema ich pomiędzy szlachtą bogatą, zwyrodniałą w egoistycznych kapitalistów, ani pośród masy szlachecko-mieszczańskiej, której celem życia jest »lepsza posada«, ani nawet pośród ludu, który wciąż się budzi, ale naprawdę jeszcze śpi. Są tu i ówdzie obywatele... z aspiracyami; jeszcze trudniej zdybać pracowników społecznych; a już pracy zbiorowej, zorganizowanej niema prawie śladu.

Więc i moja miłość ojczyzny, jest bezcielesnem jakiemś umiłowaniem losu wspólnego, który właściwie zasługuje na przekleństwo, solidarnością więzienną, rozczuleniem pozbawionem dumy i nadziei — albo tylko złączeniem w nienawiści dla sił nam przeciwnych. Ten patryotyzm nienawiści jest może najsilniejszą jeszcze pobudką działania dla dobra ogółu. Więc powołaniem Polaka pozostaje, obok pracy na chleb, negatywna praca obrony swego istnienia narodowego zapomocą oporu, walki, a w braku sił i urządzeń normalnych, zapomocą spisku? — — Chyba że czasy nastaną inne?

Otom się złowił na wyznaniu wiary w cuda. Nie chcę dłużej pisać o sobie, jak o jakimś organiźmie skończonym, zamkniętym już dla ewolucyi. Odbijać się wolę w przemianach bieżącego życia. — Niech płynie życie!

---

1 czerwca.

Poszedłem dzisiaj na obiad do hotelu *des Indes,* gdzie jadają uczestnicy »konferencyi Pokoju« ze swojemi paniami. Widok nie codzienny dla mnie, bo kosztowny, ale wart kilku dodatkowych guldenów za swą niezwykłość i barwność. Stoły przedstawicieli mocarstw oznaczone są chorągiewkami odpowiednich barw narodowych, zatkniętemi w bukiety. Więc dla świeżego przybysza prawdziwa to gra etnograficzna, pocieszna i poglądowo-nauczająca. Już chodząc po ulicach, nauczyłem się rozróżniać zamieszkania delegatów po wywieszonych z balkonów różnobarwnych sztandarach. Miniaturowe powtórzenie tych samych znaków w restauracyi nasuwa myśl, że babilońska rozterka języków i narodów da się ułożyć w koncert na powietrzu i w sali jadalnej.

Bawiło mnie to zrazu, że odróżniam bez możliwej pomyłki przyrodzoną sztywność

Anglików od naśladowanej angielszczyzny Rosyan; wytworną swobodę Francuzów od hałaśliwego rozbijania się Amerykanów; znośną dla widza dumę Latynów od oburzającej nadętości Prusaków.

Oglądałem ja, ale i mnie oglądano; ja zaś nie miałem do okazania swej narodowej chorągiewki. Jedynym też byłem samotnikiem przy osobnym stole. Zapadłbym w ponure usposobienie, gdybym nie spostrzegł, że mam właściwie w sali znajomych — pana Wawrzyńca Latzkiego — Excellencyę! — z córką. Niemcy, polskiego pochodzenia. Dwa razy w życiu spotkałem tego matadora, w Warszawie i w Berlinie, córki nigdy; wiem tylko, że Latzki ma córkę jedynaczkę i to jest pewno ona, bo nawet podobna do ojca, o ile taka ładna główka dwudziestoletnia może przypominać poważną, trochę gorzką, trochę otłuszczoną i łysą głowę Excellencyi. Ukłoniłem się tylko zdaleka, bo moje miejsce w sali wypadło mi na przeciwnym krańcu przekątni.

Latzki bierze zapewne udział w konferencyi, czego dowodem jest chociażby to, że jako trzeci przy stole siedzi, zdaje się — William Thomas Stead (szkoda, że nie zapytałem starszego kelnera). Przypuszczalny Stead — apostolska głowa — jest w koperczakach do panny Latzkiej. Widzę tę trójkę malowaną w przeciwległym końcu sali, bo słów dosłyszeć nie

mogę. Rozmowa trwa ciągle między Stead'em i panną. Ojciec uśmiecha się tylko aprobacyjnie do córki. A ta mała musi być srodze wygadana i próbuje zabawnie swego wdzięku na podstarzałym działaczu, który odpowiada z zadowoleniem i zaczyna szkicować torsem jakieś pozy gladyatorskie. Kwiatek różowy, podany mu przez młódkę, waży w ręku i wącha. Apostoł pokoju wydaje się zaniepokojonym.

Tęga głowa ten Latzki; i, o ile sądzić można z jego odezw w słowie i druku — nasz przyjaciel. Choć bierze udział w rządzie pruskim, należy do liberałów i przysłużył się nam już parę razy w dyskusyach o komisyi kolonizacyjnej. Ekonomista też silny; ma podobno grube pieniądze.

- - - -

2 czerwca.

»Rudy, jak słońce, Rembrandt!«. Podoba mi się to określenie, wynalezione przedwczoraj; trzeba je będzie kiedy wydrukować.

Znowu całe popołudnie aż do zmierzchu spędziłem w galeryi Mauritshuys'u, jednak nie sam, — o czem w następstwie.

Miasto Haga, jeżeli dba o sławę swoich skarbów z dziedziny malarstwa, powinnoby dla Rembrandta obmyśleć pomieszczenie w osobnym gmachu. Nie wiem, czy Rembrandt stałby się przez to sławniejszym i bardziej jeszcze źródłem rozkoszy oczu, ale nie gnębiłby tak niemiłosiernie swych spółczesnych rodaków. Ostatecznie wszystko, co tu jest *hors ligne,* powstało z tej żyznej ziemi w XVII wieku. I, gdyby zasłonić trzydzieści płócien mistrza van Rijn, człowiekby miał harmonijną gamę zadowoleń, wznoszącą się aż do Halsa i Jana Vermeer; miałby czas i ochotę pobawienia się w karczmie z Adryanem van

Ostade i w kurniku z Janem Steen'em, i oddychałby pełną piersią krajobrazami Ruysdael'a, Vermeer'a. Zapadłby człowiek w ten stan artystycznego zadowolenia, pokrewnego z wrażeniem komfortu, które daje szkoła holenderska. To dobre, to bardzo dobre, a to jeszcze lepsze — tobym sobie zawiesił w pracowni, a to w jadalni, a to w łazience. — Dopiero Rembrandt, zwłaszcza w takiej ilości i rozmaitości okazów, jak tutaj, przenosi w dziedzinę wielkiej sztuki; zadawalniając oczy niezrównanym kunsztem, myśl gdzieś niesie aż do wynalazków w treści wiecznego życia, aż do umiłowania kraju, który wydał takiego twórcę. I blednie dobre wspomnienie Steen'ów, nawet Vermeer'ów i Halsów.

Wrażenia moje z galeryi zostały dziś pomnożone przez towarzystwo innej osoby, niezbyt fachowego znawcy, ale jakiego temperamentu!

Zaledwiem wszedł do sali, w której wystawiono kilkanaście płócien złotego mistrza, patrzę, aż... (nie mogę inaczej napisać, patrzyłem bowiem, aż głupio musiałem wyglądać w tej chwili zdziwienia). Idzie prosto do mnie owa panna z wczorajszego obiadu w hotelu »des Indes«, ale bez ojca, bez Stead'a, bez nikogo — sama i ta sama. Suknia tylko inna, sportowy jakiś strój; włosy obfite, barwy dojrzałej pszenicy, uśmiech ożywiający nawet

starców, oczy czarne bez wahania we mnie wymierzone. Zbliża się, podaje mi rękę i przemawia po francusku:

— Nazywam się Hela Latzka.

Tadeusz Sworski.

Głęboki ukłon i dalej nic. Pozostawiłem jej inicyatywę rozmowy.

— Ojciec mi mówił, że pan jest literatem i zna się na sztuce — najlepszy kompan w galeryi.

Nie zapisuję mych pierwszych odpowiedzi, bo były pod każdym względem niedostateczne.

— Jestem poniekąd rodaczką pana. Pochodzimy z Polski — pan wie?

Znowu ukłon mój. Trzeba było odpowiedzieć, że to pochodzenie, gdy się jest funkcyonującym obywatelem pruskim, należy do zabytków archeologicznych. Albo — że miło się przyznać do jakiejkolwiek spólności z tak ładną panną. Wszystko to jednak pozostało w projekcie. Zapytałem tylko:

— Czy pani sama przyszła do galeryi?

— Sama. — Tak zwanych dam do towarzystwa nie znoszę. Są obowiązkowo nudne, a przytem upokarzające i dla osoby, której towarzyszą i dla kraju. W kraju cywilizowanym młoda osoba nie bywa przecie napastowana przez mężczyzn?

— W zasadzie tak być powinno.

— A przytem damy do towarzystwa przypominają najczęściej owe inne panie...

Nie śmiałem rozumieć.

— Wie pan? — — *les appareilleuses.*

Potakiwałem wesoło, ukradkiem śledząc wyraz tej dziwnej panny. Mówiła żywo, ale z godnością; wyglądała też dziewiczo, pomimo swego »uświadomienia«.

Przeszliśmy do oglądania obrazów, przyczem łatwiej mi już było trzymać prym w rozmowie. Nie jest to jednak pokorna słuchaczka ta panna Hela. Staliśmy właśnie przed obrazem Rembrandta: »Dawid grający przed Saulem«.

— To niewykończone — odezwała się.

— Bardzo szeroko malowane — poprawiłem. Wynik jest już osiągnięty w rysunku i w barwie. I nietylko mistrza techniki poznajemy w tym wyniku, ale możemy iść za myślą wielkiego twórcy. Niech pani patrzy, jak ten młody Żyd utonął w swoim psalmie, jak głęboko patrzy, zezując trochę, w swoją wizyę poetyczną i zdaje się cierpieć namiętnie od nadmiaru rozkoszy. Gra dla siebie, nie dla króla — — *Ich singe, wie der Vogel singt, der in den Zweigen wohnet* — zaryzykowałem cytatę po niemiecku.

Panna patrzyła uważnie na mnie, nie na obraz; wreszcie rzuciła okiem na młodą postać grającego Dawida:

— Brzydki chłopak — — a obraz, pomimo wszystko, nieskończony. Niech pan zauważy naprzykład płaszcz Saula. — — Teraz chciałabym zobaczyć z panem »Lekcyę anatomii«. Przez szereg sal zaprowadziłem moją krnąbrną towarzyszkę do słynnego obrazu Rembrandta, zajmującego całą ścianę w osobnym gabinecie.

— Czy pani to już zna?

— Znam z fotografii. W galeryi jestem po raz pierwszy.

— I jakież wrażenie? – Teraz ja będę słuchał, a potem będę z panią dyskutował.

— Widzę, że pan przewiduje z góry dyskusyę. A zgodzić się to nigdy nie potrafimy? Twarz jej, zwrócona do mnie z wyrazem jakimś bolejącym przez wcale zmysłowy uśmiech, przypomniała mi nagle twarz młodego Dawida. Dlaczego? — nie umiałbym wytłomaczyć. Czy włosy jej rudawe, na które padał rywalizujący z Rembrandtem górny promień, czy natchnienie jej czarnych oczu? — — Odpowiedziałem po chwili zapatrzenia, że bardzo pragnąłbym zgody między nami.

— I jakież pierwsze wrażenie obrazu? — powtórzyłem.

— No — — ten trup rozciągnięty na stole — — on się podobno obraca za widzem? zaraz, panie. — —

Przeszła po parę kroków w prawo i w lewo.

— Nie — to inny się obraca — taki, który leży piętami wprost do widza. Zdaje się, że jest w Amsterdamie.

— A wie pani, że ja o tym trupie prawie zapominam, gdy patrzę na obraz.

— Jakim sposobem? Przecie to główny temat.

— Nie dla mnie. Ja tu, oprócz grupy portretów, co innego widzę. To jest obraz działania nauki na rozmaite umysły ludzkie.

— Aha, więc to portrety? Czy wie pan, czyje?

— Przypadkiem wiem — chociaż i to do wrażenia rzecz podrzędna...

— Jak dla kogo. Ja lubię wszystko wiedzieć dokładnie. Niech mi pan nazwie te postacie.

Naszkicowałem małą prelekcyę:

— Więc ten, który stoi na prawo, profesor anatomii Mikołaj Tulp, przyjaciel osobisty Rembrandta, wzrokiem wychodzi poza audytoryum, ogłasza światu odkryte przez siebie prawdy. To powaga nauki, niezachwiana teorya, kapłaństwo, wiara w naukę — albo, razem wziąwszy, to uosobienie nauki. A słuchacze przyjmują tę naukę każdy według rodzaju swego. Niektórym, np. tym na lewo, słowa profesora zaledwie obijają się o uszy. — — Myśl główna streszcza się w trzech

głowach pośrodku obrazu, nachylonych ku leżącemu na stole demonstracyjnym trupowi. Najniżej ten — Matyas Kalkoen — to słuchacz pospolity, ciekawy nowości, ale i niewierny. Proszę patrzyć — zdaje się chcieć nosem namacać teoryę mistrza na okazie anatomicznym.

— Głupia twarz — wtrąciła Hela.

— Rzeczywiście, wcale nie lotna. — Drugi przy nim — Jakób de Witt — wpatrzony w profesora, skupia wszystkie swe władze umysłowe, aby zapamiętać słowa i objąć teoryę. To będzie spisywacz, uczeń wierny, może biograf mistrza.

— Najlepiej mi się podoba ten trzeci, ze środkowej grupy, u góry.

— Tu się zgadzam z panią najzupełniej. Ten Jakób Blok to jedna z najciekawszych dusz ludzkich, utrwalonych w malarstwie. Oddźwięczna i rozumna twarz drga od powiadomień otrzymanych, a zarazem myśli już samoistnie, syntetyzuje, roi jakąś dumę o losie ludzkim, pełną serdecznej mądrości. To poeta w tem towarzystwie uczonych.

— Dobrze pan mówi o malarstwie; miałam szczęśliwy instynkt, żem tu dzisiaj przyszła. I widzi pan, że się możemy zgodzić. Ten obraz jest malowany przez mistrza!

— Ale tamten, Dawid przed Saulem, jest jeszcze lepiej malowany — spierałem się da-

lej, bom się już uparł, żeby w tę przekorną główkę wpoić jakieś pojęcie czysto malarskie.

— Gdzież tam! — zawołała — niech pan patrzy, jak tu wszystko skończone, jak te postacie występują z ramy!

— Tak — — ale wielki, jedyny Rembrandt jest tutaj tylko w pomyśle ogólnym, w kompozycyi. Mógłby ten obraz, podług jego szkicu, namalować np. Frans Hals, a samego trupa np... Mantegna. Dawida zaś, z tem bogactwem barw i światła, jeden tylko na świecie Rembrandt mógł wykonać.

Nie sprzeczała się już panna Latzka, ale czułem, że tylko przez towarzyską uprzejmość zamilkła.

Weszliśmy potem w dzieła innych Holendrów, przyczem starałem się odciągać moją przygodną uczenicę od podziwiania tematów i »wykończeń«, a zajmować ją głównemi zaletami malarstwa — wypowiadaniem się duszy artysty przez linie i barwy. Zauważyłem, że najlepiej odczuwa krajobrazy. Nowożytna kobieta! Pociąga ją sztuka dająca łatwiejsze i bezpośredniejsze wzruszenia, bardziej zbliżone do wzruszeń czysto zmysłowych, płynących do nas od przyrody. Ponieważ galeryi, nawet stosunkowo nielicznej, nie można przejrzeć ze smakiem w jeden dzień, wyszukiwa-

liśmy już same tylko krajobrazy. I o tym rodzaju rozprawialiśmy do końca.

— Widział pan tu muzeum Mesdaga?

— Byłem raz, ale jeszcze powrócę.

— Ze mną — dobrze? Tam ja będę ceceronowała, tam byłam już parę razy i znam wogóle dużo peizażystów. Corot! Rousseau! co za malarze!

— Majstry — odpowiedziałem. Są i tutejsi nowsi niepospolici: Mesdag, Maris'owie, Mauve...

— A Israels, panie! Ja go wolę, niż Rembrandta.

— Ja nie. Wielki malarz, to prawda, i bliższy nas tematami; ale żeby mi dawał tego gatunku wrażenia, co Rembrandt — nie powiem.

— A Böcklin? Nie lubi pan może Böcklina?

— Jakto, nie lubię?! — obraziłem się niemal. — Jeden z największych kolorystów świata i malarz z urodzenia, z duszy.

— Niech pan przyjdzie do nas w Berlinie; mamy dwa Böckliny, większy obraz i szkic. — I tu zapewne pan nas odwiedzi w hotelu »des Indes?«

— Niewątpliwie, pani.

Rozsypała się dalsza rozmowa o sztuce na wyliczanie nazwisk i dzieł bez ściślejszego związku myśli. Panna Latzka popisywała się

widocznie swą erudycyą, zauważyłem nawet, że gdy się czegoś dowiedziała odemnie, zaraz coś dobywała ze swoich wiadomości analogicznych, jakby chciała mnie przelicytować.

— Czy pan wie, że Rembrandt, kiedy sprzedawano z licytacyi jego dom i obrazy na Breetstraat w Amsterdamie, zniszczył parę swych portretów i skazany został za to na dodatkowe grzywny?

— Nie wiedziałem.

To znowu w jednej z sal, gdzie nisza miała poboczne kolumny jonickie, panna Hela rzekła, zatrzymując sie przed kolumną z powagą profesorską:

— Czy pan wie, jak się nazywa ten pasek, niby tasiemka pod samym kapitelem?

— Zapomniałem, proszę pani.

— Astragala.

— Bardzo dziękuję za przypomnienie — rzekłem, zniecierpliwiony. — A pani czy wie, jak się nazywała u Fenicyan kłódka do zamykania ksiąg mądrości?

— Pewnie... Hela? — odpaliła, spoglądając mi w oczy sprytnie i rozbrajająco.

Tu mnie pobiła.

Rozstaliśmy się w wybornej komitywie po parugodzinnym pobycie w eterach sztuki czystej i stosowanej do intelektualnego flirtu.

Wesoły incydent, nie pozbawiony orygi-

nalności. Możnaby tak zacząć powieść i dalsze rozdziały pisać tak zwaną krwią serdeczną... Ale nie będzie dalszych rozdziałów. Wcale inne mam zamiary w życiu, niż studyowanie tej zajmującej Niemki polskiego pochodzenia (?), która mi do życia tak potrzebna, jak np. świegotliwy ptak w pracowni.

Wiem teraz, co jest w tej pannie podobnego do Dawida: kolorystyczność. Te włosy rude rzucają na płeć jej złoty refleks; jest różowa, oświetlona śniadością. Oczy może za czarne? nie umiałyby głaskać spojrzeniem... Jednak, kto wie? Postać ma nowożytną, stworzoną do tualety. Niegdyś linia ciała była panującą w postaci kobiecej, dzisiaj — linia krawca. Pannę Helę można ubrać całą i... do połowy; stwierdziłem to we wczorajszym stroju wieczorowym i w dzisiejszem przybraniu angielskiem, przeznaczonem do ruchu i sportu. Jest w niej zawsze coś z gibkości i falowań węża. Może to właśnie kształt kobiety pierwotnej, rajskiej, a kanon grecki to stadyum rozwoju późniejsze, które coś z ponęty ustąpiło na rzecz siły? Tylko to pewna, że panna Hela znacznie się różni od kanonu greckiego. Choćby ten nosek trochę gruby, wietrzący ciekawie. I nic ze starożytnego spokoju w drgającej zmiennymi wyrazami

twarzy, w ruchach ciała bezkostnych, budzących grzeszną ciekawość. Ładne stopy i ręce...

Mój pamiętnik zaczyna być niedyskretny. Z tego jednak powodu nie straci na wartości ani dla mnie, ani dla tych, którzyby go mogli czytać. Nawet gdyby panna Latzka do rąk go dostała i zrozumiała, mam przeczucie, że nie obraziłaby się. Ona wyraża, wmawia, zachwala całą postacią to, co ja piszę pod jej ładnem dyktandem.

Haga, 12 czerwca.

Ludzie zblizka wyglądają zwykle inaczej, niż z oddalenia, a znajomość w obcem mieście postępuje dużo szybciej, niż z rodakami w rodzinnem.

Excellenz Lorenz (tak czasem ojca nazywa panna Hela) jest w codziennem pożyciu zupełnie dobrodusznym panem, lubi anegdoty, śmieje się z najstarszych i pozbywa się wtedy wszelkiej sztywności i goryczy. Zdawałoby się, że ten burżuj tylko pod klauzą jakiegoś niezłomnego kontraktu pracuje po 12 godzin dziennie, w Konferencyi, której jest członkiem, w różnych instytucyach niemieckich, z któremi nie traci styczności, siedząc w Hadze, utrzymuje owszem codzienne stosunki przez listy i depesze.

Bliższa moja znajomość z tą rodziną jakoś się zawiązała, dzięki pannie Heli, która twierdzi, że ją kobiece towarzystwo nudzi do mdłości, skąd wynika... że ze mną się bawi.

Latzcy znają tu oczywiście liczne grono dyplomatów z żonami i innymi anneksami. Jest też sporo młodych *attachés,* sekretarzy i t. p. bajecznie ubranych, często utytułowanych. Tem bardziej mi pochlebia wesoła i otwarta predylekcya panny Heli. Ale znowu duma mnie nie ponosi; traktuję te stosunki jako epizod wakacyjny.

Pan Wawrzyniec Latzki, który po śmierci żony wszystkie zasoby familijnej czułości przelał na swą jedyną córkę, pozostawia jej swobodę działania zupełnie amerykańską. Panna oświadcza naprzykład: jadę jutro do Haarlem'u — i to z panem Sworskim. I jedzie, spędza ze mną cały dzień, powraca późnym wieczorem. Wszystko w porządku.

Nie zauważyłem nigdy żadnego nieporozumienia między ojcem a córką; tak się ci dwoje rozumieją i aż drapieżnie kochają. Nie można ojcu zrobić większej przyjemności, jak wychwalając rozum, piękność córki, — a choćby jej gust w dobieraniu sobie klamer do pasków. A znowu córka mogłaby komuś przekornemu obrzydzić osobę ojcowską przez ciągłe zestawianie mierności świata z doskonałością ojca. *Excellentia* brana jest dosłownie w znaczeniu »doskonałość«. A panna Hela ma umysł wyraźnie satyryczny, lubi drwić ze świata, z wyjątkiem jednak... Excelencyi. Papa jest nietylko najmądrzejszy, ale

taki nieskończenie dobry, tak skrycie miłosierny, tak czujący wszystkie bóle świata i bolejący nad tem, że sam jeden ulżyć im nie zdoła. Nawet widać to w jego twarzy mądrze bolesnej. Ta twarz — to najpiękniejszy wzór dla malarza. Gdzież portrecista, któryby ją odtworzył? Żeby Hals, Rembrandt — i to nie.

Ja znowu niechętnie przełykam wierutną przesadę i pobudza mnie ona do przekory. Więc po nasłuchaniu się panegiryków przez pierwsze dni naszej znajomości, ośmieliłem się raz na drobny bunt i to w tak poślednim szczególe.

Zdarzyło się, żeśmy z panną Helą ujrzeli grupę członków Konferencyi schodzącą ze schodów gmachu obrad na... śniadanie. Wyglądali nie jak Olimpijczycy, jednak dość okazale do fotografii. Pan Latzki szedł obok jednego austryackiego księcia, którego postać wyniosłą i rycerską można w paru słowach tak określić, że wygląda, jak archanioł Michał.

A panna Hela:

— Niech pan patrzy, jak w tej grupie odbija postać mojego ojca. Ta powaga, a razem błogosławiąca dobroć.

— No — odrzekłem, książę *** ma także dużo rasy.

Tylem tylko powiedział, dodałem nawet

dla złagodzenia uwagi, wyraz »także«, ni w pięć ni w dziewięć, bo pan Latzki tego, co nazywamy pospolicie rasą, wcale nie posiada. Kark ma otłuszczony, tułów niezbyt zgrabny, a twarz jego wyraża dostojeństwo w każdym razie dorobkowe, nie dziedziczne.

Trzeba było widzieć pannę Latzką, przedzierzgniętą w córkę króla Lear'a, Gonerillę — gdzie zaś! — w panterę.

— Rasa?! co to jest rasa? — odezwała się jakimś nieznanym mi gardlanym głosem. — To pan jest jeszcze z tych, którzy cenią w człowieku słomę, nie ziarno, cudną atrofię mózgu wyzierającą z bezdusznych oczu, jaśnie oświecone niedołęstwo?... i t. d.

— Ależ wcale nie, moja pani. Wolno mi jednak wyrazić zdanie, że ten książę jest dekoracyjny.

Nie domówiłem nawet tłómaczenia, gdyż już panna Latzka, parsknąwszy pogardliwie, a nawet nie tak ładnie, jakby to mogła była uczynić, porzuciła moje towarzystwo i oparła się z ostentacyjną adoracyą o ramię ojca.

Drugiego dopiero dnia wieczorem otrzymałem od niej telefon, że »papa prosi na śniadanie na jutro, ale — koniecznie«. Zdobyła się nawet na tyle sprytu, że ani słowem, ani spojrzeniem nie przypomniała naszej sprzeczki, która pociągnęła za sobą tylko

przerwę osobistych stosunków na 48 godzin — przerwę niebywałą, widywaliśmy się bowiem dotąd dosłownie codzień.

Jedną z niedogodności tych amorów z Latzkimi jest, że Excellencya zawsze płaci za wszystkie wspólnie używane przyjemności: w restauracyi, w teatrze i t. d. Ledwie czasem uda mi się od tego wykręcić. Gdy zaś byłem w Haarlem'ie z panną Helą i musieliśmy coś zjeść popołudniu, nie pozwoliła mi zapłacić za siebie; zwróciła mi przemocą te kilka guldenów na jej wydatki przypadające, i to z najdokładniejszem obliczeniem kolei, restauracyi, biletów wejścia, aż do połowy napiwków. — Nie lubię tego, zwłaszcza w stosunkach z ludźmi przeważnie odemnie bogatszymi. Łatwiej już przyjąć »fundę« od kolegi.

Więc żeby uratować swą godność osobistą, urządziłem wczoraj śniadanie dla Latzkich, zebrawszy jeszcze parę osób z pośród wspólnych znajomych. Między innymi zaprosiłem młodego, bardzo wygadanego barona von Paugwitza »przywiązanego« tam gdzieś do czegoś w Niemczech, a tutaj do spódnicy panny Heli. Ona go traktuje sarkastycznie i jakby pogardliwie, jednak często można Paugwitza spotkać u Latzkich. Rozmowa przy tej uczcie streściła się do fechtunku między panną Helą, jedyną kobietą przy stole, a owym baronem.

Ona go pognębiała systematycznie pułapkami zastawionemi na jego ignoracyę w historyi sztuki i literatury on zaś, bynajmniej nie stropiony, udając nawet jeszcze większego ignoranta, niż jest w istocie, pozwalał umyślnie błyszczeć dowcipowi panny, a tylko na różne tony dawał do zrozumienia, że niczego tak nie pragnie, jak dostać się do niej na stałą naukę. Śniadanie było dla innych ogromnie nudne.

Oczywiście nie baraszkuję ciągle po restauracyach i po teatrach, dość zresztą marnych. Stary Latzki (nie tak znów stary ma 53 lata) zapoznał mnie z paru ciekawymi ludźmi, głównie z Niemcami. Spotkałem u niego i Samuela Sterna. Ten holenderski Żyd nie przypomina wcale naszych ani z typu, ani z przekonań. Pięćdziesięcioletni, szpakowaty, jowialny raczej z powodu zdrowej cery i żywych oczu, ale spokojny i stanowczy w twierdzeniach, jest patryotą holenderskim, a nawet amsterdamskim. Rodzina jego mieszka w Amsterdamie od XVI wieku, zsolidaryzowana zupełnie ze sprawami miasta, choć nie porzuciła wyznania mojżeszowego. Sternowie nie zapominali o swojej krescytywie, trudnili się zawsze i handlem i przemysłem, ale wznosili także gmachy użyteczności publicznej, zakładali szkoły nietylko wyznaniowe. Do ich tradycyi familijnych należy budownictwo doków i okrętów. I pan Samuel Stern jest budowni-

czym, a zarazem jakimś dygnitarzem w magistracie miasta Amsterdamu. W ustach jego przyimek »my« oznacza Holendrów, nie zaś Żydów. To się czuje odrazu. I mówi bez podstępu, ze spokojem i godnością człowieka, który przebywa w swojej, dobrze urządzonej ojczyźnie i ma w niej własne, określone i pożyteczne miejsce.

Upłynęło mi dziesięć dni ostatnich wesoło i z pożytkiem. Z pożytkiem? — — to się dopiero okaże. Poznawanie obcokrajowców jest w zasadzie nauczające; otwierają się w głowie perspektywy na cudze dobytki i drogi, któremi się do nich dochodzi; na własne niedostatki; albo czasem i odwrotnie. Mnożą się przykłady życia, powstają projekty konkretne. Od samego Latzkiego można już wiele się nauczyć. Jest to całą gębą Europejczyk, a przytem dobrze obeznany i z naszemi sprawami. Jego polskości nie biorę na seryo, ale musi mieć coś do czynienia u nas, bo zna i kraj nasz i dużo ludzi w nim i stosunki nawet takie, o których wie nie każdy urodzony Warszawiak. Zdają się go szczerze obchodzić Polacy, chociaż nie szczędzi im i uwag krytycznych. Twierdzi np. że my marnujemy swe siły na nieustanne walki klasowe i stronnicze.

— Pozbawieni — mówi — parlamentów i ciał autonomicznych, w których takie walki są poniekąd na miejscu, pożeracie się nawza-

jem w interesach ekonomicznych i w dziennikarstwie; psujecie robotę zbiorową, bo każdy, biały, czerwony lub czarny, chce postawić przedewszystkiem na swojem.

— Czy pan mówi o walce postępowców z reakcyonistami, czy może o wybuchającym u nas peryodycznie antysemityzmie?

— O jednem i o drugiem. Szlachta wasza — nie cała jednak — skłonił się uprzejmie, wskazując na mnie zaokrągloną dłonią — nadzwyczaj trudno się nagina do obowiązujących już nowych form demokratycznych, europejskich. Wasza tak zwana narodowa demokracya jest niby stronnictwem politycznem, ale nie mającem oczywiście nic do roboty. Jest w istocie czemś podobnem do waszych dawnych konfederacyi; skupiona około popularnych haseł, ale mająca tylko na celu swobodne buszowanie po kraju i przewagę nad ludem pracującym. Jest to dalszy ciąg szlacheckiej rzeczypospolitej, bez istotnych zadań, tylko z narowami i pretensyami. Taka zabawa w rząd narodowy dyskredytuje tylko waszą sprawę w Europie. Wszystkie wielkie ruchy nowe: emancypacya pracy, emancypacya myśli — zajmują waszą demokracyę bardzo słabo. Macie pomiędzy mieszczaństwem i inteligencyą ludzi nowożytnych; macie, oprócz nędznego proletaryatu żydowskiego, wielu wybitnych Żydów — ale

ci ludzie nowi pracują osobno, bo nieszczera demokracya odpycha ich. Taki Samuel Stern naprzykład, który w Holandyi, w Niemczech, w całej Europie jest typem pospolitym i nader cennym, u was jest niemożliwy. Waszym Żydom sami zabraniacie zostać polskimi patryotami.

Mówi ten Latzki rzeczy zimne i surowe, lecz trudne do zaprzeczenia.

Mniej pożyteczną stroną mego pobytu w Hadze jest, żem się rozbawił, że obcuję ciągle z warstwą ludzi, która wygłasza piękne lub mniej piękne teorye, jednak rządzi się, za wyjątkiem może Latzkiego, sybarytyzmem. A także Haga i cała Holandya dyszy porządkiem, spokojem i dobrobytem, demoralizującym poprostu warszawskiego urzędnika przy kolei, który ma inne jeszcze zamiary literackie i społeczne u siebie. Nie powiem, żeby zniechęcała do ojczyzny, ale pogłębia ból, oczekujący w domu, po powrocie. Nie jest to uczucie przyjemne, a nawet nie zupełnie szlachetne; miesza się do niego sporo zawiści do losu krain szczęśliwszych.

Można obronić się od zawiści, a tylko nachwytać się pożytecznych wzorów, pobudek pracy u siebie. Jednak w tym pamiętniku, który mi coraz poufniejszym staje się przyjacielem, wyznać muszę, że bez najmniejszej tęsknoty oczekuję dnia 15 lipca, w którym

stawić się będę musiał w biurze i usłyszeć powitalne:

— Jak się macie, kolego? Jakże tam Holandya?

Spisując, choćby najszczerzej, myśli i wrażenia, zawsze się trochę przesadza, bierze się na fis. Bo nie samą cnotą i obowiązkami społecznymi żyje człowiek, ale i... karmelkami holenderskimi, których każde tutejsze miasto ma specyalną odmianę.

A każde miasto Holandyi ma też inne, rzadsze rozkosze, naprzykład ogromne, z wyjątkową rozrzutnością gruntu urządzone parki miejskie. Taki Haarlem dla swych 70.000 mieszkańców ma park starszy, piękniejszy i chyba większy niż berliński Thiergarten.

A ten »gaj Hagi!« Gdzie on się zaczyna, gdzie kończy? — dotychczas nie zdaję sobie sprawy. Dla mnie zaczyna się od placu, przy którym mieszkam, w samem środku miasta, od Lange Voorhout. Stąd znam moją drogę aż do morza. Trafiam z domu bezpośrednio pod stare wiązy zasadzone na placu symetrycznie, w szachownicę zielonych ulic, pokrywające cały plac przezroczystym, miłym cieniem. I, oddalając się od korony miasta, od Binnenhof'u, dążę zawsze z przyjemnością przez parę ulic bezdrzewnych, porcelanowych. Niema innego przymiotnika dla ulicy Hagi, lub Haarlemu. Dom holenderski, najczęściej

niewielki, wązkim szczytem zwrócony do ulicy, postawiony na niej bez widocznego podmurowania, sprawia wrażenie tej znanej powszechnie zabawki z porcelany Delfckiej, powiększonej do rozmiarów mieszkalnych. Różowy, czerwony i zielony, z polewanych cegieł, bardzo rzadko okryty szarym uniformem tynku, barwi się i aż ocieka jasnością w słońcu, gdyż mury codziennie, a przynajmniej bardzo często omywane są strumieniami wody. Byłem świadkiem i tej wesołej, pachnącej operacyi, odbywanej wczesnym rankiem na spotkanie wchodzącemu do miasta słońcu. Śmieją się mury wyiskrzone, śmieją się ludzie, często oblani takim dyngusem, pluska się rozkosznie całe miasto. To też kurzu i brudu nie spotyka się tu wcale. Choć jesteśmy na północy, w klimacie zimniejszym, zajęcia ludzkie domowe obejrzeć można z ulicy, nie dlatego, żeby stoły jadalne i warsztaty wylegały na chodnik, jak we Włoszech, ale z powodu otwartych, albo przesłoniętych tylko kryształową szybą okien. W przedłużeniu chodnika, na jednym poziomie, widać często rodzinę krzątającą się we wnętrzu ula, lub zebraną wieczorem około lampy. Żywe Steen'y, Vermeer'y, van Ostade, co do typów twarzy bardzo podobne, w kostjumach ludu często jeszcze identyczne. Złoty koronkowy czepiec

spotyka się jeszcze na głowach matron nawet wyższych warstw towarzyskich.

Więc przechadzka moja, zwykle przedpołudniowa, rozpoczęta od wiązów pod oknami, wpada w parę ulic porcelanowych, następnie zaś w dziedziny, gdzie »gaj« zdaje się walczyć o miejsce z murami. Ni to gaj się zaczyna, ani miasto się kończy. Zieloność i świeżość w postaci drzew wyniosłych, trawników strzyżonych, kwietników jaskrawych (marzą się powieści o czarnych tulipanach z Delft i Haarlem, kosztownych jak klejnoty), wkracza to wszystko bujnymi zalewami, coraz przemożniej, w miasto. — Ale miasto jeszcze. Sznurem tu i ówdzie złamanym stoją domy, kursują elektryczne tramwaje. Wsiadam zwykle do jednego z wozów, bo zamiar mój daleki. Mknąc szybciej, łatwiej ogarniam śliczny plan tego siedliska północnych estetów, splecionego z zieleni i z polewanej cegły, rozwiniętego, jak tulipan, z cebulki zasadzonej w XVII wieku. Nareszcie gaj przemaga, nie gaj już, ale las, bukowina wspaniała, ziejąca wilgotnem tchnieniem z gąszczów.

Można ten las przelecieć w kwadrans prostą linią tramwajową, można też nurzać się w nim godzinami i zapaść w dzikie, pierwotne obcowanie z przyrodą, zapomnieć, że było się przed chwilą w mrowisku ludzkiem.

Znowu ślady wielkiego, gniotącego przyrodę swym przemożnym pochodem Człowieka. Domek, zgubiony w zieleni, maleńki, dla matki z dzieckiem — ojciec mieszka w puszczy. Ale owo i drugi domek, trzeci — uliczka — osada. — Czy zaczyna się znowu Haga? — Nie. Przez rozwidnione krawędzie boru świta niebo rozmarzone mgłą i w powietrzu czuć sól, jod — wiatr morski.

Nie widać morza, bo je zasłaniają piasczyste żdżary, a na nich rozrzuciło się bezdrzewne, jarmarczne, kąpielowe Scheveningen. Dalej, pomostami wkraczając zapewne w fale, których lewiatanowy oddech już słychać, piętrzy się grupa wysokich, lekkich, powietrznemi galeryami wiązanych gmachów, niby paradne, piętrowe okręty zapraszające do morza.

Szybko idę przez tłum znajomy z chromolitografii, rzeźwy, wykąpany, flanelowy — i docieram do granicy, gdzie mnie czeka ono, niezdeptane stopą, jedyne do pełnej rozkoszy. Znam już miejsce, gdzie przystąpić można samotnie do przeciągającej się w rytmie fal Bogini. Zwykle, gdy do niej przystąpię, porywa się mewa w bryzgach opalowych białym płomieniem ku niebu.

Jeszcze jedno niebezpieczeństwo tutejsze — morze! To zdrowie fizyczne, które z niego przez powietrze się leje, ta abstrakcya od

ziemnych robót i zabiegów, ta pokusa życia w bezmierze i beztrosce, roztopionego w medytacyi o wiecznie powracającej fali — czynią mnie większym niby człowiekiem, ale zimniejszym obywatelem. Gdybym zamieszkał nad morzem, zginąłbym dla pożytku społeczeństwa. Stałbym się rybakiem-filozofem, którego myśl i praca pozostawałaby pomiędzy nim, a morzem. Żywilibyśmy się nawzajem; jabym swoje traktaty i poematy rzucał do tej wiecznej wody.

Coś podobnego powiedziałem raz pannie Heli, gdy tu z nią byłem. Odrzekła:

— Nie zaburzyłoby to wody.

Panna Hela nie jest towarzyszką do marzeń nadmorskich.

Haga, 17 czerwca.

A tom się dopiero ubawił przeszłej nocy! Byłem z Latzkimi w teatrze. Hela w tak zalotnym humorze, jakby mnie chciała doprowadzić do kapitalnego głupstwa. Bo głupstwem ze wszech miar byłoby oświadczenie jej moich afektów bez przyszłości. Małżeństwo między nami jest niemożliwe: dla niej niepraktyczne, dla mnie taka »świetna partya« byłaby trochę dziwna; trudnoby wytłómaczyć się przed przyjaciółmi politycznymi i przed samym sobą, dlaczego żenię się z bogatą Niemką. Póki nasza znajomość ograniczała się do wesołego koleżeństwa — wybornie. Ludzie różnej płci mogą przecie obcować z sobą bez zamiarów matrymonialnych. Ale nie trzeba budzić zmysłów, gdy się wie, że tak poprostu zgodzić się z sobą nie będzie można.

Jak ta panna dzisiaj wyglądała w czarnej z płomiennemi wstążkami sukni! Wogóle jest

jeszcze piękniejsza wieczorem, niż za dnia. I co mi chciały powiedzieć, do czego zachęcić te szklisto-błyszczące oczy, te wargi, które drgały nerwowemi ukąszeniami, aż spostrzegłem raz czerwoną plamę krwi na chustce. Zapytałem, może mniej zgrabnie, czy się zraniła... Za odpowiedź otrzymałem tylko uśmiech, ale jaki! Mówił coś niby: »Jaki ty głupi, nieczuły, jak daleki od moich pragnień...«

To wszystko nie jest urojeniem mojem. Kobieta piękna i gorącej krwi umie, zachowując pozory, dotykać z oddalenia mężczyznę, którego sobie upatrzy. Siedzi przy ojcu taka wykwintna dama, patrzy na scenę, ale ja czuję, że jej wrażliwość zmysłowa, jej ciało astralne, tuli się do mnie. To obcowanie magnetyczne niezupełne, acz rozkoszne w danej chwili, szarpie nerwy wzajemnie. Ja czułem pod koniec przedstawienia całą krew kołującą, dzwoniącą mi w głowie, a Hela bladła i mieniła się w oczach, rozpaczliwie ponętna. Zapominam dodać, żeśmy słuchali opery »Tosca«, najlubieżniejszej z muzykalnych pośredniczek.

I skończyła się opera — i rozstaliśmy się, jak zwykle, bo cóż począć dalej z zajętym jak minister papą, który wstaje o 7-ej z rana, i z panną *attachée* do Excellencyi?

Czułem się tak rozgrzanym i rozpędzonym do jakichś wrażeń niepowszednich, że nie

mogłem powrócić odrazu do mieszkania. Gdybym miał sformułować, czego mi się chciało, musiałbym uciec się do obrazu. Siadłbym gdzieś obok Heli na miejscu wzniesionem pod bukami, w gaju Hagi, na rozesłanych białych futrach. Otaczałaby nas ciemność, tylko odblask dochodziłby od wielkiego, ludowego święta, jakiejś »nocy weneckiej«, ubranej barwnemi latarenkami, gdzieby pito i śpiewano na zabój przy wtórze mandolin. Ale nas dwojga niktby nie widział, mielibyśmy dla siebie tylko kwiat tej atmosfery lubieżnej, mówilibyśmy mało, spojrzeniami bliższemi, bliższemi...

Banialuki! Szukaj tu po nocy choćby ramy do takiego marzenia w pospolitszej właśnie części miasta, gdzie się znalazłem po wyjściu z teatru, w połowicznem już oświetleniu ulicy. Świeciły tylko jaskrawo transparenty poplamione ciemnemi głoskami, albo zapalały się i gasły czerwone węże napisów, zapraszających do nocnych kawiarni.

Tak się kończą nagłe, z krwi poczęte zachcianki poetyczne! Wszedłem pod gorejący szyld jakiegoś *Café des Ambassadeurs*, czy inaczej. Zawsze to samo: na scenie murzyński taniec, wykonywany przez lalkowate Angielki; na sali stoliki, restauracya, dym cygar. Usiadłem przy niezajętym stole, kazałem podać wina i piłem chciwie, bo gardło mi wy-

schło od nerwowej gorączki. Przysiadły się do mnie dwie kobiety, którychbym dzisiaj nie poznał, tak pospolicie były piękne; wiem tylko, że od jednej buchał bez biały, od drugiej, zdaje się, *peau d'Espagne*.

Siedziałem tam ze trzy godziny aż do wyczerpania programu.

Tu dopiero zaczyna się dramat.

Zapłaciwszy za tę mizerną rozkosz sumę, którąby mi starczyła na tydzień normalnego pobytu w Hadze, — bo obie te panie były w zmowie z właścicielem restauracyi i różnymi wymysłami powiększały rachunek — puściłem cały ten zakład w niepamięć i śpiesznie powracałem do domu. Dochodząc już, powziąłem fatalny zamiar: odświeżyć skronie i myśl rozognioną nad kochanem lustrem Vijver'u.

Połowa ramy stawu, opatrzona chodnikami, była pusta, bez jednego przechodnia. Dwa drugie boki czworokątu dochodzą do zrębu Buitenhof'u, który w nich się przegląda, wiecznie ciemny. Więc byłem sam nad czarną wodą; nawet łabędzie spały w bukiecie drzew na wysepce pośrodku stawu, która teraz wyglądała jak stóg majaczący na zalanej łące. I księżyca nie było na niebie, więc i na murach. Sterczały twardym kirem w rzadszej ciemności nieba. Kilka tylko latarni stróżowało

po brzegach, tyle, że można było rozróżnić suchy brzeg od połyskującej wody.

Takiej mi właśnie było potrzeba samotnej kąpieli w mroku i świeżości. Od węgła Mauritshuys'u począłem dostępne brzegi stawu mierzyć krokami. Jakie głośne! — — jakby zegar niewidzialny gadał z tamtej wieży. I myślałem o jakichś rzeczach zawikłanych, bom i wspomnienie Heli zamazał sobie w pamięci przez tą głupio spędzoną noc, i z czegoś byłem dumny, i zły na siebie — a i wino nie wywietrzało mi jeszcze z głowy.

Będąc już w połowie drugiego, dłuższego brzegu Vijver'u, doznałem nagle fizycznego przeczucia, że mnie coś, czy ktoś spotka. Patrzyłem w punkt u krańca stawu, gdzie przytwierdzona do muru paliła się mdła latarnia na odległości jednego piętra ponad wodą i tyleż wgłąb odbijała się jeszcze bledziej. — Między temi mżącemi oczyma ślepej nocy stała jakaś postać, stała napewno nad samym stawem, bo i w wodzie majaczył jej odwrotny zarys.

Jakoś mi się nie chciało zawrócić z drogi przed tem widmem — szedłem więc wprost ku niemu, jednak coraz wolniej. Rozróżniłem już, że mężczyzna wysoki, suchy, w płaszczu bez rękawów, zarzuconym modą nie tutejszą — włoską? — — nie — polską. Poznałem odrazu polski ruch tego jegomości, po ręce

wspartej o bok, po głowie wzniesionej chwacko, pokrytej czapką niby angielską, ale właściwie »Maciejówką«. I gdy tak stał jeszcze niepoznany, przysiągłbym, że jest przy szabli, na której głowni się oparł, bo mu płaszcz z tyłu, jak delia, podnosił się szablistym fałdem.

Zbliżyłem się już na odległość kilku kroków, gdy ruszył ku mnie, majestatycznie wyciągając dłoń:

— Jak się masz? czekam tu na ciebie.

Poznałem go już, obudził we mnie całe roje wspomnień, coś swojskiego i bolesnego zarazem. Ale nie umiałem go jeszcze nazwać.

— Głębokoś tu widać zabrnął między obcych ludzi, że nie poznajesz pana Wojciecha Piasta, krewnego ojców swoich.

— Ach! pan Piast — — stryj! — — tak, tak, pamiętam.

Podparł się teraz pod boki i, kołysząc się w biodrach, wpatrywał się we mnie oczyma błyszczącemi, jakby zebrał w nie całe światło latarni z ciemnego miasta.

— Nie pytam, co tu porabiasz, bo wiem: zalecasz się do panny Latzkiej.

Każdemu innemu zamknąłbym wymowę krótkim zwrotem np. po francusku: »*f... moi le camp!*«, po polsku jeszcze dobitniej. Ale ten stary trzymał mnie pod władzą jakiegoś

magnetyzmu. Zaledwie z nadąsaniem odpowiedziałem:

— Niechże stryj da pokój... jestem na wakacyach. A stryj co tutaj? czy dawno?

— Dowiesz się o tem. Ja tu pilnuję naszej sprawy, gdzie potrzeba.

— Tutaj? w Hadze?

Piast rzucił głową pogardliwie:

— A gdzież się odbywają te narady, te krwawe drwiny ze sprawiedliwości, jeżeli nie tutaj? Poczekaj... mogłeś się bawić z Latzkimi w teatrze, z dziewczynami przez całą noc, pobaw się teraz trochę ze mną.

Ani myśląc czekać na moją odpowiedź, ruszył powolnym, ale po młodemu elastycznym krokiem napowrót wzdłuż Vijver'u, pociągając mnie za sobą. Dyabeł jakiś? czy należy do policyi, że wszystko wie o mnie?... Znam go i nie znam, podoba mi się i nie podoba. Tacy emigranci polscy spotykani za granicą najrozmaitszych bywają gatunków. Buntowałem się też przeciwko narzuconej mi nagle władzy i dydaktyce, a nie mogłem się z nich wyzwolić. Zawsze to człowiek, o którym nic uwłaczającego nie słyszałem, starszy... Ile właściwie on ma lat?... Te wąsy gumowane, podkręcone, zdają się ciemne? Szwarcowane zapewne? A stąpa, jak młodzieniec, podciągając nerwowo prawem ramieniem

płaszcz opadający. O ile go pamiętam, zawsze był taki sam...

— Widzisz, kawalerze, sprawa nasza żyje, chociaż nie często ją spotykasz po dziennikach. Żyje w sumieniu Europy.

— Sumienie w dzisiejszej polityce?... — ośmieliłem się powątpiewać.

— Sumienie tkwi i w zbójcy i w obładowanym zyskiem spekulancie. Inaczej — zepsułyby się wagi Temidy, które Duch Najwyższy reguluje — i światby przestał istnieć.

Spojrzałem uważnie na perorującego: mówił zupełnie na seryo. Odpowiedział na myśl moją:

— Zdaje ci się, że ja bredzę, bo sam się opiłeś mętów i komplikacyi dzisiejszego życia i nie umiesz już wyzwolić z nich jasnej wizyi wszechświatowej. Zapominasz, lub nie wiesz, że bogowie żyją...

— Bogowie? — —

— Ci starożytni, najlepiej pojęci i określeni przez Greków, uosobienia dobrych i złych potęg człowieczeństwa, podwładne naczelnemu Bóstwu, zwanemu niegdyś Ananke, przeczutemu przez Platona, które nam się odsłoniło z jednej jeszcze tajemnicy swojej przez wielki wynalazek Chrystusowy.

— Dobrze. Do czegoż to zmierza?

— Do całokształtu pojęć o świecie. Najwyższy nie zatracił ani jednego z pomysłów,

które w ciagu wieków Duchem swym do życia powołał. Więc żyje i stary Zeus, gniewny, zmysłowy król ziemi, bóg władzy nie zawsze prawowitej, niemiłosierny sprawca sądów doczesnych. Żyje i Ozyrys-Apollo, bóg piękności dnia i piękności dzieł ludzkich. Żyje i Afrodyte-Astarte, którą znasz dobrze ze spraw jej lubych, owocnych dla wiecznego człowieka, a zgubnych dla indywiduów. I Promoteusz, duch wiedzy buntowniczej przeciw wierze — i Hermes, duch wiedzy stosowanej do rozkoszy — i Demetra, czarodziejka przyrody — i muzy, gracye, fauny, dryady — i maleńkie bóstwa miejscowe — wszystkie żyja do dziś dnia. Wieki i plemiona rozmaicie je nazywały — nie trzeba się w tym lesie bóstw zabłąkać. Ja, co do bóstw starszych, używam nomenklatury greckiej.

— To pan się zajmuje mytologią?

— Zajmuję się!... cóż to za wyrażenie! znam ją. Moja »Nowa Teogonia« ukaże się w druku, skoro czas będę miał wolniejszy od spraw ziemskich, któremi się właśnie z a j m u j ę. Dam ci to dzieło kiedyś, albo i ustnie nauczę cię o starych i nowych bogach. Bo spotykać się będziemy nieraz w życiu, gdyś już dojrzał i miewasz zachcianki pracy dla ojczyzny.

Dreszcz mnie przejął, nie strachu, nie wstrętu, lecz niby od pobudki żołnierskiej.

Aby pokryć wzruszenie i uratować swą niepodległość, spróbowałem żartować:

— To pan tak sobie rozmawia z bogami?

— Jakbyś wiedział. Nie każdemu to dane. Ilekroć zechcesz się z bogami porozumieć, możesz to uczynić za mojem pośrednictwem. A nie drwij ze mnie, bo gdy ci się to zdarzy, drwić będziesz z samego siebie. I nazywaj mnie stryjem, bom krewny ojców twoich...

Spokorniałem odrazu; coś przemożnego dźwięczało w głosie tego dziwaka. On zaś mówił dalej, tajemniczo:

— Są i nowe bóstwa... powinieneś je znać.

— Nie wiem, o czem stryj mówi.

— Bóstwa, wcielone w narody. Jedne — potęgi ciemne, którym Duch Najwyższy, jedyny nieprzenikniony, pozwolił się urodzić i zaciężyć ponad ludzkością — — bo nie wierzę, aby mógł je stworzyć pierwiastek Zła, współistniejący z Duchem. Zło jest odejściem światła, cieniem rzuconym przez Najwyższego, polem zasługi naszej, która bez walki by nie istniała. Zło względem do dobra jest niczem. Istnieje tylko dla nas, abyśmy mieli zasługę walki i zwycięstwa.

Tu go zacząłem lepiej rozumieć.

— Jedno zaś bóstwo nazywa się imieniem narodu nieszczęśliwego.

Zdjął czapkę z głowy i trzymał ją przez

chwilę wzniesioną. Zasrebrzył mu się czub gęsty, pochylony. Czym chciał, czy nie chciał, musiałem także zdjąć kapelusz; zapadałem w sen magnetyczny. Piast mówił:

— Jest Ono większe jeszcze, niż kraj nasz i sprawa nasza. Mieszka jednak na naszym ołtarzu ofiarnym. Nie wszystkich godnych ma kapłanów i wyznawców, owszem i fałszywych i lekkomyślnych. Ale Ono jest sumieniem chrześcijańskiego świata, które gryzie łupiezców i bałwochwalców złota, krzepi zaś nadzieje wiedzących, że świat musi pójść nareszcie pod panowanie Błękitnej Królowej.

Jakby się bronił od rozrzewnienia, zadarł głowę, targnął ramieniem i rzekł szorstko:

— No, rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedziałem bez wahania.

Więc gdym ci trochę rozjaśnił poglądy ogólne, przejdę do spraw osobistych. Po co tu siedzisz?

— Wybrałem sobie Holandyę na miejsce odpoczynku po robocie warszawskiej.

— Holandya to nie tylko Haga. Byłeś w Amsterdamie?

— Mam zamiar tam pojechać.

— A tymczasem siedzisz w Hadze, boś się wdał w najfatalniejsze towarzystwo.

— Latzkich?!

— Przecie to Żydy!

— Gdzież tam! Niemcy, i to polskiego pochodzenia. Sam ich widziałem idących do kościoła ewangelickiego. Nic zresztą żydowskiego w sobie nie mają.

— Owszem, dusze — odrzekł Piast twardo.

Nie spierałem się dalej, bo ten dziwny człowiek zdawał się wszystko wiedzieć w tej chwili.

— Jedź do Amsterdamu. Wielkie centrum zdrowego demokratyzmu, ludzi praktycznych, przemysłowców, marynarzy. Naucz się tam choć czegoś i przewieź do ojczyzny.

Mniej górny ton rozmowy rozluźnił niby kręgi magiczne, w których mnie trzymał ten człowiek. Spróbowałem znowu być trzeźwym:

— Czegoż stryj chce, abym się w parę dni nauczył? Wyrobu porcelany, czy może budowania okrętów?

— Człecze małej wiary! — załamał Piast ręce — nieodrodny synu grzęznącej w miernocie i pessymiźmie epoki! To nie przypuszczasz nawet, abyśmy kiedyś potrzebowali własnej porcelany i floty?!

— Porcelany — tak, ale floty?...

— A ja ci powiadam, że ją mieć będziemy. Ty zapewne nie doczekasz, boś kruchy, ale ja dożyję.

Przystanął, wyprężył się i tupnął o kamienną burtę tak dźwięcznie, żem aż spojrzał, czy nie nosi ostróg przy butach.

— Cóż znowu? Dlaczego ja mam nie doczekać, ale stryj?...

— Bo żeby żyć, trzeba wierzyć.

Pamiętam jeszcze ten aforyzm, sam przez się nie pozbawiony słuszności. Z dalszej rozmowy — trzymał mnie stary aż do świtu — mam w głowie tylko plamy bez zarysów. Jakieś to były sny o przyszłości, nieoparte o ziemię, jednak logicznie zbudowane. Tak mi się przynajmniej zdawało. Odnajduję teraz w pamięci strzępy tego wykładu, gdy myślę o rzeczach analogicznych. Jakby ten mag stał jeszcze niewidzialny przy mnie i odzywał się przy każdej sposobności. I czuję, że on mnie już nie opuści.

Nie pamiętam również pożegnania. Roztopił się jakoś w świcie. Nie byłem przecie pijany, a gdybym był, ta parugodzinna przechadzka nad wodą mogła mnie otrzeźwić; tymczasem zapadałem w coraz dziwniejszą nieswojość, jakbym słuchał, mówił i myślał ze stanowiska innego człowieka.

Jasny był już dzień, gdym się dowlókł do mieszkania, zmęczony nadnaturalnie. Zasnąłem i obudziłem się popołudniu. Unikałem przez resztę dnia ludzi znajomych, zjadłem coś w restauracyi na uboczu i powróciłem tutaj, aby spisać me dziwaczne przypadki z przed 24 godzin.

Amsterdam, 21 czerwca.

Jestem w Amsterdamie według rozkazu mego... stryja. Ale stało się to nie wyłącznie za jego rozkazem. Po napisaniu ostatnich kart pamiętnika, chciałem zasnąć po północy i nie mogłem; dlatego zapewne, że cały prawie dzień poprzedni przespałem. Przez kilka godzin nocy kręciłem się na posłaniu, rozmawiając ciągle... z Piastem. Aż mi błysła myśl o świcie, żeby porzucić na czas pewien Hagę i wszystkich znajomych, przewietrzyć głowę innemi wrażeniami. Odnalazłem pierwszy pociąg do Amsterdamu w rozkładzie jazdy, ubrałem się, spakowałem rzeczy i niepohamowanym pędem opuściłem Hagę. Przez trzy dni zwiedziłem więcej gmachów, sal, ulic i dróg wiejskich, niż przez cały poprzedni pobyt w Holandyi. Wyznać nawet muszę, żem oglądał budujące się statki w dokach...

To mi nasuwa myśl wytłómaczenia się,

choćby przed samym sobą, z rzeczywistego stosunku mojego do pana Wojciecha Piasta, o którym mogę już dzisiaj pisać na trzeźwo.

Kiedym go poznał, właściwie nie wiem. Pamiętam go przy śmierci ojca mojego i na pogrzebie, pod przybranem nazwiskiem, gdyż był już wówczas emigrantem, tropionym przez policyę. A ja miałem lat sześć. Jednak wiedziałem już wtedy, że to jest stary, znakomity krewny, Piast, książę Piast. Nie wiem, czy on dotąd nosi tytuł książęcy? Wyglądał wówczas kubek w kubek jak dzisiaj — i to jest może powodem silnego wrażenia, jakie na mnie teraz wywarł. Taki stary pan, który się nie zmienił przez ćwierć stulecia, przyniósł z sobą obraz w dziecinnej wyobraźni utrwalony. Był mi długo wzorem na bohatera, na obrońcę ojczyzny; wyobrażałem go sobie na czele oddziałów powstańczych po lasach i śród dymu bitew. Bawiłem się z rówieśnikami w »pana Piasta na wojnie«; pisałem nawet wiersze, dziś zaginione, o nim i do niego. Kiedym był w szkołach i czytałem już dzienniki, odnajdywałem jego nazwisko, ale wymieniane zawsze poza granicami Rosyi. Pamiętam np., że przemawiał przy sprowadzeniu zwłok Mickiewicza w Krakowie. Zresztą słyszałem o nim dużo od matki mojej, do piętnastego roku życia, w którym to ona mnie opuściła.

Wychowywałem się dalej pod nominalną opieką krewnych, ale właściwie sam. Dużo nabytej trzeźwości i rozszerzenia poglądów zawdzięczam temu skądinąd żałobnemu wypadkowi, że od bardzo młodych lat wybierałem sobie sam towarzyszów i przyjaciół; nie było między nimi pozwolonych i zakazanych. W kołach wyższego gimnazyum, uniwersyteckich i urzędniczych słyszałem też niekiedy o Wojciechu Piaście — ale słyszałem już gorzej. Dobrze jeszcze, jeżeli kto nazwał go »szlachetnym marzycielem«, albo Don Kiszotem. Ale mówiono o nim i »stara mumia, nie rozumiejąca prądów nowoczesnych«, a nawet utyskiwano, że »takich mamy przedstawicieli zagranicą«. Nie wiele to wszystko znaczyło, jako umotywowane zdanie, ale niedwuznacznie wyrażało niechęć. Wyznam, że przestałem przyznawać się do pokrewieństwa z Piastem i powoli zapomniałem o jego istnieniu.

Gdym go teraz spotkał, odnalazłem w nim dziwacznie pomieszane cechy, zgodne z różnemi zdaniami o nim. Może był to kiedyś bohater, może jest już tylko przeżytkiem i ciekawym dla literata oryginałem? I zdać nie mogę sobie dotąd sprawy, czy to typ posiadający jaką czynną wartość dla społeczeństwa? Jest w nim jednak siła — to niewątpliwe. Żeby mi kto naraz tak w głowie,

a nawet w sercu zawiercił i to zapomocą gestów i frazesów — tegom się po sobie nie spodziewał. Sama już niezależność moja umysłowa, o którą dbam, wymaga, abym się otrząsł od natręctwa tego wpływu.

I popsuł mi wakacye, nietylko co do przyjemności, lecz co do pożytku. Dlaczego Latzcy mają być »najfatalniejszem towarzystwem?« Najprzód, nie są Żydami. A gdyby od nich pochodzili, dlaczego mnie to ma odstręczać od człowieka wysokiej kultury, czynnego obywatela swego kraju i widocznie nam życzliwego? Nie mówię już o Heli, międzynarodowo ślicznej dziewczynie w czarnej sukni i z krwawemi wargami.

Co ona sobie myśli o mnie, żem bez pożegnania wyjechał z Hagi i od czterech dni nie dał znać o sobie? Ostatniego wieczora była w tak wysoko podniesionej temperaturze ducha, że to wymagało koniecznie jakiegoś dalszego ciągu. — — A ja uciekłem. Więc może sądzi, żem naiwny, albo tchórz, albo filister — i nawiązała dalszy ciąg... z Paugwitzem?... To jednak mocno nieprzyjemne przypuszczenie.

Tę myśl odnajduję coraz częściej na drodze mej wycieczki dni ostatnich i niepokój zmysłowy, bardziej niż stryjowska rada, gna mnie tak piechotą i wagonami, po kraju.

Poszedłem naturalnie do muzeum pań-

stwowego, ale ta galerya z 3.000 obrazów jest męcząca. Na kompanie tych regentów, łuczników, członków straży obywatelskiej i różnych miejskich znakomitości, choćby malowanych przez van der Helst'a, już patrzeć nie mogę. Taki zaś portret zbiorowy, jak »Syndykowie sukienników« przez Rembrandta — to co innego. Ten obraz sam jeden nagradza podróż do Amsterdamu. Tylko wołałbym go oglądać nie sam, lecz pokazywać rudej, przekornej główce, która niechby już sobie bredziła o sztuce, byle temi czerwonemi ustami.

Pokazałbym jej także prywatną galeryę pana Six'a, potomka owych Six'ów, których Rembrandt malował, jako przyjaciel rodziny. I domek ten sam na Heerengracht z progiem zaklęsłym, z którego wychodził ongi Jan Six, burmistrz Amsterdamu, na swe publiczne funkcye, zamyślony o pożytku miasta. Dzisiaj stoi w tej pozie na bezcennem płótnie, portretowany przez Rembrandta — i naciąga powoli wielką zamszową rękawicę ze sztylpem.

Zwiedzający ze mną galeryę bardzo wytworny młodzieniec zapytał mnie grzecznie co właściwie robi ten pan Six na obrazie?...

Ten, który pytał, był co najmniej hrabią. Pomyślałem, dla kogoby obecnie Rembrandt mógł malować?

Wogóle Amsterdam jest najbardziej sobą

pod względem malowniczym na wielkiej bezwodnej arteryi zwanej Damrak i na przedmieściach, w zaułkach, gdzie stoją jeszcze niezrównanej lekkości, wązkie, jednem oknem u góry zakończone, piramidalne domki z XVI i XVII wieku. Imponujące *gracht'y,* koncentryczne kanały, łukami dostosowane do rzeki Amstel, można zobaczyć w jednem miejscu i już się zna je wszystkie. Wodna ulica ma z obu stron szerokie, drzewami ocienione bulwary, za którymi rzędy domków w tej niezmiernej ilości nieco monotonnych. I z powodu oddalenia od wody nie przeglądają się w niej tak bezpośrednio, jak domy w Wenecyi.

Wspaniałym widokiem jest rzeka Amstel, ujęta w granit, z setkami mostów na niej i na wpadających do nich grachtach, ale to już widok wielkomiejski pospolitszy, niby Genewa, niby Paryż. Nie śni się tam nic holenderskiego.

Jest i ciekawa, wązka jak kurytarz, handlowa ulica Cielęca (Kalverstraat) i jeszcze wiele rzeczy godnych widzenia, o których nie wspomnę, bo nudzę się tu w sposób specyalny, zupełnie sprzeczny z ponętami pięknego miasta. Pali we mnie niepokój, który na poły zawdzięczam Piastowi, na poły Heli.

Najlepiej mi było dzisiaj, gdym tramwajem elektrycznym wybrał się do znajomego

już i pamiętnego Haarlem'u. Najprzód ta godzina jazdy cichym, bezdymnym, a sunącym prawie jak expres wozem, wśród towarzyszów podróży czystych i uprzejmych, przez kraj rozesłany jednem ogromnem pastwiskiem idealnie holenderskiem — jest odpoczynkiem i zabawą, nie zaś męką nieodłączną od wycieczek koleją parową, po których człowiek musi się kąpać i leczyć od bólu głowy.

W tych pastwiskach można się zakochać, jak się w nich zakochali miejscowi peizażyści. Składają się zaledwie z kilku elementarnych szczegółów: z biegnącej w nieskończoność zieleni ziemi, z przejrzyście zamglonego nieba, z krów łaciastych i z wiatraków. Szczegóły, jak dom, człowiek, koń, drzewo, stado ptaków ciągnące — nabierają doniosłości przez swą rzadkość. Ale trzeba na tych tłach ogromnych widzieć tłusty sen południowy pod niebem białem, albo opale zachodu, i pić świeżość, świeżość, świeżość.

A wiejska świeżość, jak spokojność, jest przeznaczeniem ludzkości.

Plac katedralny Haarlem'u z grającymi co godzina na wieży dzwonami. — — Ten melodyjny kurant już coś mi przypomina. Plac taki bogaty, ze wspaniałą katedrą, z misterną, jak piramidalna szkatuła, rzeźnią miejską

z XVI wieku, z muzealnym pałacykiem hrabiów Hagi, pełnem arcydzieł Hals'a. I tu już wykładałem teoryę portretu rudowłosej słuchaczce. — — —

E, do licha! wracam jutro do Hagi.

Haga, 23 czerwca.

Nie zupełnie taką zastałem Helę, jaką ją sobie przez dni rozłączenia wyobraziłem. Nie zbrzydła przez ten czas — to pewna; ale zajęcie się moją osobą wyraża w sposób nieoczekiwany, przez tak zwaną »piłę«.

Zaraz po powrocie poszedłem do hotelu *des Indes,* znając godziny i przyzwyczajenia Latzkich. Pora była po śniadaniu krótkiego odpoczynku dla Excellencyi przed wznowieniem sesyi; Hela była przy ojcu.

Latzki zaledwie podniesieniem głosu przy powitaniu zaznaczył radość i przeszedł do rozmowy spokojnej, jakby mnie wczoraj był pożegnał. Hela zaś przywitała mnie bardzo ożywionym, ale satyrycznym uśmiechem, który zrozumiałem dopiero wtedy, gdy papa poszedł na Konferencyę, a myśmy swoim zwyczajem mogli pójść, gdzie nam się podobało. Poszliśmy na plac zwany Pleen.

— Któręż to pan obrał za towarzyszkę

podróży — zapytała zaraz Hela — czy tę ogromną, »białego słonia«, czy tę sataniczną, która i na ulicy udaje Loÿ Fuller?

Były takie dwie kokoty w Hadze.

— Bez przysięgi uwierzy mi pani zapewne, że byłem zupełnie sam w Amsterdamie.

— A dlaczegoż ja nie dowiedziałam się o tym projekcie?

Na tę pochlebną rekryminacyę trudniej już było odpowiedzieć.

— Wie pani, w naszym zawodzie literackim wywołuje się czasem umyślnie romantyczne sytuacye. Wyjechałem nagle, żeby tęsknić za panią.

— O, nie, nie — przeczyła Hela żywo głową i wzniesionym palcem — na taką literaturę mnie pan nie złapie. Może jeszcze pan doda, że wybrał sobie ową Loÿ Fuller dlatego, że podobniejsza do mnie, niż ta wielka? I to... z tęsknoty?

Zadziwiła mnie tym zwrotem wyobraźni. Rzeczywiście tak zwana Loÿ Fuller była ogólnikowo w rodzaju Heli. I gdybym się chciał pocieszać, kto wie?... Odpowiedziałem jednak przytomnie:

— Ależ to byłoby istotną profanacyą wspomnienia!

— Zatem wybrał pan »białego słonia«. Teraz już wiem.

— Jeżeli pani wie lepiej, zamilknę. Proszę

wmawiać we mnie, albo i rozgłaszać, żem z całym haremem objeżdżał Holandyę.

— To nie; z haremem się nie jeździ, tylko we dwoje.

— Więc przyznam się — byłem we dwoje.

— A widzi pan! — zawołała z pewną emocyą.

— Po galeryach chodziłem z jedną uroczą panną o słonecznych włosach nad czarnemi oczami, o ustach ślicznych, choć gotowych zawsze do ironii. Pytałem ją o to i owo, ale ona nie mówiła nic — chodziła tylko za mną, jak wspomnienie.

Zrozumiała, zarumieniła się nawet, strzygąc rzęsami z lubości. Więc myślałem, żem się już pozbył indagacyi, bo mówić poczęliśmy o mojej wycieczce bez dalszych przycinków.

Jednak widocznie Hela ciekawa jest jak pierwsza Ewa. Po obiedzie w jednej przyjemnej, urządzonej jak oranżerya, restauracyi, słuchaliśmy muzyki, głuszącej trochę rozmowy. Latzki zajęty był przez ambasadorową hiszpańską. Paugwitz krążył bezradnie około nas, bo mu zająłem jedyne wolne krzesło w pobliżu panny Heli.

— Ale muzyki to już napewno słuchał pan tam z ładną Holenderką?

— Niechże pani odczepi odemnie tę jakąś

Holenderkę, bo to doprawdy nie zgadza się z przenikliwością pani.

— Dobrze, przestanę, ale mi pan powie, dlaczego wyjechał?

— Mówiłem. Zresztą trzeba było poznać i Amsterdam, a moje wakacye mają się ku końcowi.

— Nie, to nic nie objaśnia. Pan się zapewne, jako pisarz, zna na psychologii? Ale i ja mam tę pretensyę. Więc nikt nie wyjeżdża nagle, bez pożegnania przyjaciół, po wieczorze spędzonym razem przyjemnie... czy nie przyjemnie?

Poczułem recydywę tego nastroju, który nas łączył przy słuchaniu opery »Tosca«. Jakimś tylko gestem i oczyma odpowiedziałem, że chowam to wspomnienie głęboko w sercu. Ona mówiła dalej:

— Tu zaszedł jakiś powód pańskiego wyjazdu — nie może być inaczej. — — Spotkał pan kogoś?

Sprytna taka, czy »filuje« mnie przez detektywów?

— Spotkał pan jakąś kobietę, która grała rolę w życiu pana? — — od której trzeba było uciec? — —

Wpatrywała się we mnie tak uważnie, żem musiał pilnować swej maski, aby się z czem nie zdradzić. Mówić o Piaście nie chciałem. Ale gdy domysły jej, zresztą bardzo subtelne,

padły na kobietę, mogłem sumiennie odpowiedzieć:

— Słowo pani daję, że żadnej kobiety tego rodzaju tutaj nie spotkałem i że wogóle żadna kobieta nie była przyczyną mego wyjazdu.

— To już nie rozumiem — odrzekła z nadąsaniem — to chyba pan uciekał... odemnie?

— Jakże można coś podobnego pomyśleć!

Umilkła i przybrała wyraz twarzy uroczysty, trochę nawet pyszny, który już znam i którego nie lubię. Pozostaje i wtedy ładną osobą, ale banalniejszą — typową córką Excellencyi. Jeżeli dba o promienność swej urody, powinna zawsze uśmiechać się i tak jakoś przebierać wargami i strzydz czarną rzęsą.

Zbliżył się Paugwitz i, stojąc, zaczął rozmawiać z Helą.

— Zasłania mi pan kapelmistrza, którego chcę widzieć — odezwała się do niego. — Proszę gdzieś usiąść.

I spojrzała na moje krzesło, jedyne w pobliżu, które mogłoby być wolne, bo przecie Excellencyi, ani ambasadorowej nie można było ruszyć z fotelów. Ja zaś chciałem już wstać, bom tu siedział od pewnego czasu bez przyjemności. Więc powstałem, mówiąc do Paugwitza:

— Proszę pana — ja przechodzę do palarni.

— Ależ nigdy!... albo siądziemy razem... wynajdę zaraz krzesło.

Po chwili certacyi Paugwitz usiadł, a ja odszedłem. W przyległej sali nie paliłem, nie czytałem gazety, tylkom się rzucił w miękki fotel i snułem rozmyślania.

Nie mogę mieć Heli za złe, że jest ciekawa, ale nie mogę też dać się jej za nos wodzić. — — Cokolwiek będzie między nami, jest to zły precedens. — — A więc ma coś być między nami? — —

I teraz się uśmiecham, gdy to piszę, jak idyota — bo cóż za przyszłość? — — Gdyby jednak ciągle myśleć o przyszłości i o skutkach, nie możnaby wypić ani szklanki wina w życiu, bo dowiedzione jest, że alkohol truje.

Jeszcze mniej ściśle rozumując, doszedłem tam, w tej palarni, do wniosku, że najlepiej powiedzieć Heli coś zbliżonego do prawdy. Znudził mnie tu jeden znajomy spotkany i uciekłem na parę dni. Ten prosty wynalazek wydał mi się na razie zbawiennym i wielce radosnym.

Powróciłem do halli muzycznej, gdy już towarzystwo znajome zabierało się do wyjścia. Poczułem, że czekała na mnie Hela, bo rozjaśniła twarz, gdym się ukazał. Więc prosto do niej, jak w dym, z miną wesołą, jakbym miał do opowiedzenia anegdotę, odcią-

gam ją trochę od stojącej już grupy i mówię:

— Chce pani wiedzieć, co mnie naprawdę wypędziło z Hagi?

— Ale bardzo chcę!

— Spotkałem tu starego krewnego, tak tyranicznego nudziarza, żem uciekł.

— Słowo?

— Słowo honoru.

— A jak się ten krewny nazywa?

— Cóż to panią może obchodzić?

— Chcę, koniecznie chcę wiedzieć — cisnęła mi prosto w twarz, aż poczułem jej świeży oddech.

— Nazywa się... pan Piast.

— Jak? Py-ast?

— Piast. Widzi pani, jakie to ciekawe i srodze romantyczne!

— Wszystko jedno — trzeba mi ufać, trzeba być przyjacielem — lubię pana takim.

Po francusku: *je vous aime comme ça* — jeszcze więcej znaczy, zwłaszcza gdy oczy i usta tak blizko.

Czuję tylko pewien niesmak, żem wymienił nazwisko Piasta. On jest tak tajemniczy, że może i tutaj ukrywa się?... Jednak Hela niema przecie styczności ze szpiegami. Powiem jej jutro, że nie trzeba mówić o Piaście, bo... bo co? Podkreśliłbym jeszcze jego nielegalność, jeżeli ta istnieje. Hela zauważyła

pewno sama, jak niechętnie wymieniłem nazwisko stryja, i poczuje, że rozgłaszać go nie trzeba. Sprytna jest dostatecznie, aby to skombinować. Jaka sprytna i jaka ponętna! A nie zapuszczam się w dysekcyę tego, co ona dla mnie czuje. Nie ja ją bałamucę, ale ona mnie. Nie udaję przed nią milionera, powiedziałem, że jestem literatem i urzędnikiem. Panna tak rozumna i niezależna wie, co robi; ojciec przyjmuje mnie bardzo uprzejmie, więc widocznie postępowanie ze mną nie jest, według ich pojęć, kompromitujące dla panny. Dwudziestoletnia kobieta europejska jest dzisiaj uświadomiona i używa szerokich praw obywatelskich. To tylko u nas pannę, którą się spotka w biały dzień o sto kroków od rodzicielskiego domu, w towarzystwie młodzieńca, okrzyczą zaraz za narzeczoną, a jeszcze łatwiej za »zgubioną«. To są przeżytki klauzury niewiast średniowiecznych. I ten zacofany pogląd na wychowanie panien przyczynia się do najnieszczęśliwszych małżeństw. Towarzyszkę życia trzeba przecież choć przez parę miesięcy obserwować w ruchu życia społecznego, nie zaś tylko jako aneks do starszego pokolenia i zagadkę zawartą w kokonie przesądów, eufemizmów, kłamstw konwencyonalnych. Z tych kokonów wyłania się często motyl wręcz przeciwny oczekiwaniu i tradycyi, motyl głodny życia i rozkoszy, czasem

zepsuty już w zarodku, a przedewszystkiem zupełnie zagadkowy dla mężczyzny. — To ze stanowiska męskiego. A z kobiecego punktu widzenia czyż może być praktyczna absolutna nieznajomość życia mężczyzny aż do dnia, w którym kobieta wychodzi za mąż? Kobieta powinna stopniowo stawać się mężatką. Tego aforyzmu nie trzeba stosować dosłownie.

Haga, 23 czerwca.

Z powodu niedzieli ma pan Latzki mniej zajęć, więc wdał się ze mną w długą rozmowę. Zadziwiają mnie coraz bardziej sympatye jego dla sprawy polskiej, które nie ograniczają się do poglądów i rad, lecz dążą chyba do czynnego udziału. Nie mogę przypuścić, aby tylko przez jakąś dyplomatyczną kokieteryę wmawiał we mnie, że go sprawy polskie obchodzą goręcej, niż zwykłego Prusaka. Ale nie mogę też i wytłómaczyć sobie tych sympatyi przez jego polskie pochodzenie: ani zalet naszych, ani wad nie posiada. Może być tylko życzliwym i silnym sprzymierzeńcem. Należy zaś do gatunku ludzi rzadkich i cennych w każdym kraju, którzy, choć niezadowoleni z istniejącego porządku, dążą do lepszego ewolucyjną pracą, nie krzykliwym protestem. Latzki rozumie nawet, że w danej chwili krwawy przewrót jest niezbędny. To też mówić z nim można i o re-

wolucyi pojęć i nawet o rewolucyi czynnej na wypadek, gdyby nowe pojęcia nie dość szybko przenikały do głów rządzących. Dziwna kombinacya urzędnika pruskiego z postępowcem i socyalistą. Wallenrod? — za czyją sprawę? — — Zanim to przeniknę, zapisuję szczegóły rozmowy, które najgłębiej utkwiły mi w pamięci:

— Myślę już nie po raz pierwszy — mówił mi — że pan swoje wybitne zdolności (ukłoniłem się) powinienby zużytkować w akcyi dziennikarskiej. Wiem, że pan pisze, i ze wszech miar przypuszczam, że dobrze, ale zdaje mi się, że wy nie macie ani jednego wielkiego politycznego dziennika?

Wyliczyłem parę, bez silnego przekonania, i wspomniałem o niepojętej dla cudzoziemca instytucyi cenzury u nas.

— To się zmienić musi — odrzekł Latzki. — Sądzę jednak, że i obecnie można kierować opinią publiczną u was, stanąwszy na czele nowego, w duchu europejskim redagowanego dziennika.

— Na czele! — — wyrwało mi się ironiczne westchnienie.

— Wiem — ciągnął Latzki — że to wymaga znacznych funduszów. Możnaby je zebrać u was w kraju, a nawet mniemam, że mógłbym wpłynąć na niektóre osoby znajome w Warszawie...

Tak ciepły udział w naszych, a nawet w moich sprawach przeszedł moje oczekiwanie. Starałem się uprzejmym uśmiechem wykręcić od protekcyi Latzkiego, a wyrozumieć lepiej, o jakim to dzienniku on mówi.

— Wyobrażam sobie dziennik zupełnie nowego typu, na wzór naszej prasy liberalnej. Wasze gazety, o ile je znam, mają zakres nadzwyczaj lokalny. Rozumie się, że każdy kraj ma swe własne interesy, ale w waszem położeniu narodu bez państwa trzebaby się bardziej stosować do potrzeb i prądów sąsiedniej przynajmniej Europy. Nie rozumiem przez to współdziałania z rządem, nawet niemieckim, lecz popieranie zasad postępowo-demokratycznych i tolerancyjnych. Macie u siebie ogromną ilość Żydów i sporo Niemców. Te siły trzeba przyciągnąć do ogólnej kulturalnej roboty. Tymczasem prasa wasza jest cała — daruje mi pan wyraz — szowinistyczna. Tłumiony i zdyskredytowany, ten szowinizm wybucha jednak ciągle, albo się tai w milczącej abstencyi od wielkich robót cywilizacyjnych, podjętych — przepraszam znowu za uwagę — przez Prusy. Nie chcecie zrozumieć roboty Prus, nazywacie ją zwykłą chęcią rozrostu państwa, *Drang nach Osten* i t. p. Ależ przyjrzyjcie się kulturze, którą szerzą np. w ziemiach polskich, będących pod ich panowaniem, w Poznańskiem, a nawet po

za swymi słupami granicznymi, np. w Łodzi. Są to przecie dobytki człowieczeństwa, z których wy przedewszystkiem korzystacie.

— Zapewne — musiałem jednak zmitygować wymowę Niemca — ale Prusy nie chcą uszanować potrzeb duchowych naszej narodowości, nawet ją skazują na zagładę.

— To trochę niesprawiedliwe — skrzywił się Latzki. — Zacytuje mi pan komisyę kolonizacyjną, uchwałę doczesną i niefortunną, którą sam zwalczałem. Wszelkie ideały wasze narodowe, mieszczące się w pojęciu państwa niemieckiego, pozostawiamy nietkniętemi.

Zgodzić się na tym gruncie z Latzkim nie mogłem. Więc powróciłem do omawiania owego projektu idealnego dziennika.

— Uznaje pan zatem za potrzebny u nas wielki dziennik filogermański?

— Przedewszystkiem polski, ale nowo-polski, europejsko-polski; dziennik, z którym mogłyby się liczyć i nasze stronnictwa liberalne, i musiałaby się liczyć prasa rosyjska. Co zaś do sympatyi, któremiby się rządził taki dziennik, jużci nie będę taił, że antypatycznego nam dziennika nie popierałbym.

— Antypatycznym zaś nazywa pan kierunek tak zwany »wszechpolski?«

Latzki rozłożył ręce bezradnie, jakby daremnie szukał wyrazu.

— Antypatycznym nazwać go nie mogę... to nie kierunek... to dzieciństwo.

Skupił znowu myśl w swych oczach rozumnych, podobnych jednak do oczu Heli.

— Widzi pan, w polityce teorya najszlachetniejsza, uzasadniona przez historyę, etykę, ideały powszechnie szanowane, skoro niema żadnego zastosowania do chwili bieżącej, ani do interesów niczyich, oprócz tych, którzy teoryę głoszą w braku realnych projektów — staje się śmieszną. Śmieszność jest zabójcza dla ludzi i dla teoryi. Wszechpolskość zaś galicyjska i ta, która się tuła gdzieś po Francyi, Szwajcaryi i Ameryce, ma przedstawicieli tak drobnych, że wpadła zupełnie w karykaturę. Mamy takich i tutaj w Hadze...

Uśmiechnął się niby dobrodusznie, jak przed wydobyciem z pamięci anegdoty, jednak bystre jego oczy kontrolowały wrażenie na mojej twarzy:

— Niech pan sobie wyobrazi, otrzymaliśmy tymi dniami od jednego z rodaków pana propozycyę, do Konferencyi wystosowaną, aby zawiesić nasze prace i zastanowić się nad pytaniem, czy usunięte są w zasadach polityki europejskiej przyczyny wszelkich wojen.

Znałem jeden memoryał polski, rozrzucony tu w drukach, ale Latzki zdawał się mówić o innym. Słuchałem ciekawie.

— Rozumie pan? najprzód przerobić całą

mapę Europy, oddać każdemu, co do niego niegdyś należało — więc oczywiście Polska Szlezwik, Alzacya i t. d. — przedewszystkiem Polska. Granice roku 1771, kongres wiedeński 1815 — niczego tam nie brakowało. Autor tyle tylko był łaskaw, że nam, jako konferencyi Pokoju, nie dawał do wykonania tych wszystkich przewrotów, któreby wywołały nie wojnę, lecz rzeź europejską. Proponował skromnie uchwałę teoretyczną, jedyną i finalną: aby Konferencya wyraziła opinię, że pokój powszechny nie może być nigdy osiągnięty bez uregulowania równowagi europejskiej, zachwianej przez rozbiór Polski. Czyli, że zebraliśmy się tymczasem bez celu i pokornie to wyznajemy.

— Propozycya radykalna... — odpowiedziałem — jednak o zasadzie sprawiedliwości i restytucyi dyskutowano już w poważnych kołach. Dyskutuje się też i w bardzo szerokich, podziemnych...

— O restytucyi praw ludzkich, komu należy — rzekł Latzki — ale nie odrabianiu historyi świata z ostatnich stu lat. Żaden kongres monarchów nie zdolny byłby tego uskutecznić, tembardziej kongres delegatów, zebrany w celach humanitarnych, nie politycznych. Ten pana rodak to maniak, zapatrzony w jeden tylko punkt świata, ślepy na inne obszary i przepaście, nieczuły na

istotę nawet cywilizacyi chrześcijańskiej, za której rycerza się podaje.

Zauważyłem, że Latzki mówi z rosnącą zaciętością. I nie wątpiłem już, że mówi o panu Piaście. Jakoż nazwał go wkrótce:

— Taki pan Albert Piast jest niby przyjacielem ludu, ludów, miłośnikiem sprawiedliwości, wizyonerem przyszłych rozwojów człowieczeństwa, a jego akcya ogranicza się do ciężkiego zawalania dróg istotnej cywilizacyi, do dyskredytowania jej pionierów, do gmatwania robót, do buntowania »ducha« — jak mówi — czyli do przewracania w głowie ludziom, którzy nie wiedzą, dokąd dążyć. Myśli pan, że taki bohater rozumie nawet prawdziwą rewolucyę? On tylko rozumie swoją... Ech!

Machnął ręką niecierpliwie. Pierwszy raz widziałem Excellencyę zirytowaną. Przestał już nawet dyskutować dyplomatycznie, kłócił się, bez mojego udziału, z oponentem, którego tylko co nazwał drobnym i karykaturalnym. Aż sam się spostrzegł i dodał niby wesoło:

— Mam złe przyzwyczajenie: nonsens mnie oburza; a z nonsensem walczyć nie warto, bo sam przez się upada.

Po chwili zaś:

— Mówił mi ten pan Piast, że jest pańskim krewnym?... Chyba dalekim?

— Nie blizki, ale krewny.

— Proszę zauważyć, że ani słowem nie dotknąłem jego *honorabilité*. Nie nazywam go księciem, bo zdaje mi się, że nie nosi tutaj swego tytułu?

— Nie wiem doprawdy. Ja go znam bardzo mało.

— W takim razie ja lepiej. Spotykałem go już jako księcia polskiego i jako wydawcę pism ludowych pseudo-demokratycznych. Tutaj znowu występuje jako dyplomata — bez tytułu.

Wolałem nie podsycać rozmowy o dziwnym moim stryju, którego Latzki znał widocznie i nie lubił.

Po tej rozmowie z ojcem Latzkim przyszła mi ciekawość, czy mu córka wspomniała coś o mojem spotkaniu z Piastem, czy nie?

Zapytałem ją o to wkrótce, poprostu.

— Gdzież tam! — odpowiedziała, otwierając szeroko oczy.

— Nie prosiłem pani o dyskrecyę, ale wdzięczny jestem za to, bo nie lubię mówić o tym starym.

— Mówił pan z ojcem o nim?

Hela nie była przy naszej rozmowie.

— Trochę. On go zna lepiej, niż ja.

— O tak! on go zna... zresztą nie wiem. On zna wszystkich na świecie.

Jakoś potem Hela skręciła obcesowo do innego przedmiotu.

Podejrzewam ją teraz po namyśle, czy mi nie skłamała? Latzki jakby usiłował podkopać we mnie wpływ Piasta, zdyskredytować go i ośmieszyć. Może go wprawdzie znać i mógł go spotkać tutaj. Ale znowu parę słów Heli? — —

Jeżeli ona umie kłamać takiemi otwartemi, jasno na mnie zwróconemi oczyma — to źle. Choć właściwie obojętne jest, jak kto kłamie — a kłamią prawie wszyscy.

A jednak pan Wojciech Piast chyba nie kłamie? Może bredzić, jak na mękach, jednak wierzyć się zdaje w to, co mówi. Ale cóż to za nieznośny człowiek! Jeżeli się wybrał do Latzkiego z prośbą o popieranie naszej sprawy na Konferencyi, to go ładnie dla siebie i dla sprawy usposobił! — — Tylko czy on się udawał do Latzkiego? czy wogóle z nim gadał? Tu może Excellencya coś maluje?

Haga, 25 czerwca.

Teraz oni wyjechali nagle, przed podpisaniem nawet protokołów Konferencyi, z powodu jakichś depesz, które otrzymał Latzki. Zostałem jednak zaraz powiadomiony przez Helę i zdążyłem przynieść do wagonu trochę kwiatów. Przyjęła je uprzejmie, bez wahania, jak się przyjmuje należny ukłon. Miała zresztą kwiatów kilka wiązanek oprócz mojej, a między niemi zapewne i owacyę Paugwitza, obecnego na dworcu pośród grupy kilkunastu osób żegnających Latzkich. Rozłączenie nasze było tak dalece pozbawione tragizmu, że aż wesołe. Hela w żywej, ogólnej rozmowie, wspominała *mein theueres Berlin* z lubością, a mnie, w kilku słowach na uboczu, poprostu kazała zjawić się jak najrychlej w Berlinie. Leży on zresztą na mojej drodze powrotnej.

I tak skończyły się dni poetyczne. Poezya w nas jest, nie zaś w widokach i wrażeniach zewnętrznych, które dają tylko mocniejszą

lub słabszą do niej podnietę. Teraz mi Haga bez Latzkich wygląda pusta i zaspana. Inni sezonowi znajomi nie istnieją dla mnie, jak i ja dla nich. Nic się między nami nie zawiązało, ani cień przyjaźni, ani ciekawość. Odczuwam nawet w ich obejściu ten chłód, który spotyka zwykle Polaka w zachodniej Europie, sztywność, choćby ugrzecznioną, która zdaje się wyrażać takie zdanie przy zabieraniu międzynarodowych znajomości:

— Ach, jesteś pan Polakiem... to smutne.

Ponieważ władam nieźle obcymi językami, biorą mnie często Niemcy za Szweda, Francuzi za Belgijczyka, póki nie dowiedzą się o mojej narodowości. Zawsze wtedy rozmowa, czasem ożywiona już i poufniejsza, ścina się mrozem.

— To pan mieszka w Rosyi? — wnioskuje zwykle Niemiec.

— *Oh! la Pologne!* — blaguje melancholicznie Francuz.

— Bohaterski naród! — woła Włoch.

I tym podobne przysmaki, które zawsze znaczą albo: jesteś wrogiem, albo: wyrzutem sumienia, cieniem przeszłości, nawpół żywym człowiekiem.

Oczywiście nie zdarza się to Polakom milionerom, ani tym, którzy kryją się ze swą polskością, lub ją sprzedają za byleco, za ja-

kiś efekt kosmopolityczny. Bo są tacy polscy podróżni i nawet emigranci!

Ja przy poznawaniu cudzoziemców uprzedzam zawsze, że jestem Polakiem. Gdy się to komu nie podoba, okazuję mu jeszcze wyższe niezadowolenie z jego narodowości.

Latzcy nie dali mi nigdy powodu do takiego zbrojenia się w odporność. Może w nich rzeczywiście pokutuje coś z krwi naszej, a może tylko wrodzona towarzyskość i ciekawość ludzka, która przecie istnieje pomimo rozpowszechnienia wojowniczego nacyonalizmu. To też ta jedyna para ludzi tchnęła w mój wakacyjny pobyt coś gorętszego, niż wrażenie nowego kraju. Para ludzi? — może tylko młoda połowa tej pary?

Hela jest dla mnie uosobieniem ponęt tego kraju wymowniejszem, niż spotkane tu rdzenne mieszkanki, bardzo po swojemu rasowe, powycinane z obrazów holenderskich, ale i podobne trochę do krów tutejszych. A krowy są piękne, duże, barwne i marzą wielkiemi oczyma o szczęśliwościach wiecznych pastwisk.

Hela zaś — to m o j e wrażenie Holandyi. Najprzód — ruda, jak Rembrandt. Potem — nerwowa, intelektualna, zbiór ciekawości i zagadek. Mnie chodzące posągi kobiece, wzory na niewiasty gniazdowe — nie pociągają. Lubię duszę kobiecą. Taka kobieta nie jest szcze-

gółem krajobrazu, lecz zwierciadłem, w którem i sam się przeglądam i widzę w jej oczach odbicie życia drgające, indywidualne. Zdawałoby się, że nic sprzeczniejszego, jak »nastrój« Holandyi i temperament Heli — a ja przecie bez niej nie rozumiem już Holandyi, i spowszedniał mi nawet Mauritshuys, miejsce naszych estetycznych sporów, i gaj Hagi blaszany jakiś i ulica monotonna.

Jeden tylko kąt miasta przesiąkł mi wspomnieniem innem, nawet przeciwnem poniekąd — to Vijver. Czy go za dnia ujrzę pluszczącym weselej o burty, podmalowanym barwniej około swej zielonej wyspy i w śladach majestatycznie błądzących łabędzi, — czy tem bardziej, gdy zobaczę jego czarne lustro nocne — cień Piasta chodzi za mną. Stary nie wraca jednak na miejsce to między górną i odbitą w wodzie latarnią; oczekiwałem go i wczoraj i dzisiaj. W dzień przeszukałem wszystkie chyba hotele osobiście, lub przez telefon. Zapytywałem i o pana i o księcia Piasta; podejrzewając wreszcie, że mieszka pod cudzem nazwiskiem, szkicowałem portyerom tę sylwetkę charakterystyczną, — płaszcz, czapkę. — Ani śladu.

Nie to, abym pragnął go zobaczyć. Fuka na mnie, a ja z niezrozumiałych powodów daję się ofukiwać. Ale chciałbym wiedzieć, że żyje, że nic mu się nie stało. — — Może

nie ma co jeść? może pod tym majestatycznym pozorem ukrywa nędzę? A może znowu capnął go ktoś i wsadził do kozy?

Dziwny ten stryj budzi mi w pamięci całe szeregi legend starszych odemnie, starszych nawet chyba od niego. Śnią mi się nosiciele i roznosiciele myśli naszej od — — ilu to lat? Jednak nie od wieków zamierzchłych. Nie widzę pana Wojciecha Piasta ani popuszczającego pasa za króla Sasa, ani w robotach Wielkiego Sejmu. — — Mógłby już być w szarży pod Somosierrą. — — —

Taki szwoleżer gołowąs, ognista głowa w foremnym kasku, młody centaur obszyty barwami, zrośnięty z szalonym koniem. — — Leci przez tę zadławioną szosę śmierci, skacze przez pociski rzygających dział, bo widzi tam, za trzecią baterą, za trzecią hiszpańską górą — ojczyznę swoją wolną. — — — I cudem męstwa, cudem polskiego szczęścia — przeleciał. A tam, gdzie dotarł i umieścił nadzieję swoją cudotwórczą, poczuł tylko panujący nad zdobytym światem zimny promień wzroku boga wojny, który odznaczył go łaskawem zwróceniem chwili uwagi, a później nawet krzyżykiem złotym, ukutym z ostatnich dukatów rodzimych w Księstwie Warszawskiem. — — Ale młody Piast miał piękny sen o ojczyźnie!

A może był dopiero pod Belwederem

w ową noc listopadową? To pewna, że nie śród peruk, obradujących łagodnie na wolnym sejmie o nagłości obrony Królestwa, ani pośród mundurowych panów, odstępujących sobie niepożądaną buławę z ręki do ręki omdlałej. — On pierś pełną ojczyzny niósł na spotkanie szczęścia wyzwolenia, którego ani organizacyą, ani rachunkiem nie przygotował. Tylko

»Sród pól Grochowa, gdzie stał mój dziad«

stał i on, i biegł i marzył — aż od ran upadł, a sen się znowu prześnił.

Że walczył w lasach 1863 roku — to wiem napewno.

Czy był w więzieniach? Czy sprzężony w pobok łańcuchami z szeregiem bohaterów i złodziei, wlókł znękane członki przez sybirską zakrwawioną grudę? Czy wypatrywał głodnemi oczyma w rozlanem piekle mgły lodowatej wschodzący blady księżyc »etapy«, aby powalić się tam na drewnianą przecie podłogę, w zaduchu dziegciu i zgniłej kapusty — i zasnąć — jeszcze żywym? Czy obudził się znowu na dalszą drogę w bezmiar śnieżnej pustyni i drgnął, poznając w przykutym do niego towarzyszu — trupa? —

I to podobne do niego.

Gdyby to wszystko przeżył, co mi się roi, ileżby miał lat? Już sto z górą.

Tylko niezaprzeczonym jest faktem, że

istnieje. Wyzwolił się, uciekł? sprzykrzył się oprawcom? — nie paktował z nimi napewno. Ale dziwniejsza, że tak wygląda, jakby nigdy nie miał przestać istnieć. Nietylko wiara w przyszłość go odmładza — tak mu z oczu patrzy, jakby rozpoczynał nowe, obronne doświadczeniem, a przez ból niezwyciężone życie. — — A to stary waryat! — Kochany dziad! — —

Innemi znowu pójdzie myśl ślakami i gra mi się historya pana Piasta inna. Szumią frazesy, frazesy. — — Pod bezpieczną i wygodną osłoną zachodniego rządu paryski manifest Towarzystwa Demokratycznego.

I kłócą się tam gdzieś, w hotelu Lambert, lub w zadymionej kawiarni, jak na sejmiku elekcyjnym. Ważna materya! Czy Adam I jest prawowicie obrany królem polskim, czy nim nie jest? — — Piast jest zapewne rojalistą w tym wypadku?

Śmieszność i znowu śmieszność, mój aniele,
Śmieszność, dla której jęczymy w niewoli!

Tak krwawo można sparodyować nasz emigracyjny sen o wielkości. — — Wahał się ciągle między skrajnym romantyzmem politycznym, a... Krapulińskim i Waszlapskim.

Jednak pan Wojciech Piast nie mieści się między tymi biegunami typu emigracyjnego. I żyje dotychczas. Przecie wczoraj, w Hadze, dyskutował o najważniejszych sprawach eu-

ropejskich, gromił ten tłusty kongres obłudników, wyfraczonych prokurentów Przemocy, udających apostołów i wysłańców Temidy.

Zaczynam już pisać stylem stryjowskim.

Może Piast jest niepraktyczny, bo upominać się u stada wilków o krzywdy owiec jest systemem beznadziejnym co do skutku. Z innego punktu widzenia — Piast stwierdza przy sposobności żywotność sprawy naszej, przypomina ją rządom, budzi w nich, jeżeli nie sumienie, to przynajmniej rachubę polityczną, z której wypaść może pożytek wilczy — i nasz?

Widziałem go takim raźnym, młodszym odemnie. Tylko gdy go niema, majaczy mi jego postać przygnębiona, idąca drogą bezmiernie długą, w starym, starym płaszczu, z teką Temidy pod pachą, z tobołem gratów na plecach. Mija domy zamknięte, cudze — depce ziemię twardą, nie swoją, a nogi mu drżą, a oczy pałają. — —

Naprzeciw jedzie wózek holenderski z polerowanemi naczyniami pełnemi tłustego mleka. Powozi rumiany mężczyzna, obok wystrojona, uśmiechnięta kobieta. Oj, mleka by się pewno chciało napić staremu — tak gorzko mlaska suchemi wargami. — — Przystaje — co? żebrać będzie?!

Nie. — Położył na szosie mizerny tobół

rezolutnie, jakby to był wykwintny kuferek, wyprostował się, podkręcił wąsa i poprawił czapkę.

— Obywatele! — zapytuje mleczarzy — kędy tu droga do Paryża?

Patrzą na niego z porcelanowym uśmiechem. Odezwie się mężczyzna protekcyonalnie:

— Jedziemy do kolei żelaznej. Możecie się za nami przyczepić, a gdy będziemy na stacyi, siądziecie sobie na pociąg i pojedziecie, gdzie wam trzeba.

— Dzięki wam, dobrzy ludzie. Podróżuję piechotą dla zdrowia. — A wiecie wy, że w waszym kraju drogi gładkie, lecz nie obronne. Toczycie się po nich równo, utrzymujecie ich powierzchnię w porządku. — Baczcie jednak, aby wróg Europy a sąsiad wasz, kopiący pod ziemią, nie zachwiał wam gruntu pod nogami i fundamentu waszych miast, i nie wylazł ze swych podkopów którego dnia, jak ćma wężów plugawych i nie zasyczał na wszystkie świata strony, że ziemia jego jest. A to wam powiadam z krwawego doświadczenia, bo pochodzę z kraju, gdzie tak się stało.

Patrzą na starego ludzie spokojni, a oczy ich dziw coraz rozszerza, i zasępiają się twarze. Mężczyzna z politowaniem zrazu, a potem podejrzliwie; kobieta wchodzi w wizyę

wywołaną przez dziwnego wędrowca, miłuje spojrzeniem nie treść mowy, lecz moc bijącą z jego postaci.

Bo już Piast nie marny jest, ani znękany, owszem promienny natchnieniem, jak w on dzień nad czarnym stawem Hagi.

— A z jakiego to waszmość pochodzisz kraju? — zapytuje mężczyzna.

— Polakiem jestem i nic ludzkiego nie sądzę być mi obcem.

— Polakiem?... to ciężki los.

— Trzeba go umieć nosić.

A kobieta wzrokiem już podbitym i dźwięcznym ludzkością:

— Możebyś waszmość napił się naszego mleka? Dzień jest znojny.

— Dziękuję ci, dobra pani. Jestem po obiedzie.

. . . .

Ten Piast goni ciągle za mną. Nawiewa mi swoje myśli, podsuwa obrazy, dziwadła senne, ale pełne ożywczej mocy. Pisałbym poematy albo i chwycił się czynu jakiego, przerastającego powszedniość.

Trzeba wracać do kraju.

Berlin, 28 czerwca.

Jeżeli kto ma do zagłuszenia w sobie jaki niespokojny ideał, jeżeli go nawiedzają zbyt męczące sny o poprawie świata w kierunku szlachetniejszego szczęścia ludzkości, — niech przyjeżdża do Berlina. Człowiek, wjechawszy w to królestwo ideałów praktycznych, przystosowywa się instynktowo do ogromnego mechanizmu urządzonego na to, aby każdemu obywatelowi nowy kufel piwa w najlepszym gatunku poszedł na pożytek. Pro sit! A gdy milion przeżuwających obiad i geszeft nosi się w dzień po ulicach w niezliczonych, zawsze obładowanych tramwajach, gdy który grubas drugiego chce pozdrowić, lub pożegnać, czyni to przez nieodmienny pomruk »Malzeit« — pora obiadowa. Niech będzie pochwalony syty brzuch, »realny« interes, nasze święte »państwo bojaźni bożej«!

Stwierdza się to zaraz po przyjeździe i po zejściu do restauracyi hotelowej. Jeżeli kto

o czem mówi przy stole, to z pewnością o piwie i o cygarach.

— Ich trinke gern mein Glas »Berliner Kind'l...

»Piję z ochotę moją szklankę Dzieciątka berlińskiego« — brzmi dosłowne tłómaczenie; nie można w mowie polskiej oddać tej mlaszczącej lubości.

A dopiero dyskusya o gatunku, temperaturze i cenie napoju! A o subtelnych odmianach cygar, które królowie tytuniu, Loeser i Wolff sprzedają w swych stu składach, umieszczonych zwykle na rogach ulic, jak nasze cukiernie!

A jeszcze rozmowa o cenie i o pieniądzu! — —

Wprawdzie po wszystkich miastach świata, gdy wsłuchać się w rozmowę tłumu, trzy jej ćwierci przypadają na temat pieniądza; jednak można złowić we Włoszech rozmowę o sztuce, we Francyi i u nas — o kobietach. Tutaj tę ćwierć pozostałą od obowiązującego tematu wypełniają piwo i cygara.

Ulica wystawia kolosalne okazy zdemokratyzowanego bogactwa. To przyznać trzeba: ziemski ideał Prusaka bliski jest swego absolutnego wcielenia. Taniość i rozmaitość lokomocyi dochodzi naprzykład do rozmiarów, które budzą podziw w przybywającym tu gościu. Ten dworzec centralny w samym środku

miasta, grzmiący co minuta nowym pociągiem, albo taka ulica Lipska, która płynie pośrodku nieprzerwanym dwurzędem tramwajów, oprócz innych wehikułów wszelkich typów konnych i samochodowych — świadczą jednak o geniuszu tej rasy w urządzeniu taniego szczęścia dla wszystkich.

Wszystko tu zmierza do idealnej powszechnej wygody; wygodzie służy i sztuka i, póki nie wychodzi z tego zakresu »des Kunstgewerblichen«, sprawia tylko lekkie cierpnięcie zębów, do którego jednak można się przyzwyczaić. Ale oburzające są zaiste porywy Berlińczyka do sztuki właściwej, zwłaszcza urzędowe apoteozy nieautentycznej chwały Prus. Nowe gmachy publiczne, pomniki, jak Wilhelma I, lub ten szereg przodków brandenburskich w Thiergarten'ie — aleja serów, zwana »aleją Zwycięstwa« — należą do najpiramidalniejszych okazów złego smaku i przykładów, jak nie należy używać marmuru i bronzu. Warto po tych dziwolągach oprowadzać młode pokolenie kształcących się artystów, choćby południowo - niemieckich, i dowodzić, że kultura militarno - finansowa zdolna jest zbudować tylko ciężkie zawalidrogi w życiu wewnętrznem i zewnętrznem, na obraz i podobieństwo swoje.

Zbyt tanią zabawą jest wyliczanie potwornych dzieł sztuki urzędowej, które tu osta-

tnimi czasy wyrosły. Zły smak rozlał się i na budownictwo prywatne i na wszelkie ozdoby życia. Szukam wyrazu na ogólny pozór wrażeniowy Berlina.

Zwykle symbolizujemy miasta przez postacie kobiece. Czy można inaczej wyobrazić sobie symbol Aten, Paryża, Wiednia, Hagi, nawet Krakowa i Norymbergi, jak pod postacią kobiety? Na bóstwo Berlina żaden chyba rzeźbiarz nie znalazłby kobiecego wzoru, zwłaszcza gdyby go szukał wśród samic miejscowych, najbrzydszych, jakie wydało krzyżowanie ras europejskich. Bóstwo Berlina jest stanowczo rodzaju męzkiego, mocne i otyłe, z wyrazem potęgi w brzuchu, koniecznie umundurowane, oparte na krzyżu bezchrystusowym, zaostrzonym w miecz...

Nie potrzebuję zresztą wysilać wyobraźni, bo stworzono niedawno z porfiru geniusza Berlina, którego nazwano Rolandem. Jaki to Roland? — nikt nie śmiał zapytać panującego twórcę pomysłu, a może i rysunku. Z urzędowego pruskiego natchnienia wyskoczył porfirowy drab, małpujący staroniemiecką tradycyę mieszczańsko-rycerską, i rozkazano mu się nazywać »Rolandem Berlina«. Przed groźnie opancerzonym nosem trzyma ów krzyżowy miecz, ażeby wyrażać zarazem dobroczynny wpływ kulturalny, stoi na wierz-

chu studni, lejącej wodę na cztery strony świata.

A może niesłusznie z taką pogardą traktuję Berlin, skoro milionom ludzi dobrze jest z tym stylem, z tą kulturą i sztuką? Jestem tylko pewien, że sądzę ze stanowiska Europejczyka, to zaś gniazdo, choć we środku lądu i z europejskich soków urosło, jest wstrętnym nowotworem na ciele Europy. Gdzież tu nawet Germania, stara kolebka sztuki, współrodzicielka gotyku, ojczyzna Dürera, Goethego, Heinego? Niema jej w Berlinie. Nawet od czasu hegemonii pruskiej, od 1871 roku, spodlała dusza prawdziwych Niemiec.

Niepoślednią przyczyną mego złego usposobienia jest, że mi Berlin, nieobjęty wcale planem mojej podróży, skrócił dobre dni wakacyjne, a nawet popsuł ową holenderską Helę z Hagi. Byłem oczywiście u Latzkich, zaproszony zostałem na obiad z jakimiś matadorami. Co mi po tem? Hela na nic nie ma czasu, pochłonięta przez stosunki towarzyskie, widocznie bardzo rozgałęzione, a i po ulicach Berlińskich tak latać we dwoje, jak w Hądze, nie można.

Po co ja właściwie tutaj przyjechałem? — — Pozostałby mi z Hagi obraz »niewykończony«, ale malowany przez Rembrandta. Tutaj mi mój obraz oprawiają w tak bogato złoconą,

secesyjną, dentystyczną ramę, że już go nie poznaję.

Jest jedna rada: uciec i ostatnich dni wolnych użyć na obejrzenie miast prusko-polskich, choćby samego Gdańska.

Berlin 1 lipca 1899.

Zmieniam ostatecznie przeznaczenie tego pamiętnika. Kupiłem sobie małą, zamczystą szkatułkę i zamykam w niej kajet. Będzie to mój skarb prywatny, wyłączny. A wstrzymać się nie mogę od zapisania przewrotów dnia... już wczorajszego. Północ bije.

Hela! moje ty dziecko tajemnicze! *Du, mein Verlangen!*

Nie — listu do niej nie będę tu pisał. Chcę, jak skąpiec, policzyć swoje skarby od pierwszego do ostatniego.

Przyszła, punktualnie co do minuty, na ten dworzec Wannseebahn, gdzie ja już czekałem od pół godziny, wmawiając w siebie, że wczorajsza obietnica to żart, że ja się tu znajduję tylko dla okazania mej gotowości na wypadek, gdyby ona przez kogoś chciała sprawdzić, czym był na miejscu. Ale gdy wskazówka zegara dochodziła do godziny drugiej, zbliżyłem się do szczytu wielkich schodów prowa-

dzących na peron — i byłem już pewien, że przyjdzie.

Jakoż szła po schodach w górę szybko i rezolutnie. Nie poznałem jej zrazu, bom nigdy jej nie widział tak ubraną. Jakaś Angielka w podróżnym kostjumie; wielki welon pokrywający kapelusz, okręcony koło szyi, zasłaniał jej prawie całą twarz, którą zbliska dopiero poznałem po lśniących, awanturniczych oczach. Nie skinęła mi nawet głową, ja też nie ukłoniłem się, rozumiejąc, że tutaj jeszcze, o dwieście kroków od Poczdamskiego placu, trzeba udawać nieznajomych. Tylko, mijając mnie na peronie, zapytała cicho:

— Ma pan bilet do Steglitz?

— Mam.

Miałem nawet dwa bilety aż do Wannsee, na wszelki wypadek.

Natychmiast wsiedliśmy do wagonu. W tej porze dnia pociągi odchodzą stąd co pięć minut, złożone z drugiej i trzeciej klasy. Cały pociąg był tak pełny, żeśmy zaledwie znaleźli dwa miejsca w jednym przedziale, i to nie obok siebie.

Ten kwadrans jazdy do Steglitz, z przystankami co 5 minut na Grossgörschenstrasse i we Friedenau, mam w pamięci wydrukowany... sadzą, bo trudno powiedzieć inaczej o ciągnącej się przez dziesięć kilometrów

czarnej prozie zadymionych murów, cmentarzy, pustek i znowu murów.

Wszyscy w wagonie milczeliśmy jak zaklęci, sześć osób prócz nas dwojga, jedni zatopieni w gazetach, inni broniący tylko niezależności swej pozycyi od łokci sąsiadów. I nikt nawet oprócz mnie nie zerkał w ten kąt, gdzie siedziała, trochę zwrócona do okna, ta śliczna Hela, wypatrując przymrużonemi nieco oczyma obrzydliwe mijane widoki. Stwierdzili tylko z początku, że jedzie Angielka — to normalne — i dalej kopcili cygara, zaciągając się flegmatycznie dymem i mądrością swych gazet. Przedział był dla palących.

Na trzeciej stacyi Hela wstała, wprawnym ruchem otworzyła drzwi wagonu i wyskoczyła. Wyszedłem za nią na peron, i tu pamiętam pierwszy, milczacy jeszcze, uśmiech porozumienia. Podniosła ramiona, zmrużyła oczy, jak żak, któremu udał się psikus. Znowu inaczej była śliczna.

Jeszcze budka kontroli biletów, jeszcze schody — i niewielki placyk czystego, banalnego miasteczka.

— Steglitz. Nie zna pan? — proszę za mną.

Tramwaj do Dahlem. Dobrze — wsiadamy.

I tu dopiero, pośród obojętnych, już bardziej prowincyonalnych towarzyszów, zaczęliśmy rozmowę po francusku, przyczem zauwa-

żyłem, że Hela przesadza nadsekwański akcent, a włosy ma uczesane inaczej, niż zwykle.

Zacząłem od dziękczynienia.

— Jeszcze niema za co — przerwała mi.

— Jakże pani wykonała tę ucieczkę?

— Tak, jak mnie pan widzi. Papa wyjechał do jutra. Panna służąca zależy zupełnie odemnie.

— A dokąd jedziemy? — bo ja nie mam żadnego planu i nie znam tej okolicy.

— Ja także nie bardzo. Ktoby tam znał cały nasz »*gross Berlin*«*!* To jest już zresztą powiat Teltowski. Ale jechałam raz tu samochodem i pamiętam, że w tej stronie, za Dahlem, jest las. Jedziemy sobie do lasu, jeżeli to pana nie przestrasza.

— Jedziemy do lasu — przecie to zupełnie naturalne.

Ja w tej awanturze grałem rolę porwanej panny; serce mi biło młotem i nie bardzo wiedziałem, jak mam się zachować, właśnie dlatego, żem był wobec panny z porządnego domu, nieobliczalnej. Wmawiałem w siebie nieustannie, że trzeba być swobodnym, ale zrazu nie udawało mi się to wcale. Pytałem, jak się nazywają miejsca, które mijamy, zwłaszcza gdy tramwaj zatrzymywał się co kilkaset kroków.

— Proszę czytać — na tablicach napisano.

Jakoż minęliśmy wkrótce ładne ogrodowe

wille miasta Steglitz, zaczepionego już odroślami o wielki kompleks osad, składających t. zw. »*gross Berlin*«, i sunęliśmy przez łysinę ziemi zrzadka, lub wcale jeszcze nie porośniętą murami. Jednak ulice gotowe, krzyżujące się tramwaje, drogoskazy, różne budki techniczne dawały wrażenie skończonego planu, na którym jeszcze nie ustawiono domów, ale zaraz wyrosną z ziemi, a może je przywiozą tu w nocy jakiemiś machinami. Jechaliśmy po karcie geograficznej.

— Widzi pan? Holandya! — zawołała Hela.

Na regularnej, ograniczonej szosami, połaci gruntu, pokrytej tłustem ścierniskiem, kilka krów się pasło.

— Koloru brak — zauważyłem.

— I wiatraków, i morskiego wiatru — dodała Hela. — I tutaj przyzna mi już pan, że obraz nieskończony? — Ale ja lubię ten rozrastający się postęp, potęgę. —

Powiodła rękami ruchem okólnym, niby pływaczym.

Rzeczywiście, gdzie okiem sięgnąć, czy ku Berlinowi, czy w kierunku przeciwnym, wyłaniały się z pola i z trzebionej sośniny domy i domki, czasem zbite w kupki, jak nowonarodzone grzyby, czasem sterczała pojedyńczo miejska kilkupiętrowa kamienica, ślepym przekrojem prostopadłym odcięta od powietrza, należącego już prawnie do innych właścicieli,

do przyszłych planów i rozwojów. Ogromny Berlin kamiennemi mackami ogarniał, pożerał ledwie już dyszący wiejską świeżością powiat Teltowski.

Las się zbliżał, także gęsto zamieszkany, użyty za cień tylko dla szaro-czerwonych willi. Smutne kity sosen płakały nad neo-berlińskim pudełkowato-pancernym stylem.

— To jest ten las? — zapytałem.

— W głębi będzie piękniejszy, niech się pan nie boi.

Tramwaj ma swą krańcową stacyę pod lasem. Wysiedliśmy i poszli, pełni nadziei, prostą, jak struna, szosą wkraczającą w coraz autentyczniejszą zieleń leśną.

— Czy nie chce pani pójść raczej jaką drożyną między drzewami?

— Dobrze, ale trzeba się rozejrzeć po napisach, czy wolno.

Na lewo od szosy po chudym, choć dosyć wysokim lesie rozlegały się echa dalekich strzałów. Napotkaliśmy wkrótce tablicę z takiem ogłoszeniem:

»Ostrzega się publiczność przed wchodzeniem w głąb lasu z powodu kul mogących błąkać się ewentualnie po nim od umieszczonej w Dahlem 32-ej królewsko-pruskiej strzelnicy.«

— Widzi pan! nie pójdziemy na lewo. Jeżeli mamy umierać razem, to lepiej już jak Rudolf i Veczera.

— Rzeczywiście!

Nie chciałem zapuszczać się głębiej w żart, którego doniosłości Hela zapewne nie rozumiała. Uszliśmy paręset kroków szosą, wypatrując na prawo drogi bardziej malowniczej. Miejscami las był podszyty, kapryśniej narysowany, niż te sztywne pułki sosen ustawione na zeschłej i zaledwie zielonej ziemi. Ale właśnie części zagajone otaczał płot z kolczastego drutu. Nareszcie jakiś bukiet drzew wydał nam się pociągającym do odpoczynku i niebronnym. Usadowiłem Helę na płaszczu moim rzuconym na wrzos, nieopodal od szosy, w przeźroczystym lesie, bo innego nie było w pobliżu. I powiał jednak wiatr żywiczny, i coś na podobieństwo poezyi zaczęło się marzyć. Wyjąłem papierośnicę z kieszeni, zapytując *pro forma* tylko mojej towaszyszki, rozciągniętej na ciemnem tle płaszcza w pozie Magdaleny Battoniego, ze wzniesionemi na mnie figlarnemi oczyma — czy wolno mi zapalić papierosa?

— Mnie to nie zawadza, ale może pan zapłacić karę.

— Cóż to? przedział lasu dla niepalących?!

— Nie zauważył pan na tablicy, którą minęliśmy, ostrzeżenia, że nie wolno tu rozkładać ognisk, ani palić tytuniu?

— A! wie pani, że te wasze lasy podmiejskie — —

— Tak — rzekła, patrząc na mnie uważnie — pan jest z kraju obszarów, może pięknych, ale jeszcze tanich.

— Owszem, mieszkam w mieście i wogóle w kraju bardzo zaludnionym. Ale okolice miast naszych są gościnniejsze.

— Rzeczywiście nudny las! — zawołała Hela, zrywając się na nogi — pojedźmy nad jeziora!

— A kędy to się jedzie?

— Właśnie, że nie wiem dobrze. — Najprostszy sposób powrócić do Steglitz i stamtąd pojechać dalej do Wannsee. Czasu mamy mnóstwo do wieczora.

Dobra jest; umie nawet być słodka i potulna. Nie dla swojej wyłącznie przyjemności, czy emocyi wybrała się na tę ryzykowną wyprawę, lecz mnie chciała ująć, pokazać mi piękności swego kraju, jakie są, stworzyć wspólną dla nas, niezapomnianą pamiątkę. I stworzyła.

Jechaliśmy tedy znowu tramwajem, znowu wagonem kolei parowej, i, choć jeszcze rozmowa nie doszła do szczytów, było nam cieplej w sercach. Czułem wdzięczność dla mojej miłej przewodniczki, zapominałem już o dziwnej sytuacyi, gadałem szczerzej, jak z bliską duszą, przyglądając się tylko tym oczom groźnie głębokim, ale nie myśląc, co mam powiedzieć, nie dyssekując jej słów, ani

zamiarów. Nawet krajobraz tej nowej godziny podróży nie został mi w pamięci, jak poprzedni. Czułem tylko, że jedziemy w kraj piękniejszy, bliższy przyrody. A gdyśmy wysiedli w Wannsee, było inaczej na świecie, zielono, pagórkowato, leśno, chociaż nie dziko. Piękne jezioro, złożone z samych zatok, otaczają wille i osady pośród lasu i ogrodów, ale tu już wieś panuje, tchnie świeżością wody i sosen, śmieje się swojsko.

W Wannsee dostęp do jeziora okazał się dla turystów możliwy tylko przez kawiarnię, spadającą tarasami aż do brzegu wody. Weszliśmy więc do tego zakładu, a opędziwszy się od służby jakimś obstalunkiem, stanęliśmy nad samem jeziorem. Natychmiast stado łabędzi, przywykłych do karmienia, przysunęło się do nas, samce złe i nastroszone, jakby w aureoli z pół rozpiętych skrzydeł, samice gładkie i dumne ze śnieżnych wdzięków, pisklęta szare i gęsiowate.

— Nasze łabędzie z Vijver'u! — zawołała Hela.

— Tamte nie przychodziły do ręki — nadmieniłem.

— Tutejsze zaś przychodzą — odpowiedziała — same się proszą, aby je pogłaskać; niech pan spróbuje.

Mówiła z widoczną w uśmiechu alluzyą,

łasząc się do mnie oczyma i jakimś falistym ruchem postaci. Rzekłem, patrząc jej w oczy:

— Jest jeden na świecie śniady łabędź z rudą główką, ale pani go nigdy nie zobaczy w przestrzeni. Kto zaś go zobaczy, śni już tylko o nim.

— Może gdybym spojrzała w wodę? — —

Staliśmy na małym pomoście do lądowania łodzi, nad wodą dosyć głęboką. Hela tak bardzo przechyliła się przez baryerę, żem był zmuszony chwycić ją za oba ramiona i odciągnąć od wody.

— Co pani robi, moja droga pani?!

Gdym ją jeszcze trzymał za te ciepłe, wątłe, ale krągłe ramiona, przechyliła głowę w tył, aż mi po twarzy przeszedł pachnący jedwab jej woalu i bliski rzut jej głowy przewróconej, przymknięte rozkosznie oczy, usta coś bez dźwięku szepczące — —

Tak mi zaważyła na ręku, cofając się od wody, żem jej nie puścił odrazu, bo zdawała się padać na wznak. I wyszeptała:

— Żeby się pokołysać — —

Niby dzieciak, niby oddająca się kobieta.

Trwało to razem dużo krócej, niż przeczytanie niniejszego opisu. Ale od tej chwili zaczął się czar.

Jakby połączeni stanowczem wyznaniem, odeszliśmy od wody i wykonali szereg działań, które bez tego czaru byłyby najpospolitszą

niedzielną przechadzką. Były zaś czemś specyalnie naszem, nigdy niedoznanem.

Piliśmy kawę przy stoliku na tarasie, patrząc w jezioro. Zdjęła rękawiczki i drobnymi palcami włożyła cukier do mojej filiżanki.

— Niech sobie myślą, że pan Müller z narzeczoną przyjechał do Wannsee — rzekła, wskazując na kilka innych osób siedzących opodal przy stolikach.

I parsknęła nieproporcyonalnym, drażniącym śmiechem.

A gdyśmy wstawali od stołu i kelner zbliżył się po zapłatę, zawołała na cały głos po niemiecku:

— Zapłać ty dzisiaj!

I znowu śmiech, który i mnie się udzielił, aż kelner osłupiał. Uspokoił się, gdy dostał za dwie kawy całego talara.

Poszliśmy znowu nad jezioro, a ja jej już tylko mówiłem, jaka ona piękna. Mówiłem poprostu, na gorąco, nie szukając porównań, ani osłon — całowałem słowami. A ona rzeczywiście stawała się coraz piękniejszą. Biły jej nozdrza drobnym pulsem, jakby w takt serca; oczy mieniły się aż bezwstydnie. Nie broniła się bynajmniej od pochwał, owszem odpowiedziała parę razy:

— Pan mi się także podoba — jest pan duży, zgrabny — i nie zanadto literat i nie taki prosty lejtnant we fraku...

Pomijam. Niepodobna opisać słowami, cośmy wygadywali. Była to taka żywiołowa orgia prostych wyznań, do żadnych wspomnień w mojem życiu nie dająca się porównać. Tak chyba mówili do siebie Adam i Ewa w raju, przed grzechem. Zaledwie mi błyskała w mózgu mętna świadomość, że przecie takie słowa do czegoś obowiązują, że to nowe życie, albo przepaść: że wreszcie ona jest odemnie młodsza o lat dziesięć i cała w mojej mocy...

Sumienie działało we mnie o tyle, żem sobie zakazał dotknięć, nawet ręki z ręką. Gdy się oparła lekko na mojem ramieniu przy jakiemś przejściu pod górę, drgnąłem, aż zapytała:

— Co to? czy pana parzy moja ręka?

I po paru godzinach takiej prostej, a zarazem szalonej rozmowy, poczułem się nagle nadzwyczajnie wyczerpanym. Hela także. Błądziliśmy już gdzieś ulicami nad przebłyskującem przez sosny jeziorem, mijaliśmy różne domki, pagórki, którychbym nigdy nie odnalazł, gdybym tam powrócił. I opanowało nas jednocześnie fizyczne, przemożne znużenie.

Hela rzuciła się na jakąś ławkę z mocno odchylonem oparciem; siadłem obok niej.

— Wie pan, że jabym na chwilkę usnęła — —

I zamykała oczy, a śliczna twarz jej bladła, pierś podniosła się głębokiem westchnieniem i zaczęła falować równo — —

— Ależ pani! niepodobieństwo! wieczór się zbliża.

— Co to nam szkodzi?... chwileczkę.

Mnie tylko męzka ambicya utrzymywała w czuwaniu. Hela siedziała dość długo z zamkniętemi oczyma, a ja, patrząc na nią, choć tak piękną, wyznać muszę, żem jej w tej chwili nie pożądał. Nie przez rozrzewnienie jakieś, nie przez uszanowanie — poprostu pragnienie snu było we mnie silniejsze, niż wszystkie inne w tej chwili.

Otworzyła oczy trochę łzawe i okolone mocniejszym cieniem, zwróciła je odrazu na mnie i młody ogień wstępował w nie powoli. Powstała sprężyście z ławki.

— Tak — już trzeba wracać.

Zmierzch zapadał, kawałek drogi mieliśmy do kolei, a i pociąg do Berlina opuszczał już stacyę, gdyśmy dochodzili. Następny o tej porze odchodził dopiero za pół godziny.

Siedliśmy pod dachem bez ścian pustej zupełnie stacyi, mając przed oczyma zamierzchający las, po którym poczynały zapalać się tu i ówdzie okna domów. Noc letnia zaciągała się powoli na wybladłe niebo, kuszące do wypatrywania pierwszych gwiazd. I ogarnęła nas oboje ponownie, tym razem jak ciche szaleństwo, ochota wzajemnych wyznań. Hela odchylała głowę w tył, jak wtedy nad jeziorem przy baryerze, ale patrzyła nie na

mnie, tylko w górę, wdychając wielkimi haustami pachnące powietrze; rozkosz żarzyła się i przymierała w jej oczach nie dziecinnych już, ale kobiecych, w ustach trochę otwartych, jakąś lubą okolonych pogardą. Profil jej odcinał się od obłoku woalu, kryjącego kapelusz, włosy i szyję, a postać nawpół leżąca obrysowała się suknią w kształt wyraźny, dziewczęcy i gibki, aż do zgrabnego trzewika.

Ja zaś, siedząc blisko, patrzyłem na nią bez wszelkich ugrzecznionych pozorów, czując, że mi na to pozwala. Milczeliśmy dość długo pogrążeni w kontemplacyi: ona patrzyła na niebo, ja na nią — i odpowiadała mi westchnieniami, co się w niebie dzieje, jakie tam zapalają się gwiazdy, co nam wywróżą — — —

Zdjęła rękawiczkę i rzuciła mi ją na kolana. Ucałowałem ten ciepły zamsz, zachowujący jeszcze trochę kształtu jej ręki — — Wtedy ona podała mi obnażoną rękę. Podniosłem ją do ust — była lodowato zimna.

Nie puszczając mej dłoni, wyszeptała:

— Powiedz mi pan nareszcie...

Powiedziałem, że ją kocham, że mi jest najdroższą w świecie, żem gotów na jej wszystkie rozkazy. Gadałem co mi do serca przychodziło falą — nie pamiętam.

Pamiętam tylko — do śmierci — jakim ruchem odgarnęła woal naokoło twarzy, w której pałał krwawy kwiat jej ust, mięsisty, raj-

skiego smaku, omdlały zrazu na zaciśniętych ząbkach, potem szalony życiem, ruchem, mokrym spazmem całkowitego oddania się.

— Powiedz po niemiecku: *Hela, ich liebe dich* — —

I ten uśmiech, gdym powiedział, jak rżenie jakiejś antylopy z bajki, krótki, urwany na nowem złączeniu ust, aż do omdlenia!

Rozpaczliwa proza stacyi kolejowej. Jakiś posługacz z młotem w ręku. Ale minął nas i zniknął w ciemności. I znowu jakieś figury, zdążające na pociąg, który będzie nie dla nas wyłącznie, jak ta stacya zbudowana w nocy letniej na przybytek naszego szczęścia.

Przez ziemię zamroczoną dochodzić zaczął rosnący grzmot.

— Już pociąg! — wzdrygnęła się Hela.

Linia w tem miejscu zatacza łuk, więc nie widać z daleka przednich latarni lokomotywy, tylko łoskot żelazny zbliża się, zbliża, jęczą wtórem wyższym szyny, aż nagle z zarośli wyskakuje dymiący potwór z krwawemi oczyma.

Przez dwie jeszcze stacye — dziesięć minut — siedzieliśmy z Helą w pustym przedziale. Tyle było czasu na powiedzenie sobie, gdzie się spotkamy znowu, co z tego wyniknie, na to wszystko, co pierwej już powinno było być omówione. Ale ona nie chciała o tem słyszeć.

— Co tam jutro! dzień nienawistny! taki, jak dzisiejszy nie będzie. Mów mi jeszcze to, co nad wodą — — albo to, co na stacyi — —

Mówiliśmy więc, mówili, aż do zakrwawienia warg, aż do zaparcia tchu — —

— Mów po niemiecku, póki nikogo niema. Mów: *Meine Hela! Du, mein Verlangen* — —

Ale na drugiej stacyi jakaś para ludzi, będących może w podobnych do naszych warunkach, zwaliła się hałaśliwie do naszego przedziału. Mężczyzna młody, już gruby, usiadł, podciągnąwszy na kolanach nogawice spodni, pokołysał się na sprężynach kanapy:

— *So!*

Kobieta brzydka, w śmiesznym kapeluszu, ubrana w kolorowy worek, śmiała się zalotnie do swego kompana. I poczęli szwargotać, wybuchać śmiechem, jakby nas tu wcale nie było. Taka mię złość porwała na tę parę brutalną, żem się po francusku odezwał do Heli:

— Czy niema sposobu pozbycia się tych zwierząt? może jest dla nich przedział osobny, albo pierwsza klasa dla nas?

Hela wzruszyła tylko ramionami z pewnem zgorszeniem. Oczywiście nie ja miałem za sobą słuszność, lecz ustrój demokratyczny.

Przybywało coraz więcej osób, a od Steglitz pociąg napełnił się kompletnie. Ta przedostatnia godzina naszej wyprawy była bolesna.

Znacznie też nadąsani na los dojechaliśmy

do Berlina i ostrożnie, w pojedynkę, zbiegliśmy ze schodów dworca na ulicę. Nawinął się wolny samochód; wsiedliśmy do niego, poleciwszy zamknąć dach. Hela podała palaczowi nieznany mi adres.

— Dokąd to jedziemy?

— Do miejsca w pobliżu naszego domu. Tak we dwoje nie możemy wysiąść przed drzwiami. Portyera nie jestem pewna.

— Oczywiście — — Ale czy już koniecznie wracać trzeba?

— Chciałby pan więcej?

Zimniejszy ten ton, niby ironiczny, ścisnął mnie za serce. Tak człowiek łatwo przywyka do rozkoszy.

— Ach, panno Helo!

— No, bo jakże? — po ulicach włóczyć się nie będziemy samochodem — — pójść do teatru, do porządnej restauracyi we dwoje nie możemy — — godzina jest niezbyt późna, dziesiąta, i papy dzisiaj w domu nie będzie.— Cóż, kiedy niema co robić — —

Było to przygnębiające, ale prawdziwe.

Nagle Heli zabłysły oczy fosforycznie; zwróciła się do mnie z namiętnym, oschłym szeptem:

— Czy pan zna dobrze Berlin?

— No, nie tak dobrze, jak pani.

— Ale ten Berlin, którego ja znać nie mogę, o którym słyszałam — »*Berlin bei Nacht*«?

— Ach, byłem kiedyś w paru nocnych knajpach — odrzekłem niedbale.

Chwyciła mnie za rękę nerwowo.

Zaprowadź mnie tam — do jakichś strasznych, złoconych, czerwonych knajp — — okryję twarz woalem, nikt mnie nie pozna, ciebie nie znają — — zaprowadź mnie, ty!

— Dziecko! co mówisz?

— Przecie my jesteśmy ludźmi niezwykłymi — przecie trzeba znać i podłą rozkosz, aby ją odróżnić od naszej — prosiła namiętnie.

— Nie pamiętam nawet adresów — odpowiedziałem zimno.

— Zapytamy palacza.

— Hela! nie mów tak! nie rozumiesz... Byłbym nieuczciwym człowiekiem, gdybym ci pokazał choćby przedpokoje rozpusty. Jakżeby wyglądał ten nasz dzień i twój pocałunek, Hela!

— *Dem Reinen ist ja Alles rein* — upierała się jeszcze cofając rękę.

— Zmiłuj się nademną, nie miej mi za złe! Dziękować mi będziesz kiedyś, może już jutro.

Przygasły jej oczy, zadrgała twarz rozrzewnieniem, a może ironią. A ja prosiłem cicho, pokornie o jeden jeszcze taki leśny, pachnący pocałunek. Dała mi go, ale już zimniejszemi, roztargnionemi usty.

— Ach, ty mój Polaczku! — rzekła po chwili dziwnym głosem.

Dojeżdżaliśmy.

— Dziękuję ci, Hela, dziękuję z głębi duszy. Do jutra i do końca życia...

— I ja ci dziękuję...

Już jej nie było przy mnie. Śmignęła szybko z samochodu, nie pozwalając mi towarzyszyć sobie w dojściu do domu.

Spisałem wszystko, jak detektyw. Gdybym tworzył wspomnienie literackie, opuściłbym ostatni epizod. Ale łatwo sobie tłómaczę ten wybryk wyobraźni Heli: taka wrażliwa, impulsywna dziewczyna, pierwszy raz puszczając wodze swej skłonności do mężczyzny, mogła dostać zawrotu głowy. Cała ta przygoda była naiwna, nieobliczona, samorzutna. Co taka Hela może wiedzieć, jakie są nocne knajpy w Berlinie? A są ohydne w tem państwie bojaźni Bożej — — — Nasłuchała się opowiadań przyjaciółek mężatek, ciekawa jest, żądna uświadomienia — —

Nie chcę myśleć o tem głupstwie, przesłaniającem poprzedni szereg wrażeń, a raczej faktów stanowczych w życiu nas obojga. Jutro, dzisiaj rozmówię się z moją obiecaną Helą — no i z ojcem.

Zobaczymy, co dzień przyniesie.

Berlin, 2 lipca 1899.

To gorzej, niż nudne, żem został odprawiony od drzwi państwa Latzkich. Excellencya dopiero co przyjechał i nie może nikogo przyjąć. Panienka niezdrowa — zaziębiła się. Nieznośny dzień, spędzony na przepychaniu się przez tłum na ulicach.

I jeszcze drobiazg, który mnie usposobił grobowo — zapewne objaw gorączki.

Mignął mi pod Lipami samochód prywatny, a w nim, przysiągłbym, że stary Latzki, Hela i Paugwitz. Oczywiście to przywidzenie. Takich panów starszych w cylindrach i młodszych z minami aroganckiemi jest dużo po mieście. Ale Hela jest jedna. Nie — to nie mogli być oni.

Berlin, 3 lipca 5-a rano.

Nieszczęście, czy przebudzenie z niedorzecznego snu?

Może, spisując uważnie nowy szereg dziwnych zdarzeń, dojdę do jakiegoś wniosku?

Ten salon państwa Latzkich w dzień ich tam przeklętej »recepcyi«! I m o j a Hela przyjmująca gości!

Gdym odczytał pamiętnik przedwczorajszy, ażem się zdumiał nad samym sobą. Przecie nie kłamałem, ale chyba opuściły mnie zdrowe zmysły? — — Ta panna, ta dziewczynka rozmiłowana chyba jest... podwójna?

Fakty najprzód — psychologia na później.

Pełno ludzi obcych, smutnych, jak stado wron, na fotelach; a stadko śmiesznych kogucików około Heli, rozdzielającej filiżanki z herbatą najswobodniej, figlarnie.

Zaziębiona? niezdrowa? Jeszcze jedna komedya — ta właśnie dla mnie.

»Sie sassen und tranken am Theetisch
Und sprachen von Liebe viel...

Nawet nie to. Raczej stylizowany, srebrami obciążony straganik, za którym ładna przekupeczka ofiaruje swe łaski najwięcej dającemu. Był naturalnie i Paugwitz. I wczoraj jeździł z Latzkimi samochodem — teraz już nie mam wątpliwości.

A ja figurowałem tam, jako co? Miałem wrażenie, żem był ostatni w tem dostojnem zgromadzeniu — —

Sam Latzki grzeczny, jak zawsze. Przedstawiał mnie na prawo i na lewo. Kłaniałem się sztywnie, tamte figury również; nie przemówiliśmy do siebie ani słowa.

A Hela, gdym się z nią witał:

— Ach, pan w Berlinie? od kiedy?

Chciałem odpowiedzieć, żem tu przyjechał boczną drogą — przez Wannsee.

Co tu długo pisać o tej śmiesznej i podłej wizycie? Jedyne słowa znaczące, które zamieniłem z panną Latzką, młodą Excellencyą od krętactwa, były przed samem wyjściem mojem z salonu. Na uboczu:

— Jest pan szlachcicem. Mam nadzieję, że o przedwczorajszym dniu pan zapomniał?

— Może pani być pewna i spokojna.

. . . .

To nazbyt wyraźne, aby się długo rozwodzić nad wartością mego cudownego wynalazku w dziedzinie psychy kobiecej. Raczej

nad moją przenikliwością wartoby się zastanowić.

Ale zanotowawszy głęboko w pamięci to doświadczenie i naukę, mogę na całe zajście patrzeć bardzo wesoło. Bawiłem się przedwczoraj szalenie i nie straciłem nic — — Ona także nic — — w przeciwnym tylko wypadku byłaby komplikacya.

Trzeba było dzisiejszym pociągiem wracać do Warszawy, zwłaszcza, że już trzy dni po terminie mego urlopu. W tej chwili byłbym w gościnnej sali rewizyjnej w Alexandrowie, gdzie numery ludzkie obok numerów bagażowych stoją sobie złą godzinę zamknięte w sześcianie, bez krzeseł, ani ławek, pośród woni dziegciu i mat podgniłych. To zdrowe na otrzeźwienie od zachodniego liberalizmu.

Widmo tej sali rewizyjnej było jednym z powodów, żem został jeszcze dzień jeden w Berlinie. Przyznaję się zresztą, że wyjechać odrazu po wizycie u Latzkich nie mogłem, no nie mogłem. Chciałem się jakoś zemścić nad tem miastem, nad wspomnieniem Heli, nad samym sobą. I obrałem sposób, który tu, dla bezwzględnej szczerości, zapisuję.

Prosiła, żebym jej pokazał Berlin po nocy — Jej tam zaprowadzić już nie mogę, ale zawlokę jej obraz, smak jej pocałunków, zapach perfum, którego trochę nasiąkło mi w ubranie. Powiem jakiej bezecnej dziewce nocnej:

— *Du! mein Verlangen!...*

Może gdzie spotkam Helę z Paugwitzem, usłużniejszym odemnie?

Nie spotkałem jej oczywiście. — Ale koniec tej nocy niedorzecznej zmienił się znowu w dziwne, niepokojące wrażenie, których tyle miałem podczas tegorocznych wakacyi. Ładny mi odpoczynek!

Sam już siedziałem w natłoczonej pomimo późnej nocy restauracyi i jadłem, bom poczuł głód po przygodach mojej wędrówki. W samym środku miasta ten zakład jadłodajny wrzał od ruchu, błękitniał od dymu cygar, odurzał woniami sosów i alkoholu. A publiczność nocna nie bardzo się różni od dziennej; trochę hałaśliwsza, ale ta sama. Pośród chrupiących i cmokczących pysków męzkich kilka czubatych kokot, a przy paru stołach towarzystwo zupełnie familijne: tryumfalnie brzydkie córki, nadęta mama, potworna ciotka... Czemkolwiek zresztą są te niewiasty różnych wieków, w żadnym kraju na świecie nikt nie odważyłby się wyprowadzać takich okazów na widownię, w nocy, w miejscach rzekomej zabawy. Tu jednak należy to do »*Gemütlichkeit*«. Bydlę ludzkie wylega z domów i pasie się pospołu, parami i gniazdami, choćby do rana. Czasem słyszy się zdanie: »Ach! jak »kosztownie« bawiłyśmy się!« — od takich kobiet, że aż zdumienie ogarnia, kto

mógł za taką zabawę jeszcze dopłacać? Imponujące równouprawnienie!

Siedziałem i jadłem. — Naraz zwróciły moją uwagę podniesione głosy u drzwi wejściowych. Przetarłem oczy, aby się przekonać, czy nie śnię.

Otoczony przez kelnerów stał w pobliżu drzwi pan Wojciech Piast. Wyższy od nich o głowę, w »maciejówce« swej i płaszczu, wyglądał, jak wypierzony orzeł, opadnięty przez kruki. Tłomaczono mu dość natarczywie, że wszystkie miejsca zajęte. On zaś wyniośle i spokojnie rozglądał się po sali.

— *Rrraus!* — wrzasnął jakiś pijany z za bateryi kuflów, solidaryzując się instynktowo z kelnerami.

Rzuciłem się pośpiesznie ku osaczonemu stryjowi.

— Jego książęca mość przychodzi tu do mnie! — rzekłem energicznie.

Rozstąpiło się stado z ukłonami, choć i z niedowierzaniem. Piast usiadł przy moim stole.

— Cóż to stryj... w Berlinie? i po nocy?

— Wiedziałem, że tu jesteś, chciałem z tobą pomówić.

— Będzie stryj co jadł?

— O, nie o tej porze.

— Może kieliszek wina?

— Piję tylko wodę. Woda mnie utrzymuje

przy tej świeżości ciała i umysłu, której jeżeli nie zauważyłeś, żal mi cię, Tadeuszku. Ty zaś zdajesz się hołdować Bachusowi, bogowi grubej rozkoszy i zapomnienia. A nam bardziej, niż innym narodom, potrzebna przytomność.

— Ależ, stryju, nie jestem pijany!

— Drugi raz cię widzę tego lata w stanie zamroczonym, który przystoi tylko ludziom słabym i niezadowolonym ze swych działań.

Zaczęła się znowu reprymanda, nie proporcyonalna do moich wykroczeń. Nie buntowałem się jednak. Po chwili Piast zapytał uroczyście, jakby chodziło o materyę status:

— Chciałeś jeszcze coś jeść, czy pić?

— Gdyby nie stryj, napiłbym się kawy i kieliszek koniaku.

— Więc te pieniądze, które miałeś użyć na dosycenie swego sybarytyzmu, daj dzisiaj na sprawę ogólną, — n. p. na oświatę ludową. Częstowałeś mnie przecie winem — poczęstuj lud kilku dobrymi elementarzami.

— Ależ z największą przyjemnością. Tylko nie mogę wiele, jestem u schyłku podróży...

— Daj cenę kawy i koniaku.

Wyjąłem z kieszeni pięciomarkówkę i podsunąłem ją, z pewnem zażenowaniem, chudemu i nic nie jedzącemu towarzyszowi.

— O, nie! ja się nie zajmuję zbieraniem składek. Znasz przecie organizacye i osoby?

Zawstydziłem się i uradowałem zarazem.

— Policzę pieniądze po zapłaceniu hotelu. Może będę mógł dać więcej.

— Daj, ile możesz. Nędzy jest tyle! — a duchowej więcej jeszcze, niż materyalnej. Nadmieniłem, że wszystkie nasze składki, jawne, czy tajne, idą żółwim krokiem, bo właśnie tylko ludzie mniej zamożni myślą o sprawie ogólnej.

— Tymczasem jest tak, ale będzie inaczej — odrzekł Piast z przekonaniem. — Gdy zachodziła potrzeba, Chrystus niegdyś rozmnożył chleby. — — Nie kiwaj głową, — nie myśl, że jestem wizyonerem — — To ty nie rozumiesz przenośni wielkich Pism. Ja wierzę w rozmnożenie Ducha.

Ciężko mi było mówić z tego tonu w knajpie, więc zaproponowałem wyjść na ulicę, lub przenieść się do mieszkania któregokolwiek z nas.

— Ja tu mieszkam u znajomego, który już spi — odrzekł Piast — a do twojego hotelu nie pójdę, bo trzyma go znany hakatysta. Możemy tu jeszcze chwilę pozostać, a miejsce do rozmowy jest wszędzie, nawet w domach Bachusa i Wenery. »Czystemu wszystko czyste« — jak tu mówią.

Wzdrygnąłem się; było to jedno z ostatnich zdań, które usłyszałem od Heli w samochodzie. Stary czart pochwycił ten mój dreszcz i zaczął szydzić:

— Aha, nieczyste masz sumienie, kawalerze! Przyjemnie to jeździć na romantyczne wycieczki podmiejskie, ale nie trzeba za to płacić ustępstwami ze swej godności.

— Nie wiem, o czem stryj mówi.

— Nie wiedz sobie; to w porządku względnie do twych nowych obowiązków towarzyskich.

— Stryj chciał coś mówić o oświacie ludowej?

— Już powiedziałem. Teraz mówię o stosunkach twoich z Latzkimi. Nie jesteś dosyć silny, aby się z nimi zadawać.

— Ależ, na miłość Boską, proszę mnie tak ciągle nie strofować. Najprzód, stryj mnie mało zna...

— Znam cię od kolebki i śledzę ciągle rozwój twojej duszy. Urodziłeś się pod znakiem Ojczyzny, schodzisz zaś powoli pod znak Kosmosu, który ma światła zwodnicze, zwane przez gmin dobroczynnemi, chociaż pożyczone są od wiecznie gorejącego ogniska Egoizmu.

— Cóż to za nowy zodyak?

— Odnajdziesz go w mej Teogonii i zrozumiesz. Tymczasem powiem ci przystępniej. Nie wpatrzyłeś się w swój naród, ani w obowiązki względem niego. Polakiem trudniej być, niż obywatelem świata. Myślisz czasem, przez wrodzoną uczciwość, o swoim narodzie, ale

żyjesz dla swej rozkoszy osobistej, do której dorabiasz sobie teorye.

— Bardzo stryja przepraszam — pracuję w zarządzie kolei i w literaturze...

— Nienawidzisz swej pracy biurowej, więc to nie praca dla ogółu, tylko sposób wydarcia pensyi od społeczeństwa. W literaturze zaś kołyszesz swoje zachcianki i przybierasz je w wiązania słów. Cóż stworzyłeś dotychczas?

— Mam lat trzydzieści...

— To dużo. W twoim wieku Mickiewicz miał już w swych dziełach Dziady i Wallenroda, a Rouget de Lisle stworzył Marsyliankę.

— No, Mickiewicz!... Ale cóż znowu ta Marsylianka?

— Pieśń żywa, pieśń, która grzeje pokolenia tej samej rasy.

— Zapewne...

— Nie mam dzisiaj czasu mówić o literaturze. Dla mnie tylko czyn istnieje w literaturze. Chcę cię przed czemś ostrzedz. Widzisz to miasto?

Przez szybę sklepową wskazywał Berlin jeszcze rojny, ogłaszający się trąbami rozpędzonych samochodów. Trzymał nad nim rękę, jak szpon suchą i groźną.

— To jest wielki wróg Błękitnej Królowej!

Szedłem za myślą jego, pociągnięty jakiemś uczuciowem przekonaniem, nie słowami, które trochę mechanicznie powtarzam tu z pamięci.

— Ona idzie ku nam, a przed nią rycerze jej, co świecićby tylko powinni, pochodniami sieką mrok oporny, najeżony jadem i obłudą. I siec będą, aż się mrok rozpadnie, aż to, co pruska czarna potęga nazywa kulturą i postępem, stanie się wstydem i ohydą społeczeństwa. Gdy zapanuje Błękitna Królowa, wspominać będą potomne wieki okres hegemonii Prus jak najazd barbarzyńców na Rzym, jak wyniszczenie olimpijskiej rasy doryckiej przez handlującego kradzionym towarem Lewantyna. Ale czciciele Błękitnej Królowej nie wyginęli i zginąć nie mogą. Są wszędzie naokoło tego państwa Beliala, które ludziom małej wiary wydaje się niezwyciężonem.

— To jest, że przewidywać należy koalicyę europejską przeciw Prusom?

Pan Piast potoczył oczyma po sali i nagle skrzywił się, jakby coś gorzkiego przełknął, wpatrywał się w zakopcone malowidło sufitu:

— Psy już zwietrzyły — syknął cicho przez zęby i zaczął pogwizdywać, jak pijany.

Gdyśmy zamilkli, zbliżył się do naszego stołu jakiś jegomość nadmiernie skromny i uniżony, z kuflem w ręce.

— Słyszę, że rodacy. Czy pozwolą mi panowie przystawić kufelek do stołu? Jestem Sieniawski.

— Sieniawski?! — zadziwiłem się.

— E, nie z żadnych tam hrabiów! — jestem

giserem przy fabryce bronzów. Może księciu panu przeszkadzam? — zwrócił się pokornie do Piasta.

— Nazywam się Krotoski, nie jestem wcale księciem; mój znajomy tak mnie nazwał, aby mi zrobić miejsce w knajpie.

Patrzyłem na pana Piasta ze zdziwieniem; nie znałem go takiego; nie tylko owemu Sieniawskiemu nie podał ręki, ale odwrócił się od niego z wyraźną pogardą.

Jednak natręt usiadł przy naszym stole. Miał okulary niebieskie i brodę nienaturalnej barwy.

— Miło w tem gałgańskiem mieście posłyszeć mowę rodzinną od prawdziwej naszej inteligencyi. Nas tu dużo, ale prostaków. Czy nie wiedzą panowie czego o wojnie?

— Zanosi się na wojnę w Afryce — bąknąłem.

— Co nam po takiej! ale o jakiejś wojnie, którąby coś, dla nas...?

Piast milczał uporczywie, a ów giser dalej starał się z nas wyciągnąć jakieś powiadomienia. Wreszcie Piast przerwał opryskliwie:

— O której godzinie idzie pan do fabryki?

— O ósmej, ale mieszkam daleko; wstać trzeba przed siódmą.

— To pora już spać.

Sieniawski zerknął dużo mniej poczciwie

niż dotychczas, ale utrzymał się przy tonie ugrzecznionym:

— Jak się człowiek już raz wybierze na kufelek do knajpy, raz na miesiąc...

Piast rzekł do mnie, powstając:

— Panie Antoni, do widzenia w Warszawie. Ja się zatrzymam w Poznaniu, więc przyjadę w dwa dni po panu. Stanę w hotelu Europejskim.

Ścisnął mi dłoń znacząco, nie kiwnął nawet głową »rodakowi« i wyszedł. Ta zmiana imion i nazwisk, marszruta zupełnie fikcyjna, gdyż wiedziałem, że Piast dąży ku zachodowi — pobudziły moją ostrożność względem Sieniawskiego. Zawołałem o rachunek. Zanim jednak mi go podano, niewczesny towarzysz zdołał jeszcze nagadać:

— Jaka ta nasza arystokracya! Bo to książę, ja wiem, tylko przed biednym człowiekiem nawet się nie nazwie. Pan mu przecie mówi: »stryju«, to musi wiedzieć?

— Mało go znam. Mówię mu: »stryju«, bo starszy, bo tak mi się zresztą podoba.

I ja miałem dosyć tego towarzystwa. Ale kelner spóźniał się z rachunkiem, choć sala znacznie się już opróżniła.

Epizod końcowy dał mi dopiero poznać, co za ćwik z mego tajemniczego stryja.

Gdym wychodził, już sam jeden, zbliżył

się do mnie poważny jegomość, ubrany po cywilnemu, w towarzystwie portjera:

— Bardzo przepraszam — zmuszony jestem prosić pana o pasport.

Dwie pikelhauby policyjne stały w pobliżu. Miałem pasport w zupełnym porządku. Urzędnik, po uważnem obejrzeniu dokumentu, oddał mi go z ukłonem.

— W dalszym ciągu zmuszony jestem poprosić pana o informacye co do osoby, z którą pan jadł tutaj kolacyę, używającej nazwiska Krotoski. To stryj pański?

— Nie. Tak go tylko nazywam na żarty. Spotkałem go zagranicą i nie znam go prawie.

— Czy pan gotówby był udzielić nam szczegółów tego spotkania przed sędzią śledczym? Chodzi tu o osobę, oskarżoną o niektóre przestępstwa.

— Wyjeżdżam dzisiaj do Warszawy, gdzie mam termin. Zdaje mi się, że nie jestem obowiązany stawać w tutejszym sądzie, będąc obcym poddanym?

— Mielibyśmy sposób porozumienia się z sądami rosyjskimi, ale pan może tego uniknąć, poświęcając nam godzinę czasu.

— Proszę się porozumiewać z sądami rosyjskimi.

— *Ach so!* — mruknął niezadowolony stróż porządku. — Jako dopełnienie do pasportu mam

prawo zapytać pana o jego adres w Warszawie.

Podałem ten adres.

Tak się tedy skończyły moje wakacye — niesmakiem i znerwowaniem.

Poezya Hagi! Czy ona istniała tylko w mojej wyobraźni? Owa Hela z przed miesiąca w galeryi przed Dawidem Rembrandta — — Kto ją prosił, aby przyszła, aby nie opuszczała mnie prawie prześladowaniem swych nieodgadnionych oczu? — — Przewrotna dziewczyna.

A znowu ten Piast, który budzi we mnie czasem takie gorące, szlachetne dreszcze, może być figurą z pod ciemnej gwiazdy? — — Policya pruska może ścigać bohaterów, ale i prostych także oszustów — — A służba »Błękitnej Królowej« nie stanowi sama przez się legitymacyi, bo ta królowa unosi się na dowolnie spiętrzonych obłokach — —

Jednak, gdy źle myślę o Heli, radbym tylko się mylić; ale nie mam wyrzutów sumienia nawet wtedy, gdy ją nazywam w myśli najobelżywiej — —

Gdy zaś o panu Wojciechu Piaście przy-

puszczę na chwilę, że to ciemna figura, zgroza mnie zdejmuje, wstyd za niego i za siebie. Wolę już myśleć, że niespełna rozumu. Jest coś mojego własnego w duszy i w losach tego człowieka.

Warszawa, w lipcu 1905.

Mój pamiętnik, przerwany przed sześciu laty, leży zamknięty w swej szkatułce. Ledwiem go nie zniszczył podówczas — potem mi zobojętniał i poszedł w zapomnienie; teraz uśmiecham się do owych zapachów młodych, które z kart wieją, a należą już do historyi, do drobnej, ale mojej.

Porzuciłem tak zwaną »działalność literacką« dla zajęć pilniejszych i ważniejszych. Dzisiaj nawiedza mnie jednak znowu chęć literackiego, bądź co bądź, formułowania myśli dziennej, choćby dla wypoczynku od zajęć. Może też namysł nad życiem bieżącem da mi z niego wycisnąć choć trochę zabawy i przyjemności osobistej, której brak odczuwam dotkliwy.

Nie będę spisywał mojej historyi przez lat sześć, ubogiej w wypadki zwrotnicze w mym losie prywatnym: jestem dotychczas urzędnikiem przy kolei, nieżonatym, literatem »zna-

nym« we wzmiankach dziennikarskich, coraz bardziej niezależnym duchowo... I tego już zawiele. Spróbuję tylko łowić na karty pamiętnika nowe wzruszenia mego życia i odbłyski na niem dziejów spółczesnych, które dyablo szybko kroczyć zaczynają.

Świat nie jest stworzony wyłącznie dla mnie — zapewne — ale ja mam chyba prawo dążyć do takiego ustroju świata, aby w nim było miejsce dla mnie, nie zacieśniające oddechu piersi, ani swobody rąk. Tak pragnących, jak ja, są miliony, więc porządek społeczny musi uledz radykalnemu przekształceniu.

Ale porozumienie się między pionierami przyszłości natrafia na ciężkie zapory. Zdawałoby się, że najgorszy gatunek ludzi stworzył nowożytne państwa i tryumfuje; zdawałoby się, że ogół ludzi stchórzył przed panującą koniecznością zła i nieszczęścia. Nie wszyscy jednak! I ci pionierowie lepszej ery muszą podać sobie ręce. Chlubię się tem, że do nich należę.

Ludzi jednomyślnych ze mną szukam po przez wszelkie granice nacyonalistyczne i kastowe. W przyszłym ustroju świata takie granice będą archeologią, o której już i dzisiaj należy zapomnieć, aby siły dobre połączyć w mechanizm rozległy i sprawny.

Czytałem tymi dniami broszurę o między-

narodowym związku robotników napisaną podobno przez Wawrzyńca Latzkiego, tłomaczoną »nakładem autora« na język polski. O moim niedoszłym teściu (śmieszne już to wspomnienie!) słychać ciągle w robocie wyzwolenia nietylko »proletaryuszów wszystkich krajów«, ale wszystkich ludzi urodzonych z duszą wolną. Ten Latzki to silny i wytrwały człowiek. Cokolwiek mówią o nim nasi ślepi narodowcy, wartoby mieć takich w Warszawie do rady, zamiast tej ohydnej burżuazyi na wszystkich piętrach, tych drżących o swe miliony kapitalistów i obszarników, gotowych do sprzymierzeń choćby z żandarmeryą, albo tych rozkrzyczanych z bezpiecznych ukryć deklamatorów o wolności narodowej, którzy pierwszych jej zasad nie rozumieją i nie chcą!

Ciężko to przyznać, a jednak trzeba, że mała garść ludzi na ziemi tej, która musi być wkrótce wolna, rozumie tę jutrznię, pragnie jej i dąży na jej spotkanie. Są przecie i tacy na szczęście, coraz liczniejsi u nas i wyciągają już ramiona poza granice do duchów pokrewnych.

Taki Tomiłow, delegat do nas od przyjaciół rosyjskich, świeży Europejczyk, ale jaki działacz potężny! »Szeroka natura«, którąśmy ośmieszyli, przypatrując się jej w okazach rozhukanych oficerów lub kupczyków, ma jednak wyższe swe wcielenia w narodzie, któ-

rego dotychczas nie znaliśmy. Tomiłow ma szeroką duszę, na wszystko gotową, byle zbliżyć tryumf wolności i sprawiedliwości. I oryginał także, jak każdy silny człowiek z rasy młodej.

Ostatnia z nim rozmowa utkwiła mi w pamięci

Było to nazajutrz po zniszczeniu floty pod Cuszimą. Nie rozwodziłem się przed nim dotąd o tryumfach Japończyków, bom sądził, że muszą być bolesne dla każdego Rosyanina. Ale tego dnia niepodobna było mówić o czem innem — powietrze było pełne aż tutaj grzmotu od tej niebywałej w dziejach bitwy morskiej, w której jedno ogromne stado połknęło drugie stado równe, jak w bajce.

Mój Łukasz (Łuka Nikitycz Tomiłow) wydawał się podnieconym radośnie. Bez przywitania, z daleka już wołał do mnie:

— Ot i sławnie, że nareszcie skończone! Bo to już koniec. Sam Bóg Ojciec obudził się z drzemki i najwyższą rękę przyłożyć raczył. Generały durne, oficery pijane — a naród poszedł sobie lekko w niewolę japońską na koszt skarbu. Mówię ja wam: sam Bóg Ojciec rękę przyłożył.

Trochę mię zdziwił ten wybuch oryginalny humoru; miałem go za szyderstwo, stosowane z rozpaczy do samego siebie — alem się pomylił.

— Co? dziwno wam, że ja cieszę się? A mnie czemu płakać? Kiedy te żółte czorty wzięły Port-Artura, wychodzę ja na ulicę — był ja wtedy w Rosyi — patrzę: policmejster, podlec, krowopijec — jedzie na liniejce, blady, twarz na pół arszyna, i kłania się obywatelom na prawo i na lewo — grzeczny, ledwie że nie Francuz-demagog. A urzędniczki po restauracyach takie miłe, ciche, i popłakują, sieroty: już nam pewno przyjdzie się won stąd? A naród niczego sobie: wódkę pije, Żydy handlują, i rozmowy idą o tem, że już koniec, a teraz nam konstytucya.

— Zapewne — rzekłem — ta krwawa łaźnia może być historycznie potrzebna. Ale, szczególniej gdybym był Rosyaninem, myślałbym, że krwi już dosyć.

— A cóż to my nie krzyczeli w styczniu, że pora zawrzeć pokój? A może i nie mieli racyi? — — bo słuchajcie tylko. Po bitwie pod Mugdenem, kiedy już krwi popuścili trochę i nad miarę, wychodzę ja znowu na ulicę. Policmejstra nie widać — dzisiaj już jego nikt nie zobaczy, bo jego pośpieszną drogą tak do nieba podsadzili, że tylko rączka na ziemi w policyjnej kasie została się — rozumie się, nie chciała puścić. Urzędniczki — prosto Japońce, takie żółte. A naród, po staremu, wódkę pije, Żydy handlują, tylko już rozmowy nie te — teraz dawaj prawa ludowi!

Dzisiaj, po straceniu floty, kiedy już koniec, bo dalej i dyszeć nie można dzisiaj my powiemy nasze słowo!

Ze stanowiska rewolucyi Tomiłow ma słuszność. Ale straszna w nim ta bezwzględność bojowca, nie oszczędzająca krwi, choćby rodzonego brata. Tak samo swoje oddałby życie za sprawę; to go tłómaczy i uszlachetnia. A ta nieczułość w nim na niweczenie zarówno ludzi, jak i urządzeń krajowych, zabytków, tradycyi, tłómaczy się przez młodość jego — ma lat dwadzieścia kilka — i młodość rasy.

Tomiłowa znam dość dawno, bo studyował chemię w warszawskim uniwersytecie i przyjaźni się z młodzieżą polską, a ja z nią utrzymuję do dziś dnia stosunki. Odznaczał się zawsze skrajnym radykalizmem, który go z drugiego kursu zaprowadził do więzienia. Wypuszczony po paru latach, powrócił niby na uniwersytet, obecnie zaś podróżuje często między Warszawą a gubernią Kijowską, gdzie ma krewnych, ale sądzę, że są to raczej krewni ideowi, bo czułość familijna tak dalekoby go nie zaprowadziła. O rodzicach swych mówi z charakterystyczną otwartością:

— Ojciec mój był na służbie, więc musiał kraść — bo gdyby jemu zachciało się nie kraść, nie pozwoliliby jemu koledzy zostać na służbie. Tak on miał i pieniądze — tylko, że lubił kobiety — w tem to i ja jemu para —

A że lubił kobiety, to i pieniędzy nie okazało się za nim, kiedy umarł. Matka, biedniażka, cóż miała robić, zostawszy wdową w lat trzydzieści? Kapitału nie było, a piękna została się. Takie już życie!

Zapytałem, czy matka żyje.

— Żyje i teraz z kupcem, bogatym nawet sobaką. Ale ja od niej nic — — ja sam wychował się.

Cynizm w nim połączony ze szlachetną bezinteresownością i zapałem do idei wyzwolenia ludu. I zdolności niepospolite, może nie do nauk, lecz do oryentacyi w życiu, do psychologii praktycznej. Ten człowiek musiał zostać albo artystą, albo spiskowcem.

W towarzystwie setny chłop, pełen werwy i humoru, serdeczny, piękny także po swojemu, urody trochę wilczej, z białymi kłami w zmysłowych, dobrodusznych zarazem i okrutnych ustach.

Na ogół sympatyczny. Dużo go wolę od towarzysza, którego czasem przy nim spotykam — Czeremuchina. Popowicz, rumiany i zgrabny, jak panna, w mundurze podoficerskim. Mówi o nim sam Tomiłow, że »rakalia« ale chłopak użyteczny, bo gładki i śliski.

W tych czasach trzeba zgarniać i formować wszystkich ludzi użytecznych, jak podczas wojny, do pospolitego ruszenia. Nie pora

kręcić nosem, kto sympatyczny i przyjemny w obejściu; siły tylko mierzyć i stosować.

I pośród naszych są postacie na pozór wstrętne, naprzykład ten Rubin Held, z głową kreta, czy nietoperza w okularach. Ale tęgi publicysta, organizator, siła nie do pominięcia. Bo siły rdzennie krajowe wcale niedostateczne i rozrzucone.

Chwila historyczna jest, pomimo swej grozy, wspaniała. *Exsurgit leo ex tribu... Japan!* Powstał z pokolenia Japan lew morski nieznany i niespodziewany, okazał, czem się zwycięża: zgodnem w masach przeświadczeniem i cywilizacyą. Wojna dowiodła zarazem nieudolności mechanizmu kierującego Rosyą, obudziła naród, otworzyła mu oczy. Teraz niech obudzony Eliasz z Muromu pokaże, czy dźwignie swą ziemię.

Tomiłow chodzi tymi dniami ponury, jak zwierz w klatce. Tam, daleko, nad morzami Czarnem i Bałtyckiem, już nie same żalazne obręcze protestów i strajków ściskają rząd; ukrop walki czynnej wyrywa się z łona ludu. Niedobite przez Japończyków pułki zaczynają poczuwać się do solidarności z ludem. Bunt załogi »Potemkina«, Odesa, Kronstadt, Lipawa — zapaliły w kilku miejscach ten ogromny płaszcz z juchtu i samodziału, którym się otula rząd strwożony.

A mój Łukasz siedzi w Warszawie, bo mu

tutaj wyznaczono robotę. O ile krnąbrny jest wobec tak zwanego »porządku państwowego«, o tyle potulny wobec uznanej przez siebie władzy. Tej karności możemy mu pozazdrościć, Polacy, z których każdy działa według swojej głowy. Właściwie zaś mówiąc, nikt z nas nie działa, tylko czeka rozwiązania jęczącej w bólach porodowych Historyi. Bezsilność nasza polityczna skazuje nas na tę rolę podrzędną. Musimy się sprzymierzać ze zdrowemi siłami narodu rosyjskiego, musimy w tej chwili przełomowej być pod komendą rewolucyi rosyjskiej. Nasza propaganda, manifestacye, strajki — to tylko odgłosy; ale na sztandarze wielkiego przebudzenia Słowian wschodnich wypisana nietylko Rosya, lecz i ludzkość. Muszę w to wierzyć...

I to jedno zdaje się kojarzyć wszystkie nasze klasy i stronnictwa: poszanowanie dla ideałów rewolucyi obecnej. Najzatwardzialszy burżuj, drżący o swą dywidendę, mdlejący od opisu puszczania krwi, instynktowo wrogi wszelkim szybkim krokom dziejów oświadcza się z sympatyą przynajmniej dla celów, jeżeli nie dla sposobów rewolucyi. Ożywczy dech demokratyzacyi wiać zaczyna potężnie, szczerze, nie tylko we frazesach naszych galicyjskich krzykaczy, którzy z kilkuset włościan urządzają chłopską kapelę do wykonywania starych piosnek, a całą ruchliwą i zdolną masę

Żydów radziby odtrącić od ogólno-narodowej roboty. Wielki głos dźwigającego się ludu przemaga; już słychać go w połączeniu krzyków, pozornie sprzecznych, różnojęzycznych. Nowego roku 1906-go już bizantynizm nie dożyje!

Jedyna praca »literacka« godna dzisiaj obywatela, to rozdzieranie zasłon, któremi wiek niewoli, a może i wieki całe ślepoty, jak plugawe pająki zasnuły między nami, a krainą rzeczywistego szczęścia, rzeczywistych przeznaczeń ludzkości. To nie jałowa literatura, to akcya, to przybliżenie miliona ust do czary życia.

Ginie we mnie nawet podnieta sławy osobistej, autorskiej. To, co piszę, jest bezimienne, nie po to szuka czułych nerwów czytelnika, aby je załaskotać, aby złożyć z nich lutnię wielostrunną, na której ostatecznie wygrać się pragnie swoje wielkie imię. Moich pism nie zbieram w tomy, nie zachowuję nawet w świstkach drukowanych, ani w brulionach. Mogłyby zresztą wypłatać mi bardzo pospolitą i wielce niepożądaną sztukę: zaprowadzić mnie na zimowe wakacye na wschód.

I te kartki pamiętnikowe składać będę do szkatułki, którą od jutra przeniosę do takiego miejsca, gdzie najściślejsza wyobraźnia śledcza ich nie wytropi. Może to słabość, że piszę? Ale pisanie leczy mnie od wielu niepo-

kojów, myśli skupia i oczyszcza, a nawet i radę czasem poda. Podobno wielcy spiskowcy nie pisali nigdy pamiętników? Pozwalam sobie być nieco mniejszym i wygadać się czasem przed samym sobą.

---

21 sierpnia 1905.

Mieć pieniądze i połączoną z nimi potęgę, pić najtęższe miody życia — to rozkosze zakazane... ale dają przynajmniej chwile szczęścia. Aby zaś znaleść zupełne zaspokojenie wrodzonego człowiekowi popędu do szczęścia — w pracy, trzeba w niej także czuć się potężnym, trzeba ją kochać i rozumieć. Ciężką rolą dla człowieka myślącego jest być pośrednim członkiem między motorem, a wynikiem wielkiej, skomplikowanej pracy historycznej — jakimś zębem u koła, jakimś pasem od transmisyi. Dobrze tym żelazom i rzemieniom, które nie myślą!

Ale najciężej być członkiem pośrednim w pracy wyjątkowej, rewolucyjnej. Tajemniczość i pośpiech, cechujące działania spiskowe, sprawiają ciągłe zaćmienie planu i sensu wielkiej roboty ogólnej. Coś, niby torowanie prochami skalnej drogi, sądzone ze stanowiska podpalacza prochów. Nie znasz pomiarów, mu-

sisz w nie wierzyć. Tymczasem błysk, huk — i nie wiesz, czy niebo się nad tobą otworzy, czy cię skała zmiażdży?

Ostatnie dni przyniosły takie dwa wypadki nieobliczalne: pogrom Żydów w Białymstoku i komunikat urzędowy zapowiadający jakiś cień konstytucyi. Opinia kładzie pogrom na karb »czarnych sotni« nasłanych lub tolerowanych przez rząd. Komunikat zaś, dyplomatyzujący z narodem, pochodzi przecie także od rządu Więc czy rząd robi kontrrewolucyę, czy pacyfikuje frazesami? Może jedno i drugie — ale zawsze tylko: może? — niepewność, ciemność. Cierpliwość narodu, która zniosła tylowiekową noc ucisku, nie wytrzyma tych chwil rozpaczliwej niepewności przed samym wschodem słońca.

Profesor Rajkowski tłómaczył mi dzisiaj, że mam się cieszyć z manifestu. Ten kochany profesor jest zimny i nieubłagany, jak konieczność historyczna. Gdy się go nie zna, a spotka się taką figurę suchą, zadowoloną z dnia, z biegu wypadków, ze swej przystrzyżonej modnie brody, z poprawnego ubrania, jednem słowem pogodnego optymistę, myślałbyś, że wysoki urzędnik, który po odebraniu pensyi i gratyfikacyi, idzie na bibę z przyjaciółmi.

Ale trzeba go posłuchać.

— Gdyby komunikat był liberalniejszy i szczerszy, gotówby jeszcze kto w niego

uwierzyć. Taki, jaki jest, odsłania ostatecznie sfery rządzące. Rząd, opierając się na wojsku, któremu jeszcze ufa, chce utopić rewolucyę we krwi. Mamy już rzekę krwi, będzie i morze krwi, a potem zdobędziemy, co się nam należy.

Trzeba widzieć ten uśmiech jego dowcipny, gdy opowiada o swych projektach podróży przez krwawe rzeki i morza. I zaciera ręce.

— W ostatnich dniach zaczęło u nas w partyi słabnąć przekonanie do strajku powszechnego. Dzisiaj znowu mamy jednomyślność co do jego konieczności. Ogłosimy go niebawem.

Mówił to pieszczotliwie, smakowicie, jak o sperandzie dobrego obiadu. Zapytałem:

— Jakiż to ma być strajk jeszcze powszechniejszy, niż dotychczas?

— Stanie wszystko: koleje, poczta, telegraf, fabryki, sklepy, kuchnie publiczne, wehikuły —

— To będzie jednak mocno niewygodne — nadmieniłem żartem.

— Nadzwyczajnie - ucieszył się profesor — niewygodne dla nas, a jeszcze bardziej dla opiekuńczego rządu. Rząd tego nie wytrzyma. To jest pomysł doskonale radykalny — prawdziwy strajk polityczny.

— A gdyby jednak rząd się uparł i dłużej wytrzymał, niż my?

— Nieprawdopodobne. Jednak na ten wy-

padek mamy inne sposoby: zbuntujemy wojsko.

— Chce pan powiedzieć: część wojska? Ale widzieliśmy już próby i cóż z nich wynikło?

— Pierwsze stracone placówki. Nastąpią utarczki, potem sprzątanie dowódców. Będą i wielkie rzezie — to nieuniknione. Im więcej krwi poleje się, tem bujniejszy plon wyda ziemia.

Gdym go pożegnał, namyślałem się nad jego słowami. To nie jest program. To wmówić można w kilku zapaleńców, ale nie w naród. *Pereat mundus, fiat justitia?* — takiego hasła nie zrozumieją tłumy, zwłaszcza rosyjskie, którym chodzi przedewszystkiem o zdobycze ekonomiczne, o ziemię. Bo głównym materyałem rewolucyjnym, wybuchowym, jest w Rosyi chłop, głodny ziemi. Jemu nie chodzi o żadną sprawiedliwość ideową, tylko o ziemię dla siebie. W tem żywiołowem parciu, które tak czy inaczej kiedyś przemoże, niema troski o konstytucyjną reformę rządu, ani o prawa różnych narodów, składających państwo rosyjskie.

Nasze sprawy są tak odmienne od rosyjskich! I u nas są głody, niezaspokojone potrzeby, konieczne reformy ekonomiczne, — ale oprócz tego pragnienia nasze narodowe, do których jak zmierzają dzisiejsze programy

rewolucyjne? — nie dobrze widzę. Przypuśćmy, że się uda doskonale rewolucya rosyjska, polityczna i socyalna, że będzie tam wkrótce liberalny konstytucyjny parlament, a nawet szerokie reformy agrarne i robotnicze. Stąd nie wypływa jeszcze nasza autonomia, konieczna do zagwarantowania naszych spraw narodowych.

Ogłaszamy ją we wszystkich programowych odezwach, ale w tym celu nie urządzamy przecie na własną rękę rewolucyi. Jest niepodobieństwem, więc i niedorzecznością. Solidaryzowanie się nasze z ruchem wolnościowym rosyjskim ma więc, oprócz ogólnoludzkich pragnień, tę jeszcze spekulacyę: ufamy, że naród rosyjski, skoro sam się rządzić zacznie, będzie względem nas, Polaków, sprawiedliwszy, niż dotychczasowe rządy.

Trzeba jednak stanowczo co do tego z przedstawicielami narodu rosyjskiego porozumieć się, uzyskać jakieś mocne od nich zobowiązania. Gadamy z nimi, ufamy im, poszliśmy nawet pod ich komendę — a to z poczucia sprawiedliwości, z zapału do zwycięstwa światła. Ale praktycznie ubezpieczeni nie jesteśmy co do naszych specyalnych interesów, które przecie należą również do celów bardzo ważnych dla przyszłości Rosyi, jako federacyi Słowian.

Są mroki, które się rodzą z ognia, jak inne z braku ognia. Wybuch naraz wielu ognistych namiętności powoduje zaćmienie, a raczej niepewność wzroku. Idziemy trochę zbyt szybko w przyszłość.

---

1 października 1905.

Doznałem dzisiaj wrażenia przerwy w pasmie dni roboczych, jakby mnie kto odwołał i przypomniał o młodości, o tem, że jesień piękna. Ale tylko na chwilę, po otrzymaniu listu od pani baronowej Paugwitz.

Nie pierwszy to. W styczniu 1900 r. doszło mnie zawiadomienie o ślubie panny Latzkiej z łatwym do odgadnienia jej konkurentem z Hagi, obecnym mężem. Wydało mi się to wówczas jeszcze gorzkiem. Dzisiaj rozumiem i prawie pochwalam ten projekt normalny. Wszystko, co wiem o dawnej mojej (!) dzisiaj baronowej Heli, zgadza się i dorysowywa jej postać. Jest podobno damą wpływową, otoczoną przez polityków i artystów. Chciała zgromadzić w ręku największą ilość atutów i dopięła swego. Jest córką prawie ministra (czemś tam Latzki został ostatnimi czasy w ministeryum pruskiem), nosi nazwisko arystokratyczne, — a zamiłowanie do sztuki jest

także strojem do twarzy kobiecie, poszukującej wyższości i panowania; w Berlinie może nawet łatwo uchodzić za znawczynię. To wszystko nie są zbrodnie, a jej zachowanie się niegdyś względem mnie dowodzi tylko temperamentu skutecznie pohamowanego przez roztropny namysł. Opowiadano mi także o jej późniejszych wycieczkach w dziedziny wrażeń zmysłowych — ale tego sprawdzać nie mogłem, ani chciałem. Zresztą nic mnie to nie obchodzi. Pani Hela prowadzi się dobrze dla swoich celów wyrozumowanych — o tem nie mam wątpliwości. —

Dwa lata temu pisała też do mnie. Jakiś to był list zapraszający mnie do Berlina, ewentualnie na wieś, gdybym przez Prusy przejeżdżał, a zarazem literacki, ogromnie stylowy, »*hochtrabend*«, jakby w celu porozumienia się na wyżynach myśli, trochę papierowych. Odpisałem wzniosłą francuszczyzną, dziękując za pamięć, obiecując sobie kiedyś skorzystać z łaskawego zaproszenia. Ale przeszłoroczną moją wycieczkę wakacyjną umyślnie skierowałem na Wiedeń. W tym roku siedzę kamieniem w Warszawie; lada chwila stać się może coś takiego, co wymagać będzie obecności wszystkich zdatnych do czynu.

List mój ugrzeczniony i nic nie pamiętający może się jej nie podobał, bo nie wywołał dalszej korespondencyi, — dopiero wczoraj.

Ten list z odmiennego tonu, jakoś po męzku napisany, niby do zaufanego przyjaciela. Tego rodzaju stosunki nigdy się między nami nawet nie szkicowały. A w liście interes... wcale niewyraźny:

»Teraz przyjazd pana do Berlina jest nieodzowny dla oparcia projektów pańskich na realnej podstawie. Ojciec mój nie pisze dzisiaj, bo te rzeczy przez korespondencyę trudnoby załatwić. W najbliższej przyszłości oczekujemy pana«...

Jako żywo, żadnych projektów, i to wymagających niezwłocznie podstaw realnych, nie mam w Berlinie. — Czyżby mowa była jeszcze o tym dzienniku?? —

Decydującą tu rzeczą jest, że nie mam czasu. Więc odpisałem jak najgrzeczniej, że, pomimo wielkiej pokusy odnowienia znajomości z panią baronową i jej ojcem, robota obowiązkowa zatrzymuje mnie w Warszawie. Projekty zaś moje związane z Berlinem wymagałyby rzeczywiście osobistego porozumienia, gdyż dotychczas nie zgaduję, o czem mowa. Wdzięczny jednak za wszelki dowód pamięci i t. d.

Sama pani Hela jest osobą realną, więc na żarty nie wymyśliłaby jakiejś do mnie sprawy, aby mnie tylko sprowadzić. Zapewne drugi list coś mi wyjaśni? Cokolwiek to może być, nie pojadę do Berlina. W spokojniejszych

czasach możebym rad się dowiedzieć, co Latzki myśli o ruchu tutejszym. I panią Helę możnaby zobaczyć, jak się rozwinęła z owego czarnorudego dziewczątka w wysoce nowożytną kobietę.

Ta szczególniej ciekawość zupełnie zbyteczna w czasach czynu i walki, nie zaś pogoni za rozkosznemi wrażeniami.

Wrażeń wstrząsających, owocnych szukać teraz nie potrzebujemy nawet my, literaci, czyli aparaty nadczułe, chwytające dreszcze ludzkie dla ich utrwalenia i przekazywania osobom mniej czułym, lub nie wychodzącym z domu, lub potomnym. I prawowiciej może te wrażenia są cenne, niż pachnące fale eteru jakiejś wycieczki erotycznej; cierpimy je na własnej skórze, pożeramy rozognionym mózgiem; nie bawimy się przyjemną dysekcyą życia — owszem, życie nami miota, trzęsie, dusi nas, a czasem ukazuje w przebłyskach piękną po mękach przyszłość ludzkości. Wielcy tragicy, epicy płomienni powstać powinni z naszej epoki.

Ale ja tymczasem piszę tylko pamiętnik.

W dniu moim, monotonnym i roboczym, ile sposobności do spostrzeżeń i namysłu! Przetrzeć tylko oczy na obrazy codzienne, zaćmione w mojej świadomości z powodu, że ciągle na nie patrzę.

Nasz zarząd kolei — przecie to także małe

państwo i społeczeństwo, urządzone nie tak źle, jak Rosya, jednak okazujące w sobie i przeżytki starego protekcyonalizmu, i wyzysk siły roboczej na korzyść mało pożytecznych akcyonaryuszów, i hierarchię niesłuszną, nie mierzoną przez siłę pracy i zdolności, — i ducha nowego, rewolucyjnego, który wszedł do tych zatęchłych gmachów niewiadomo kiedy, nie zaproszony zaiste przez zarząd, ani przez kontrolę państwową. Staliśmy się nawet my »kolejarze« jakąś osobną klasą, urzędowo niejako rewolucyjną; nabraliśmy znaczenia, trzymając w ręku te zwrotnice, te aparaty trakcyi i telegraficzne, niezbędne ludziom nowożytnym, ale i rządowi. Jesteśmy inteligencyą najrealniej związaną z życiem narodu, ściślej niż dziennikarstwo. Nasze związki prowadzą normalny ruch rewolucyjny, jeżeli tak wyrazić się można. My to groźbą powszechnego strajku wywieramy najsilniejszy nacisk na rząd upierający się. Bunt wojska byłby zapewne straszniejszy i radykalniejszy, ale do tego buntu daleko, pomimo że go profesor Rajkowski ma już w swym notatniku terminowym — i taka rzeź jest nieobliczalna w swych rozmiarach i wynikach. Tymczasem my, urzędnicy i robotnicy publiczni, popieramy wołania ogółu siłą realną, równającą się też w mocy szachowania wielu karabinom i armatom.

Możnaby się do tej roli zapalić, gdyby spółtowarzysze byli trochę... więksi. Jest tam gdzieś na czele tęgi człowiek — Chrustalew — — szkoda, że go nie znam. Ale moi koledzy z biura i z partyi mało mi się zmienili. Idą siłą rozpędu do konsekwentnego celu, jednak rozpęd wzięli nie sami — popchnięto ich, więc idą. Tu znowu jesteśmy tylko filią i echem ruchu rosyjskiego.

Przypomina mi się, co mi powiedział niegdyś Latzki o Wojciechu Piaście: »on nie rozumie nawet prawdziwej rewolucyi, on tylko rozumie swoją«. Może to zdanie dałoby się zastosować do ogółu naszego?

Kolega mój biurowy najbezpośredniejszy — bo przez jego pokój wchodzę do mojego — Wiśniakowski — jest, co do rodzaju swej gliny, narodowcem. Niedawno jeszcze przynosił do biura »Przegląd wszechpolski« i z zapałem deklamował nam z niego ustępy; teraz czytuje »Robotnika«, »Czerwony Sztandar« i nasze proklamacye. I tak uzasadnia n. p. zmianę swych przekonań politycznych:

— Jednak endeki, panie tego, tumanią... Związek pracy — furda! — tylko się dygnitarzy namnożyło. Memoryały do ministrów, uchwały w Sielance, panie tego — siano. Myśmy ich przelicytowali — *kudy!*

Wycisnąć takie zdanie — co w niem jest? O narodowcach powtarza, co każdy wie; on

zaś przystąpił do nas, aby być modniejszym, jaskrawszym. Taki naiwny modernista bez wszelakiego zapału do urzeczywistnienia głównych zadań rewolucyi. Trzyma z nami dla przyzwoitości, dla towarzystwa, jak Cygan. Nie wiem, jakby to było, gdyby przyszło do wieszania?

A mój naczelnik, Słomiński! Wysoce chrześciańska dusza, ale przecie ten człowiek może umrzeć ze strachu zanim fala prawdziwej rewolucyi dojdzie do jego fotelu i skórzanej podkładki! Ma od początku roku to febrę, to dysenteryę — wszystko to objawy choroby głównej: panicznego przewrotowstrętu. Pomimo najlepszego serca dla sprawy postępu i reform, pomimo gotowości do ofiar, głosuje przy każdym planie działania za skrajną ostrożnością; radby wymyślił rewolucyę ugrzecznioną i retoryczną. Chociaż uzna w zasadzie potrzebę silniejszego nacisku na rząd, dostaje spazmatycznej drżączki np. przed widmem strajku powszechnego, bo musi sobie wyobrażać, że w takiem zamieszaniu nie obejdzie się bez rzezi generalnej osób coś posiadających, nad czemś przełożonych, a więc przedewszystkiem - naczelników! To już człowiek skazany na ugodowca przez swe usposobienie fizyczne. Jednak nie do porównania z autentykami ugodowców, których dzisiaj miałem ciężki zaszczyt oglądania na sesyi zarządu.

Uczestniczyłem w tej sesyi, bo miałem referat. Ogromny komplet, którego w całości nie wyliczam. Ale pominąć nie mogę wykładu hrabiego Szafrańca po właściwej sesyi, która prędko się skończyła i przeszła w rozmowę o sytuacyi ogólnej, a zwłaszcza o wiszącym w powietrzu strajku powszechnym.

— To jest ruina ekonomiczna — zawyrokował nasz prezes ponuro.

— Jeżeli potrwa parę tygodni, ruina niechybna — potwierdził hrabia Szafraniec grobowo.

— Strata dla każdego z nas proporcyonalnie do majątku każdego — dodał inny hrabia — i strata milionowa dla kraju. *Une perte sèche!* Dla kogóż to się robi?

Ja nie odezwałem się ani razu dla paru przyczyn: nie chciałem wyjść z mego charakteru subalterna, chociaż rozmowa była już po sesyi; ale tu wypowiedzieć coś z pod serca, w obecności generała Kryłowa i kontrolera państwowego? — — chowam swoje wynurzenia do stosowniejszej okazyi. Głównie zaś — nie chciałem mącić tego wspaniałego koncertu dusz podniosłych i jednomyślnych.

Znalazł się jednak członek zarządu, także hrabia, ale Bayard, rycerz nieustraszony i bez skazy, który wytłómaczył cel i znaczenie strajku:

— Nie można się dziwić naporowi tłumu (*sic!*)

Jest konsekwentny. Rząd powinien jasno sformułować i ogłosić swe ustępstwa.

— Rząd, który się szanuje, nie może ustępować, mój drogi — wygarnął Szafraniec.

— Nu, już teraz nie pora, hrabio — odezwał się niespodziewanie Kryłow — teraz już ustąpić trzeba.

Nie pierwszy to raz zauważyłem, że najliberalniejszy między członkami zarządu, w poglądach ogólnych, jest Kryłow. Gdybym go nie znał skądinąd, uścisnąłbym go. Ale właściwie nie o tem pomyślałem, bom się zarumienił za Szafrańca.

Ten cedził dalej wspaniale swe wywody, jakby był jakimś wysokim urzędnikiem państwowym, biurokratą najstarszego modelu, lub bankierem zainteresowanym w budżecie państwa, gdyż ostatecznie sprowadzał ciągle kwestyę na grunt finansowy. I na tym spotykał się już z ogólną aprobatą.

Rozmowa rozgałęziła się tak dalece w tej wzruszająco solidarnej atmosferze, że aż doszła do roztrząsania żądań miejscowych — nikt nie powiedział: polskich, ze względu na przyzwoitość towarzyską. Programy skrajne zostały sumarycznie odrzucone. Naprzykład z powszechnem, tajnem i bezpośredniem głosowaniem obeszli się ci panowie okrutnie.

— No, to jest głupstwo — zawyrokował Szafraniec.

Więcej o tem mowy nie było.

Ale pozostawały nasze żądania autonomiczne, choćby samorządowe. Okrawano je na wyprzódki. Jeden członek, bankier Ehrenwerth, uznając, że głosowanie powszechne jest na teraz niemożliwe, oświadczył, że i sejm w Warszawie jest »przedwczesny« — — To znowu zbyt przeźroczyste! Drugi nie chciał polskiej administracyi, »bo nie mamy ludzi«. W tej sali miał jaskrawą słuszność.

Ale ów hrabia — Bayard walczył za szerszą autonomię. Posądzam go, że się zapisał tymi dniami do narodowej demokracyi, bo poznałem parę, acz skorygowanych, frazesów. Ten hrabia Ietkiewicz, gracz, ma przynajmniej jakąś bardziej swojską minę. Nie dba o pieniądze. Może resztę fortuny postanowił przegrać — za Polskę??

Gawęda, przez nikogo nie kierowana, kręciła się, powracała na miejsce, skąd wyszła, aż zakończyła się istnym fajerwerkiem. Mówiono znowu o polskim lub niepolskim personalu urzędniczym. Natchniony Szafraniec spojrzał na kwestyę z wyżyn chrześciańskiego miłosierdzia:

— Jakże można wymagać, ażeby wszyscy urzędnicy — Rosyanie pracujący w kraju tutejszym naraz wynieśli się? Przecie to ludzie niezamożni, mający rodziny, dzieci... a tutaj mają niektóre wygody, dodatki do pensyi...

Przyznać trzeba, że jednak zdumienie ogarnęło wszystkich obecnych. Odezwał się generał Kryłow z uśmiechem, po rosyjsku:

— *Nu, kanieczno, biedniażki.*

Wstał i przerwał posiedzenie.

Komentarze tu niepotrzebne, oburzenie nawet zbyteczne. Wstępuje we mnie duch profesora Rajkowskiego. Słyszę, jak mówi:

— Czy chcielibyście, żeby ci panowie byli inni? Tak jest właśnie doskonale: ci panowie to żywe argumenta naszej teoryi.

---

2 października.

Tyle nawymyślałem wczoraj mym kolegom i zwierzchnikom, że dla samej sprawiedliwości zapisać muszę pochlebniejsze zdanie o innych osobach, wchodzących w skład naszego kolejowego państewka. Mamy najprzód tęgich, solidarnych z przyjaznymi zwierzchnikami robotników. A wiedzą oni dobrze, kto ich przyjacielem i obrońcą, kto zaś tylko obojętnym, albo i zasadniczo wrogiem. Taki Tatur albo Kielesiński to cyklopy do pracy i rotmistrze u swoich i wogóle ludzie rozumiejący doniosłość, cenę i przyszłość pracy. Są wprawdzie między robotnikami i hultaje, którzy nauczyli się już wyzyskiwać hasła, a oszczędzać sobie wysiłku. Ale nie o towarzyszach warsztatowych dzisiaj myślę, tylko o kolegach urzędnikach. Wielu z nich należy do honorowego legionu przyszłości. Gdybym zaś miał wybrać najszanowniejsze z nich indywiduum, nazwałbym kobietę — pannę Zofię Czadowską,

która pełni obowiązki buchalterki przy jednym z naszych wydziałów. Od paru lat jesteśmy w przyjaźni, właściwie od chwili, gdy ona, po jakichś tragicznych losach swej zamożnej niegdyś rodziny, objęła u nas posadę. Westalka z patrycyuszowskiego rodu, chodzi zawsze w czerni, od której włosy jej popielate i marmurowo biała twarz odbijają malowniczo; budzi ogólną ciekawość. Jest stanowczo za ładna, aby z nią naprzykład pójść po teatrze do restauracyi. To też nic podobnego nam się nie zdarzyło. Nasza przyjaźń jest dzienna, ograniczona ściśle przez czas i przestrzeń. U niej bywać nie można, bo mieszka sama, w jednym pokoju, więc miejsca naszych spotkań to tylko biuro i czasem skromna, prawie ludowa, jasna jak latarnia restauracya. Dziwna rzecz, że mi nigdy dotąd nie przyszło do głowy zalecać się do tej ładnej panny dwudziestoparoletniej. Z początku byliśmy z sobą ceremonialni, potem swobodni, dzisiaj, niby bliscy krewni, możemy gadać o wszystkiem. Z niej nikt w biurze nie żartuje, otoczona jest owszem względami i uszanowaniem. Ale mnie prześladowano dawniej głupiemi zapytaniami, kiedy nasz ślub i t. p. Teraz i tego zaprzestano, bo przyzwyczajono się do naszych chodów, które są zadziwiającej monotonności zewnętrznej: panna Zofia przychodzi codzień z raportem do mojego pokoju (trochę ten porządek na-

kręciliśmy celowo), siada po drugiej stronie biurka — i gawędzimy — naturalnie, że mało o interesach służbowych. Odprowadzam ją też z biura do domu, dawniej rzadko, regularnie zaś w tym roku, gdy ulica jest burzliwsza.

Rozmawiamy z sobą często, a teraz oczywiście o polityce, i spieramy się o nią, chociaż bez goryczy. Panna Zofia zachowała z nauki domowej nieubłagany polski szowinizm, który jej przesłania nowe drogi postępu świata i kraju. Zabłąkana w naszem biurze pomiędzy kolegami należącymi przeważnie do socyalistów, przysłuchuje się hasłom, przypatruje nawet działaniom, nie godząc się częstokroć na nie. Jawnie, zwłaszcza przedemną, wypowiada swe wątpliwości, nie ufa np. związkom międzynarodowym, ani międzyrasowym. A jednak takie powszechne wzbudza zaufanie i szacunek, że nikt z kolegów jej się nie wystrzega, jako osoby innych przekonań. Każdy wie, że panna Czadowska nie zdolna byłaby kogokolwiek zdradzić, że nawet gdyby z powodu pozorów zadawania się z nami pociągnięta była do odpowiedzialności, wolałaby się raczej dać uwięzić, niż nas wydać. Taka towarzyszka nie należąca do partyi, ogólnie lubiona i szanowana, której nawet pozwalamy mieć odrębne zdanie.

— Ech, bo pani jest szowinistka!

Albo:

— Bo pani jeszcze zamłoda!

Tolerujemy obie te wady dla jej prawdziwej dobroci i zapału do rewolucyi, którą jednak rozumie po swojemu. Radaby wszystkie ohydy i niedole obecne usunąć bez krwi rozlewu, jakimś cudem apostolstwa. Nie marzy tylko dziecinnie, lecz praktykuje. Uczy tam jakieś dzieci po piwnicach i poddaszach, rozdaje broszury, według swego wyboru, zapala się nawet do niektórych robót naszych, szczególniej do strajków politycznych. W tym roku zupełnie ją pochłonął strajk szkolny. Tu ja nawet nie mogę jej sprostać zapałem. Popieram ten strajk, bo... trzeba go mieć w ręku. Inaczej stanie się atutem w ręku innego stronnictwa. Ale rzecz sama przez się jest mocno ryzykowna: jeżeli doprowadzi do pożądanego skutku jutro, pomysł będzie genialny; jeżeli nie — mogą go kiedyś nazwać i zbrodniczym. Tych niedojrzałych rewolucyonistów mamy już zadużo, a wykształconej młodzieży coraz mniej...

To jest jedna z kwestyi najcięższych, o której nikt nie ma jasnego pojęcia; kwestya wysoce drażliwa moralnie, dramatyczna i pilna do rozstrzygnięcia, Chyba, że jutro? — —

Ale panna Zofia wierzy w rychły skutek strajku szkolnego i przygotowuje już »swoje« dzieci do nowej szkoły.

Przedewszystkiem jest to szczerze polska

dusza, trochę jeszcze niedorosła do nowożytnej formy. Przyjaźnimy się instynktowo, może z powodu podobieństw pierwotnego wychowania, spieramy się zaś dlatego, że dbamy jedno o drugie i chcemy wzajemnie się przekonać.

Przeczytałem jej wczorajsze karty o kolegach i o sesyi.

— Nie dobrze, panie Tadeuszu.

— Dlaczego? zjeździłem zanadto »nasze sfery?«

— Nie chodzi mi o żadne »sfery«. Są tylko ludzie dobrej i złej woli. Ale w tem, co pan napisał, jest nienawiść.

— Niema rewolucyi bez nienawiści — to są mrzonki. Niech pani zacznie kochać nieprzyjaciół, zdrajców — ładnie pani na tem wyjdzie — i sprawa.

Zamyśliła się.

— Czyż wszystkie sprawy są partyjne?... Może krzewienie dobra zażegna walki i sprowadzi ogólną pomyślność?

— Wysoka teorya, ale na nic w zastosowaniu.

— Co ja tam wiem! — rzekła z młodym uśmiechem — mnie się tylko zdaje, że nienawiść na nic w świecie niepotrzebna.

— Zapewne, gdyby zamiast naszej partyi bojowej jeden Franciszek z Assyżu albo kilku...

— A widzi pan!

— Nie mamy czasu czekać na zjawienie się apostołów miłości.

Rozmarzyła się trochę panna Zofia, ale nie o mnie. Uśmiechała się, patrząc gdzieś przez okno. — Życzę jej, aby spotkała w życiu świętego Franciszka i została świętą Klarą. Nie żartem życzę jej wszystkiego dobrego i według jej rozumienia.

---

8 października.

No! wypadek i szereg wrażeń, które ożywiają mój ponury pamiętnik w sposób niespodziewany.

O godzinie 3-ej popołudniu wręczył mi piccolo hotelowy taki bilecik:

»Przyjechałam. Oczekuję pana natychmiast w hotelu Bristol.

Hela P.«

Ognisko jakieś mieszka w tej kobiecie, gdyż zaledwie poczułem jej bliskość, uderzyły na mnie takie żary, jakich — przyznam ze wstydem — nie doznałem już dawno, nawet przy najbombastyczniejszych rewolucyjnych nowinach.

— Będę za pół godziny — odpowiedziałem ustnie chłopcu, upewniwszy się najprzód, że jakaś »pani hrabina« dopiero co wysiadła z berlińskiego kuryera.

Tylem sobie czasu pozostawił na ochłonię-

cie, przebranie się i wynalezienie gotowej na wszelki wypadek pozy. Bo wobec tej kobiety odsłaniać się nie można — trzeba z nią politykować.

Wszedłem do narożnego apartamentu, pono najwspanialszego w hotelu. Już graty rozłożone, perfumy specyalne, herbata na stole w pustym salonie. Przeglądam się w lustrze i stwierdzam, że mam głupią minę, nerwowo uśmiechniętą; więc staram się doprowadzić twarz do obojętnej swobody. Zanim mi się to udało —

Szybkie otworzenie drzwi i stanęła we drzwiach trzymając za klamkę, w białym chitonie, skręcona kibicią, z pochyloną głową, rudą fałą włosów wysoko uhełmiona, oczyma we mnie wpita wymownemi, jakby ta chwila niema miała służyć do uwiecznienia jej postaci w mojej wyobraźni. Skończona aktorka! Zbliżyła się potem szybko, podała mi rękę dość pobieżnie, usiadła i wskazała mi miejsce.

— Przyjechałam do pana, ponieważ pan nie mógł do nas. Mam ważne zlecenie od ojca. Oto najprzód jego pismo, które mi pan zwróci po przeczytaniu.

List był do niej, nie do mnie, rodzaj akredytywy poselskiej, czuły i mglisty, właściwie niepotrzebny, bo tylko wyrażał zupełne zaufanie do córki, ze wzmianką zaledwie o wi-

dzeniu się z panem S. (ze mną) i przełożeniu mu wiadomej sprawy.

— Słucham rozkazów pani baronowej — rzekłem, starając się użyć głosu swobodnie ugrzecznionego.

— Jestem tłómaczem propozycyi mego ojca — rozpoczęła pani Paugwitz tonem ministeryalnym, dobrze jednak zastosowanym do nowego rodzaju jej piękności. — Ruch wolnościowy tutaj jest już podobno w tem stadyum, że akcya ostateczna przygotowana — nieprawdaż?

— Trudno mi na to w dwóch słowach odpowiedzieć.

— Proszę odpowiedzieć w dwóch tysiącach słów.

— Postaram się.

Postarałem się głównie o sprawozdanie ostrożne. Tłómaczyłem na język francuski niby artykuł przeznaczony do ukazania się pod cenzurą.

Po wysłuchaniu pani Hela rozśmiała się. Schudła trochę, wymądrzała w swych ponętach, wydoskonaliła je. Śmiech zaś pozostał ten sam, dźwięczący ironią i zmysłowością.

— Panie Sworski! ja nie jestem w dyplomacyi. A gdybym chciała nią się bawić, to nie z panem. Myśmy przecie starzy przyjaciele? Zapomniał pan?

— Według pani ostatniego rozkazu — zapomniałem.

— Pomówimy jeszcze o tem — rzekła z nagłym smętkiem, który mi przypomniał jej oczy mieniące się z innych przyczyn. Ale tymczasem mam dla pana bardzo realną propozycyę — przywożę panu pieniądze.

— Pieniądze?! — skoczyłem na krześle.

— Nie dla pana — łagodziła pani Paugwitz zbyt obcesowy brzęk tego złota — ale od nas dla was — na wasze cele — subsidium do dyskrecyonalnego użycia przez naczelników partyi — —

— To wymaga porozumienia się z nimi, pani baronowo — ja tych pieniędzy nie podejmuję się im wręczyć.

— Przecież miał pan zakładać dziennik? — lub zreorganizować istniejący? — — lub wreszcie na propagandę i agitacyę potrzebujecie — — ? Nie jest to tymczasem wielka suma — 5.000 marek. Możemy się zobowiązać do znacznie większych.

— Pozwoli pani, że odpowiem jej dopiero jutro, albo przyślę kogoś bardziej upoważnionego.

— To pan nic nie znaczy w partyi?

— Ach tak... jestem raczej sympatykiem...

Wsparła podbródek o rękę, patrząc na mnie z wyraźną ironią:

— Odkrywam w panu nieznane mi finezye:

ostrożność tam, gdzie trzeba szczerości i bezinteresowność tam, gdzie trzeba brać.

— Ale namysł w poważnej kwestyi czyż nie przystoi?

— Przystoi, przystoi. Zresztą zostanę tu kilka dni — — Nic się pan nie zmienił.

— Pani zaś owszem.

— Doprawdy?

— Tyle, ile potrzeba było do wykończenia obrazu.

— Może jestem »szeroko malowana«, jak pańskie Rembradty? co? — Masz pan — —

Zmoczyła śliną chustkę, wytarła nią brwi i rzęsy, które rzeczywiście nie puściły farby.

— Masz pan!

I rzuciła mi chustkę przez stół.

Cóż miałem robić? Rozpatrzyłem, podziwiałem i wąchałem batyst.

— Panie! panie! proszę nosa w moją chustkę nie ucierać! Mam tylko jedną, zapomniała właśnie służąca.

Zaraz uczyniło się wesoło i rozmowę o tej subwencyi odłożyliśmy do jutra.

Pani Hela nabrała, razem z wyrazistością oczu i ust, tej dezynwoltury, która cechuje kobiety zupełnie pewne swego panowania nad zmysłami mężczyzny, a także manier, uchodzących za najwyższe, tych, które wzniosły się już ponad kunsztowną kokieteryę i bujają w dziedzinach niekrępowanej prostoty.

Powstała i wyprężyła całą postać obleczoną w lekką, białą wełnę, czy szorstki jedwab; ujęła się w biodra przeciągając się zgrabnie naprzeciw lustra.

— Nie, nie zmieniłam się... może trochę urosłam i schudłam? — — Wie pan? ja mam tyle żeber, co mężczyzna, nie jak kobieta — — o! można policzyć.

Obciągając jedną ręką luźną suknię na wyraźnych okrągłościach gorsu, drugą przesuwała po żebrach, licząc:

— Raz, dwa, trzy, cztery — dalej nie można, bo się gubią — — I reszta w linii! — dodała, strzepnąwszy w dół dłonią po całym froncie.

— O ile wiem, związek pani z baronem nie został pobłogosławiony... przedłużeniem rasy? — wtrąciłem, aby nie zalegać w koncepcie.

— To mi się podoba! to przynajmniej szczerze! Zna się pan na liniach.

Ale, czy miałem minę zbyt lekceważącą? — pani baronowa zmitygowała się nagle i usiadła.

— Dobrze czasem pośmiać się... dawno mi się to nie zdarzyło. Małżeństwo oprócz swych przymusów, śmieszności, ma i momenty tragiczne.

Podniosłem tylko brwi, jak człowiek nieświadomy i nie odważający się pytać.

— W dotychczasowym ustroju społecznym —

my dobrze wiemy, jak wadliwym — kobieta nie ma innego sposobu życia i działania, jak wyjść za mąż.

— To niewątpliwe. I długo jeszcze tak będzie. Czy pani myśli o prawodawstwie rozwodowem?

— Dużo myślę o tem — — ale teorya to nudna rzecz między nami. Mówmy o sobie. Chcę panu opowiedzieć moją historyę od owego czasu.

— Serdecznie mnie to zaciekawia — odrzekłem szczerze.

— Pan wtedy miał mi za złe, żem za pana nie wyszła?

— Ano tak... ale i o tem zapomniałem.

— Nie; już dosyć tej pięknej konwersacyi. Jesteśmy doskonale wychowani, to się nam przyda gdzieindziej. A teraz rozmawia z sobą dwoje ludzi wzniesionych ponad poziom. Chcial pan powiedzieć, że temu lat sześć ożeniłby się ze mną, gdybym na to zezwoliła, liczył pan na mnie przez 48 godzin — dzisiaj zaś dziękuje Bogu, lub sobie — co pewniejsze — że się stało inaczej.

— Wykład mojej ewolucyi psychicznej — odrzekłem — zbliżony może do prawdy, ale pozbawiony wszelkich złudzeń. A żyje się także złudzeniami; są one winem życia.

— Szukajmy najprzód szkieletu realnego w sobie i w doświadczalnych przez nas obja-

wach cudzego życia. A złudzenia o których pan mówi — to rozkosz fizyczna, która także bez szkieletu realnego nie obejdzie się.

— Pani lubi filozofię?

— Namiętnie! Nawet powiedział mi profesor Gans, którego często widuję... Ale poco to? — Lubię także — pasyami! — czuć w ręku ster losów wielkiej ilości ludzi, prowadzić ich tam, gdzie ja chcę. Urodziłam się na wielkorządczynię.

— Niech pani wypromuje barona Paugwitz'a na kanclerza państwa niemieckiego.

— To bydlę!

— Ha, przepraszam, nie przypuszczałem.

— Tyle z niego pożytku, że ma stosunki u Dworu, których czasem także mi potrzeba.

— To pani ma, jak widzę, bardzo szerokie plany?

— Bardzo. Mówić o nich będziemy dużo, bo pan tu przecie jest na moje usługi?

— Według sił i możności.

— Mam także zamiary, które pana będą gorąco obchodziły. Chcę tutaj przyłożyć rękę do ostatecznego spełnienia waszych pragnień.

— Sądziłem, że ojciec pani?

— Działamy w zupełnem porozumieniu.

— Więc może i te pieniądze... pochodzą w części od pani?

— To nie, ani od mego ojca. Pieniądze

spiskowe są zawsze bezimienne — trzeba o tem pamiętać — i pan musi wiedzieć?

— Ach, ja nie jestem spiskowcem.

— Doprawdy? — — utkwiła we mnie spojrzenie zawiedzione, z odcieniem pogardy — pan tylko, jak artysta, przygląda się rewolucyi?

— Przestałem być artystą.

— Więc czemże pan jest?

— Sobą.

Złączyła dłonie i zakołysała ramionami, bez odpowiedzi, ale zrozumiałem, że pomyślała o drobnej mej postaci moralnej. Ja przerwałem milczenie:

— A pani się stała rewolucyonistką?

— Czy mi z tem nie do twarzy? — rzekła, powstając znowu i obciągając na sobie chiton, a ręką szkicując z włosów niby czapkę frygijską.

— Czapka nawet trochę czerwona — dodała, śmiejąc się do mnie gorącemi usty i oczyma, pozując znowu na posąg możliwie grecki i nagi.

— Bogini Rozumu.

— Już mi to powiedziano, ale właśnie chciałam od pana to usłyszeć.

Poszła przed lustro, poprawiała jeszcze włosy, stanęła bokiem, to znowu frontem, aż się uspokoiła, usiadła i rzekła dobitnie:

— Pan jest pierwotny *(Vous êtes un primitif)*.

— No? dlaczego?

— Bo pan myśli o mnie: ładna kobieta, ale bawi się w rewolucyę, jak lalka.

— Do połowy prawda.

— Całość fałszywa. Nie jestem ładna, mogę być czasem...

— Piękna.

— Porywająca — — i to w każdem znaczeniu wyrazu — — Pan nie zna kobiet, ani ich sposobów działania. Uśmiech kobiety może być więcej wart, niż wasz artykuł, lub memoryał.

— Więc te uśmiechy, które dzisiaj podziwiam, to memoryały?

— Nie, to proste uśmiechy, do pana. Pan mi się podoba, bo jest Polakiem — ja się czuję często Polką — bo pan wrażliwy, rozumie moją stronę zewnętrzną i niektóre objawy mojej psychy — estetyczne. Zresztą za mało się znamy, musimy poznać się lepiej. Przyjdzie pan do mnie wieczorem, i jutro, i pojutrze, dopóki tu będę.

. . . .

Przyszedłem wieczorem. Ubrana była w inny znowu szlafrok, barwy pompejańskiej, niby w zwietszałą purpurę. Ramiona miała nagie, różowo-złote, włosy utrefione jakoś po starożytnemu. Sybilla — nie zwyczajna pani w podróży. Ale z tych wszystkich póz i przebrań

wyłuszcza się zawsze kobieta śliczna, chuda w wiązaniach, jednak pełna we wszystkich liniach ponęt, odurzająca subtelnym zapachem, niby bezpośrednim.

Zastałem u niej wicekonsula niemieckiego, bardzo grzecznego młodzieńca, z którym razem wyszedłem. Rozmowa toczyła się o stosunkach towarzyskich w Berlinie, a jeżeli o polityce, to w granicach wiadomości dziennikarskich. Pani Hela traktowała nas obu z równą uprzejmością, mnie jako świadka swego dzieciństwa i nawet dalekiego krewnego. Oczywiście, że nie przeczyłem. Rozkoszna baronowa dała mi próbkę swej sztuki przyjmowania w salonie, łączenia węzłem swobody i pozornej zażyłości ludzi spotykających się po raz pierwszy.

Pani Hela w Warszawie — to wypadek iście rewolucyjny dla mnie. Znaczenia politycznego jej przyjazdu dotąd jeszcze nie oceniam należycie, ale czuję już jej akcyę — na własnej skórze. Przez jeden dzień rozbawiła się dusza we mnie. Gdybym był sybarytą, cieszyłbym się. Bo mi świat wypiękniał: nie tylko w nim spisek, prawa ludu, biurokracya, panująca groza i mętna nadzieja; naraz mi w powietrzu zapachnęły kwiaty rozkoszy.

A ta pani to nie Westalka, ani bogini Rozumu... Ale posiada ogromną siłę kobiecości, tej potęgi kosmicznej, którą my, mężczyźni,

rozdrabniamy na nasze szczęścia i zadowolenia. Taka Dalila...

Jej rozmowa to nie szczebiotanie. Powiedziała mi parę rzeczy zastanawiających, naprzykład to, że my nie rozumiemy sposobu działania kobiet. Kobiety, jak i dzieci, pojmują jasno, czują silnie, ale niedosadnie się wyrażają; jak dzieci, potrzebują zabawy, pustoty w ruchu i w wyrazie. To, że pani Hela przybiera dla mnie różne posągowe postacie, że się chwali i sama sobie przygląda — to właśnie może być jej naturą. Bywają kobiety z natury teatralne. Myśli jej i zamiary mogą być przytem rozumne. Powierzchowny tylko człowiek uważa za mądre jedynie słowa wymówione z poważnym układem twarzy i postaci, za lekkie słowa pełne śmiechu. Bywa wręcz przeciwnie. A już specyalnie piękna kobieta ma swój uśmiech generalny na wszelki użytek.

---

18 października.

Już kilka dni temu... Dzisiaj po raz pierwszy mogę pisać.

Gwiazdo ty mego przeznaczenia, życiodajna i śmiertelna, rozgrzesz mnie, powiedz, że mi wolno, choć wszyscy cierpią, choć wszyscy walczą!...

Przecieżeś ty nie rozkoszą tylko, ale i siostrą sprawy naszej? Przecie nic podłego w tobie, z tobą być nie może? — —

Dziwy sprawiasz, jak tęgie wino wypite po dniu wielkiego trudu, które omdlałość przemienia w siłę, a siłę w szaleństwo.

Usta twe nie są słodyczą owocu — upał twej duszy jest w pocałunku twoim.

Nie padasz mi na pierś, jak dziewczę kryjące wstyd swój w ślepocie. Oczy twe świadczą ciągle prawdzie bezwstydu.

Całaś piękna, oblubienico moja...

Co ja piszę? – pieśń Salomonową? — —

Trochę spokoju. Przecie jej tu niema, chociaż czuję jej wzrok, jej zapach, widzę, w jakiej pozie spoczywa...

Tak się to musiało stać, piorunem. Kto naszej miłości przepisał czas do namysłu, obowiązek wahania się? czy zwyczaj? czy literatura?

Przyjechała tu dla mnie. Chwyciła się tamtej misyi politycznej, którą mógł przecie wykonać kto inny. Naraża się — — Bo nosiła w sercu nasze pierwsze wspomnienia, stłumione przez rozum, jednak nieuniknione — jak i ja je nosiłem. Wyznała mi to jednym wspaniałym wybuchem, który kłamać nie może. Życie byłoby kłamstwem, gdyby ona kłamała w tej chwili.

— Gdzieś ty był, dlaczegoś nie czuł, że ciebie wołałam zaraz w pierwszym roku, w drugim, ciągle? — — I nie przyjechał nawet po moich listach! Jedyny jesteś na świecie, który mnie znał i mnie odmówił!

Nie zapisuję moich niezdarnych odpowiedzi.

— Byłeś bezwiedną przyczyną moich szamotań, błąkań, szaleństw... Gdyby nie ty, byłabym dzisiaj spokojną matką rodziny, a może ostatnią z ostatnich, — bom jednak zawsze ciebie oczekiwała, nawet w obcych tobie zapędach...

— Chcesz wiedzieć, czy miałam kochan-

ków? Pytaj — jam cała twoja, z całą przeszłością. Miałam kochanków, a jednak jesteś moim pierwszym...

— Opowiadaj mi i ty, jakie miałeś kobiety, jak cię która kochała. Ja czuję się zdolną zastąpić ci je wszystkie, zagładzić je w twojej pamięci, dać ci rozkosz jedyną, jaką i ty mnie dajesz...

— Chodź do lustra — patrz, jak nasze skóry harmonizują się z sobą, jaka ja mała przy tobie, a ty jaki mi posłuszny — Klęknij...

— Czy ty czujesz, że jest ranek wiosenny? — nie — letni? Takie zapachy są koło nas, jak kwitnącego żyta. A w mózgu ćwierkają ptaki. I zamknij tylko oczy, a zobaczysz przed sobą daleką, niebieską, wesołą przestrzeń — — Czy zobaczyłeś? — — Ja już znowu pragnę pójść tam z tobą razem — pójdź! — —

— Teraz odemnie wychodzić nie możesz, musisz zostać do późnego rana, kiedy ludzie zaczną się kręcić po hotelu. Gdybyś był moim mężem... Jak to szczęśliwie, że nie jesteś moim mężem! nigdybyśmy tak się nie kochali w tem niebezpieczeństwie, w tej grozie, w tych czasach... Nie wzdrygaj się, dzieciaku! To twój najpierwszy obowiązek mnie kochać. Sądzisz, że dlatego jesteś opieszałym spiskowcem, gorszym obywatelem? Ach, ty głuptasku! Ja już myślę za ciebie, gdy sobie śpisz w domu, czy w biurze...

Rzeczywiście myśli nietylko o mnie, ale i o swej misyi. Drugiego zaraz dnia po przyjeździe przyprowadziłem zaraz do niej po kolei profesora Rajkowskiego, Tomiłowa i Helda. Zapragnęła ich zobaczyć po mojem opowiadaniu. Wzywała ich potem jeszcze do siebie. O Rajkowskim mówiła mi z wielkiem uznaniem, Tomiłow także jej się podobał, ale pieniądze oddała Heldowi, pomimo wstrętu, jaki w niej obudziła jego brzydota. I zapewne dobrze uczyniła. Held jest najrealniejszy z naszych działaczy.

Tego samego dnia spotkał się ze mną Tomiłow. Szukał mnie wszędzie, nawet w biurze, gdzie nie byłem, (już tam rzadko kto z nas bywa) aż nareszcie dopadł mnie na ulicy i zaciągnął do pustego kąta w garkuchni.

— A cóż baronessa? ot, towarzysz sławny!

Zęby wyszczerzył jak młody wilk, któryby między stadem owiec zobaczył antylopę. To pewna, że z taką kobietą w życiu swojem nie gadał.

— O co chcecie pytać? kiedy wyjeżdża?

— Ona mnie mówiła. Ja chciał was zapytać, czy ona wam dobrze znajoma?

— Oddawna — Polka przecie z domu.

— Nu już ona nie Polka!

— A to skąd pan wnosi?

— Tak... ona może polskiego pochodzenia, ale u niej maniery inne.

— Jak sobie chcecie. To jest pani, która nam dużo pomódz potrafi.

— A ona pieniądze na strajk przywiozła? Spostrzegłem, że Hela nie powiedziała Tomiłowowi o oddaniu pieniędzy Heldowi. Więc się poczułem i ja do dyskrecyi w tym względzie.

— Pani P. mówiła, że nasi z Berlina gotowi zasilić nasz strajk i ona może w tem pośredniczyć.

— Kiedy może, niech i daje. Strajk lada dzień.

— Ja przyznam się wam, że niechętnie brałbym pieniądze dla partyi z rąk damy.

— A to co takiego? — zadziwił się Łukasz Nikitycz — pieniędzy na dzieło choć od czorta brać, nie to od takiej mileńkiej damy.

— Już ona wie zapewne komu dać. Ma instrukcye.

— Koniecznie, jeśli instrukcya. A ja, żeby ją znał, tak, jak wy, jużby pieniądze wziął. A to ona da jakiemu Żydu, choćby i Heldu.

— Cóżby się stało, gdyby i Heldowi? Pieniądze pójdą zawsze na strajk.

— Strajk wielki będzie, a pieniędzy mało.

Po chwili dodał:

— Ona córka Lorenza Latzkiego, Excellencyi?

— Tak jest.

— Tak ja już wiem. Latzki przysyła pieniądze, ale tylko Żydom.

— Tu się mylicie, kolego. Najprzód pieniądze, które proponuje pani P., nie pochodzą od Latzkiego.

— Wszystko równo — pieniądze. Jaż z wami tutaj. Jeżeli pieniądze będą, tak proszę mnie choć na sto głów przez dni dziesięć.

— Udajcie się do Rajkowskiego, albo do Helda.

— Czort z nimi! — zaklął Tomiłow — jak tylko do pieniędzy, tak i partya w wiedomstwo obraca się.

Rozstaliśmy się dość kwaśno.

Od tego czasu nie spotkałem żadnego z towarzyszów. I wogóle dni pomieszały mi się w rachubie, te dni prawie bez snu, kochane i trwożne.

Bo czasem, szczególniej, gdy zajrzę do biura, ogarnia mnie jakiś fizyczny lęk, który mnie poprostu wścieka na mnie samego. Przecie nie bałbym się wykonać najniebezpieczniejszej akcyi, stanąć w szeregach, na barykadach, gdyby zaszła potrzeba. Zdrów się czuję zupełnie, dobrze mi, jak nigdy. Jednak — mam to wrażenie, że chodzę we śnie, a może powinienbym chodzić bacznie i trzeźwo.

Hela czuwa za mnie, myśli za mnie... Hela? kobieta? — — —

Spotkałem wczoraj, po kilkudniowem niewidzeniu, pannę Zofię. Ucieszyła się do mnie, a ja może do niej za mało, bo zapytała złamanym głosem, co mi jest. Chciałem ją odprowadzić do domu.

— Pan teraz bardzo zajęty. Nauczyłam się już powracać sama.

— Pani jeszcze codzień przychodzi do biura?

— A jakże.

— Wkrótce nie będzie biura, panno Zofio.

— To jest rozpoczniemy strajk powszechny? Kiedy? czy pan nie wie dokładnie?

— Czekamy jeszcze na niektóre wiadomości — odpowiedziałem niedbale, aby ukryć własną nieświadomość.

Spojrzała na mnie badawczo. Nie był to zwykły ton naszych rozmów.

Uparłem się jednak odprowadzić ją do domu. Nie wiedziała, ile mnie to kosztowało: trzy kwadranse spóźnienia na oznaczoną przez Helę godzinę. Ale wdzięczna mi była za tę zwykłą przechadzkę bardziej, niż kiedykolwiek. Gdym ją żegnał przed bramą, rzekła mi:

— Więc teraz, panie Tadeuszu, może się zobaczymy dopiero w dniu ostatniej walki?

— Ach, i przedtem jeszcze.

— Niechby tylko przyszedł dzień! — cóż my?...

Smutno jakoś natchniona, prosta i czarna, znikła mi w bramie.

— Cóż to? zaspałeś?

Tak mnie opóźnionego przywitała Hela w hotelu.

— Nie, moje lwiątko! Pokaż się — — znowu śliczna suknia...

— Najprzód odpowiadać! — rozkazywała, biorąc mnie na pół w objęcia, na pół pod tak bliską obserwacyę, żem zezował w jej oczy, jak w jedną, ciemną, z ognistymi błyskami przepaść. — Pokaż ręce pachną jakimś tanim perfumem — Gdzie byłeś?

Śmiałem się, alem też zrozumiał, że nie można w tej chwili wymienić żadnego kobiecego nazwiska.

— Byłem w biurze. Musiałem potem zobaczyć się z towarzyszem partyjnym...

— Tylko z żadną kobietą! Póki ja tu jestem — z żadną! — — Nie masz matki, ani siostry — z innemi nie wolno ci nawet rozmawiać. Pamiętaj to sobie.

Przekonałem się już i z innych spostrzeżeń o jej drapieżnej, generalnej zazdrości — nie o kobiety tylko, lecz o wszystko. »Nie będziesz miał miłowań cudzych przedemną«. Gdyby do śmiertelnego łoża przyjaciel mnie powoływał, a godzina była przez Helę na

naszą schadzkę przeznaczona, i gdybym poszedł wtedy do przyjaciela, poczytałaby mi to za grzech i obrazę. Tak przypuszczam. Kocha bezwzględnie, niepodzielnie. Może i naprawdę, po manowcach i skrętach gorączkowych, kocha po raz pierwszy? Jak potok snujący się przez skały, rwący zapory, który nareszcie wolny runie białą piersią do morza?...

Chciała zwiedzić miasto — nie główne arterye, od Zamku do Łazienek i Marszałkowską, które już przejechała ze swoim konsulem i sama, ale dzielnice ludowe. Powóz czekał właśnie zaprzężony, chciała jechać ze mną, a jam się spóźnił prawie o godzinę.

Wyjechaliśmy w zamkniętej karecie. Wązkie uliczki i rynek Starego Miasta zajęły ją żywo, ale nie zważała na szczegóły budynków, na które zacząłem zwracać jej uwagę.

— To nie na dzisiaj. Ja chcę zobaczyć lud. Jedźmy w najnędzniejsze dzielnice.

Jechaliśmy przez Senatorską, Miodową, Długą, ku Nalewkom. Chciała widzieć i dzielnice żydowskie. Ja sam, choć byłem tu niedawno, nie poznawałem mojej Warszawy. Po chodnikach, przed sklepami, w większej części zamkniętymi, snuły się lub stały kupy ludzi widocznie gotowych na wszystko, czekających tylko hasła; postacie jakieś nieznane, złowieszcze, z rękoma w kieszeniach, w których przeczuwałeś łatwo narzędzia mordercze.

Krzyki powstawały i alarmy krótkie, jak porykiwania morza już rozkołysanego. To znowu było paręset kroków ulicy pustej, niepokojąco cichej, z której ciszy wyłaniał się zawsze żelazny grad po bruku, zwiastun konnego patrolu wojska rozmaitej broni.

Powóz nasz na gumach jechał szybko i cicho. Hela spuściła szybę i rozpatrywała się ciekawie.

— Musi ci się to wydawać bardzo dziwnem po twoim pięknym, jak zegarek nakręconym, Berlinie?

— Dzisiaj to mi piękniejsze — odpowiedziała. — Patrz, jak ci ludzie nas nienawidzą, jak się im oczy palą — — myślą, żeśmy nieprzyjaciele. Owszem, podoba mi się twoje miasto — jest tu historya w powietrzu.

Minęliśmy szybko bazar na Bielańskiej, bramę ogrodu Krasińskich i wjechaliśmy w Nalewki, gdzie zwolnić trzeba było jazdy, taki tłum zalegał środek ulicy. Nie ruch kołowy, ale tłum pieszy krzyżował się w różnych kierunkach w poprzek ulicy. Wrzaskliwy charkot i zaduch z daleka już się zapowiadał, aż wjechaliśmy w sam środek, jak w rój cuchnących jakichś owadów.

Rozpędzone wyrostki, grzmiąc krzywymi butami po bruku, na wiatr puszczając długie poły, biegły za powozem, chwytały czarnemi rękoma za ramę otwartego okna karety, że-

brząc głosem zbójeckim. Starsi z chodników zdawali się śledzić wynik połowu. Kobiety w brudnych kaftanach, w jedwabnych perukach, starcy z zarośniętemi brodami patrzyli patryarchalnie ze drzwi sklepowych i pięter.

— Tutaj Żydzi, sami Żydzi... to jest ten wasz straszny proletaryat?... — mówiła Hela, cofając się instynktowo od okna, zarumieniona po uszy, aż spocona od nadmiaru wrażeń.

Jechaliśmy tak jeszcze parę minut, aż odezwała się Hela:

— Powracajmy! to zbyt okropne!

Wychyliłem się i wydałem polecenie woźnicy. Ale nie łatwo było zawrócić w tej kupie, która, gdyśmy stanęli, oblepiła szczelnie powóz. Woźnica się niecierpliwił, fukał, śmignął nawet batem tu i ówdzie.

— Ach, nie bić ich! — krzyknęła Hela, gwałtownie stukając w przednią szybę.

I gdyśmy już skierowali się w drogę powrotną, mozolnie przedzierając się przez gęstniejący tłum, przyszła Heli myśl równie serdeczna, jak niefortunna. Z woreczka, który miała przy sobie, dobyła garść srebrnej monety i cisnęła ją przez okno powozu na bruk.

Zrazu nas to oswobodziło. Kilkadziesiąt czarnych grzbietów, sto rąk szponiastych padło na bruk, zbijając się w potwornego, drgającego okami skorupy, żółwia. Powóz tymczasem ruszył kłusem.

Ale nagle ozwał się za powozem wrzask nieludzki pogoni, tłumu wyjącego o nowy rzut tego srebra, którego pomacał. Oczy krwawe od pożądania, odkryte kędzierzawe łby, ziejące w ohydnym skurczu usta gońców zaglądały w obie boczne szyby powozu.

Powóz targnął raz, dwa i konie poniosły.

— Ratuj mnie! — krzyknęła Hela i chwyciła mnie kurczowo za obie ręce.

Przemocą oderwałem jej ręce, chwyciłem ją w pół, bom widział, że się ogląda, jakby chciała wyskoczyć — i tak powstałem trochę, aby spojrzeć przed siebie.

Konie rwały prostą ulicą. Dobry woźnica niezbyt je ściągał, tylko okręcał lejce około dłoni. Dostrzegłem parę przewróconych ciał. Wrzask, który dotąd był za nami, poprzedzał nas teraz, wyjąc rozstępującym się wichrem.

Usiadłem, objąłem mocno Helę, przytuliłem jej głowę oczyma do mej piersi.

— Nie bój się, on zatrzyma — trzeba spokojnie — jestem z tobą, nic nam się nie stanie...

Drżała jednak bardzo i wyrywała głowę do widoku.

Przed ogrodem Krasińskich woźnica zaczął konie stopniowo hamować głosem i ręką. Zwolniły nieco, targały jeszcze, ale już zakręt na Bielańską wykonały gorączkowym kłusem. Na placu Teatralnym uspokoiły się zupełnie.

Hela płakała teraz rzewnie, boleśnie, kryjąc twarz w chustkę i tuląc się do mnie bez oporu. Piłem jej łzy gorące z oczu, nie mówiąc już nic. Jakiś nowy, szalony czar namiętny bił od tej pokonanej przez wzruszenia lwicy.

Gdyśmy stanęli przed hotelem, zakryła twarz woalką, wysiadła pierwsza i szybko pobiegła po schodach na piętro, nie czekając na windę. Ja pogawędziłem jeszcze z woźnicą i powoli, aby nie zwracać uwagi, podążyłem do »naszych« pokojów.

Hela stała przed lustrem, bez kapelusza, przykładając mokry ręcznik do oczu i do policzków.

— Ładnie wyglądam? co? — Nie myśl, żebym się bała, tylko mnie ten tłum... No, już nie mówmy... Widziałeś kiedy takie czupiradło? — — Ale trudno – znaj mnie już całą — wyobraź sobie, że to od stu pocałunków.

I jak była, rozczochrana, mokra, przez perfumy wonna gorącym zapachem własnym, przysunęła się do mnie, załaskotała mnie całą postacią, a gdym ją objął, przeciągnęła najprzód powoli i silnie ramiona, zazgrzytała jakoś dziko zębami, zanim mi całą siebie rzuciła w twarz, w usta i na piersi.

---

20 października.

I tak mnie zaskoczył wielki strajk — i ta zmora, ta zmora!

Siedziałem znowu u Heli cały dzień — gdzie tam! – dwa dni, bo przecie przedwczoraj popołudniu tam wszedłem. Żywiła mnie, ukrywała w sypialni, gdy przychodzili do niej goście, to znowu w salonie, gdy sprzątano sypialnię. Dogadzała mi pieszczotliwie, jak odaliska pomysłowa, przyjmująca u siebie sułtana. Powracała do mnie w kilku przebraniach, cudna zawsze, nieskończona w ponętach. Te półmroki i oświetlenia *a giorno!* te owoce z winem w nocy spożywane, po rzymsku! Te lubieżne spólnictwa luster, całujących fal kąpieli! Czego taka kobieta namiętnością nie przeczaruje? Jaką Sybaris stworzyć może z hotelowego mieszkania!

Czułbym dla niej wdzięczność bez granic, gdyby to wszystko nie wypadło w ten dzień...

Jakby mnie chciała przemocą rozkoszy osobistej oderwać od wielkiej chwili ogólnej.

Słyszeliśmy rano jakieś gwary niezwykłe idące z ulicy. Ale czy to było rano? — Już popołudniu, a u nas dopiero wschód purpurowy od zasłoniętych firanek.

I nawet pośród głuchej ciszy, która coraz wyraźniej opanowywała powietrze, posłyszeliśmy trzask kilkakrotny strzałów, potem konne galopy — — — potem jeden głos długi, jakby przewleczony pod naszemi oknami przez stopnie odzewu, krzyku i konania — jęk człowieka gonionego? rannego? czy jakiegoś zwiastuna mordu? — — Dotąd nie wiem, co to było.

Tu się już zerwałem do wyjścia.

— Słuchaj! ja się boję... to jest nie boję się, ale nie zostanę tu sama. Zatelefonuję po jakiego znajomego.

I zostałem jeszcze, aż do późnej nocy, gdy już od kilku godzin zalegała zupełna, niczem niezamącona cisza. Wtedy, myląc ślady przed służbą, wyszedłem, bo przecie i w mojem mieszkaniu dziać się mogło coś nadzwyczajnego, i na ulicy — no i w kraju!

Pamiętać będę na zawsze tę ulicę śmiertelną, którą przemierzyłem krokami od hotelu Bristol aż do placu św. Aleksandra. Ani jednego powozu, ani przechodnia. Przy chodnikach latarnie, częścią pobite, z szamoczącymi

się w wietrze płomieniami, jak kadzielnice trupie. Co paręset kroków cienie podwójne, nieruchome policyantów, stróżów tej martwoty. A w odstępach na bruku sterczą patrole konne, krwawego autoramentu.

Rok ten przyzwyczaił mnie już do wyglądu strajku, ale ten strajk, ujrzany po raz pierwszy w nocy, jest wielki — czuć, że ostatni. Moc bije od niego głucha, moc zbiorowa zaciętych zębów i pięści drgających od przegubów naprężonych mięśni.

Szedłem środkiem ulicy, jedyny żywy człowiek, bo patrole stały jak posągi wsłuchane w grozę ciszy, ruchome tylko w oczach, które mnie przeprowadzały długim, śledczym obrotem. I w oczach domów łyskały od migotliwych latarni blaski stalowe i krwawe.

Dopiero trzeci patrol pieszy ruszył ku mnie, jak pchnięty automatem, i zapytał o legitymacyę. Nauczony doświadczeniem, miałem przy sobie pasport i świadectwo służby kolejowej, nawet mojej rangi »asesora kolegialnego«. Bo ja mam rangę w tej machinie drżącej aż do podstaw! W kieszeniach nie miałem żadnej broni, ani zbytecznych pieniędzy. Wystarczył mi zresztą pasport i ton spokojny, a twardy, który we mnie hamowana wściekłość podniecała.

Postępowałem dalej, pilnując zarówno stanowczości swego kroku i postawy, jak śledząc

uważnie każde drgnienie ruchu na ulicy. Odgłos mego pochodu rozlegał się jak w skalnym jarze.

Dochodząc do kościoła świętego Krzyża, spostrzegłem dążące ku mnie, także środkiem ulicy, trzy piesze cienie. Sądziłem zrazu, że maszeruje patrol, bo wszystkie trzy postacie szły mierzonym krokiem, we środku cień bez karabina, ale w płaszczu niby wojskowym — tylko ten płaszcz i czapka przypominała ubiór uliczny generalski z niewidzianych przezemnie czasów — — Ten płaszcz i czapka!

Stanąłem — dreszcz nie z wewnątrz, ale jakby cicha piorunowa iskra przeszyła mnie z oddalenia, przez serce. — Poznałem — pan Wojciech Piast zbliżał się, aresztowany, lecz kroczący wolną stopą między dwoma uzbrojonymi żołnierzami. Od niego bił ten piorun, od orlich oczu siła szła do mnie, jeszcze niewidzialna w cieniu wyniosłej głowy, jak te gwiazdy obiecane, których światło płynie do nas przez wieki.

Wiedziałem odrazu, co mam czynić: iść prosto, nie dając po sobie żadnego pozoru wahania. I szedłem niesiony, wzięty w kluby mocnego nakazu, aż zajaśniały mi wyraźnie te oczy najwymowniejsze na świecie, utkwione we mnie, ta twarz ojcowa, dzisiaj ciężko groźna.

Szedł lekko i dumnie, jakby prowadził

tamtych; on miał twarz wodza, sołdaty — zwieszone głowy niewolników. I mnie wzrokiem rozkazywał:

— Nie znam cię — mijaj!

Minąłem go zaś przed samym posągiem Chrystusa, niosącego swój krzyż na tarasie kościelnym. Wtedy dopiero Piast odjął odemnie promienie swych oczu i wypogodził je ufnym blaskiem, podnosząc w górę do Boskiego Męczennika. Czapkę zdjął, przycisnął do piersi i maszerował dalej, świecąc srebrną swą koroną.

Spojrzałem za nim.

Nie! to niemożliwe, Bogu niepodobne, aby ten człowiek zginął! On prowadzi tamtych, niewolników — pohetmani on im do wielkich przeznaczeń — — Nad Zamkiem królewskim jakaś zorza — — —

Ale gdzie ja? co mnie mówiły te straszne oczy ojcowe? — — —

---

22 października.

Ranek po tej nocy, do końca nieprzespanej, zobaczyłem w mojem mieszkaniu, pierwszy tutaj od dni kilkunastu. Jesień posunęła się przez ten czas, ale bardziej jeszcze postąpił rok polityczny. Czy ku wiośnie? — nie wiem. Jednak wzrosła ogromnie moc ludu, jego zaciętość i odwaga. Ten lud, okuty jeszcze i tratowany, już przeważa. Drwi sobie z ostatniej nędzy, gotów na wszystko, organizuje się żywiołowo. Jeżeli przeżyje — odetchnie; jeżeli zginie — dzieci doczekają.

Ulica jeszcze dziwniejsza za dnia, niż w nocy. Noc zupełnie głuchą w mieście czasem się widziało; takiego dnia — nigdy. Wszystkie sklepy zamknięte, kuchnie publiczne pogaszone; zupełny brak turkotu kół czyni powietrze lepszym przewodnikiem szmerów. A szmery złowrogie są; rozmowy dźwięczą gorącym szeptem, nikt się nie śmieje; konie tylko stróżów starego porządku szłapią

z rzadka po bruku, strzygąc uszami na tę znaczącą ciszę, stropione, jak i jeźdzcy. Piesza policya także miękka, ugodowa, albo wystraszona. Psi to obowiązek teraz, wojna podjazdowa bez nadziei laurów. A gdy zadudni coś rozgłośnie, to z pewnością wóz aresztancki. Śpieszy niemal w cwał, jakby z obawy przed odsieczą ludu.

O godzinie 8ej poszedłem do naszego naczelnika, Słomińskiego. O dorożce lub tramwaju nie było nawet wieści, a pilną miałem sprawę i kawał drogi. Ludzie na przedłużonej Marszałkowskiej i na jej przecznicach krążyli inni, niż zazwyczaj. Nie było ani kucharek, wracających z targu, ani biurowych urzędników z tekami, ani sztubaków. Ci, którzy szli, sami prawie mężczyźni, świętowali gorączkowo i ponuro. Trzeba przyznać, że wyglądają nasze ulice jakby pełne ludzi wypuszczonych z więzień. Bardzo wiele Żydów w kubrakach i długich butach; chałaciarzy nie widać tutaj. Wojownicze typy »Bundu« dozorują ścisłego wypełniania strajku. Widziałem parę scen zdzierania liberyi z dorożkarzy jednokonnych, którzy wyjechali sobie na chybi trafi — a nuż się uda na obiad dla siebie i dla konia zarobić? Byli to najnędzniejsi. Zdarto z nich kapoty, powywracano poduszki — niejeden i kijem oberwał. Wracali więc do domu skuleni, razem z koniem i karyklem podobni do dłu-

giego, ledwie ożywionego szkieletu. To są napewno pierwsze ofiary strajku: ludzie, ani konie dzisiaj jeść nie będą. Ale nie pora się rozrzewniać nad drobiazgami nędzy osobistej. Zbiorową nędzą walczymy o pomyślność zbiorową.

Zastałem Słomińskiego ubranego, jak do biura, choć biuro już drugi dzień zamknięte. Pił kawę i gorączkowo przekładał papiery; twarz miał barwy świeżej oliwy nicejskiej.

— Napij się kawy, panie Tadeuszu, póki jest. Na mieście nie dostaniesz — — A te papiery... czy pan myślisz, że oni po domach trząść będą?

— Jacy oni?

— No, oni — czy ja wiem? z góry, czy z dołu, czarni, czy czerwoni — — Wiem, że przecie u nas »czarnych sotni« być nie może, a i żandarmi do ludzi spokojnych... Ale zawsze trzeba być na wszystko przygotowany.

— Panie naczelniku, mam interes. Pan ma przecie urzędowe stosunki z ratuszem i policyą...

— A mam, naturalnie. Tylko, czy wypada je dzisiaj użytkować? czy toby nie pociągnęło represalii... z tamtej strony?

Tak drżał o swą skórę, że przytomność stracił.

— Nie o tem chcę mówić, panie naczelniku. Chodzi o uwolnienie jednego więźnia.

— Bój się pan Boga! Toć oni mnie wezmą w podejrzenie, jeżeli będę się wstawiał! Może być i u mnie rewizya, zapakują i zapomną... Tak, panie, kolegę Danielewicza...

— Ależ, panie naczelniku, można przecie choć zapytać!

— Można... hm, można — — A jak się nazywa? — rzekł cicho, zamykając drzwi, jakby się bał własnej rodziny i służby.

— Wojciech Piast.

— Wojciech Piast w Warszawie?! Przecie w Paryżu... w Krakowie! — — Kiedyż przyjechał?

— Nie wiem. Ale spotkałem go przeszłej nocy na ulicy, aresztowanego. Prowadzono go w kierunku ratusza.

— Ej?... przyśniło się panu?

— Ręczę za to.

Słomiński zaczął wielkimi krokami chodzić niespokojnie, czoło ocierał chustką. Chudł mi w oczach.

— Piast! no proszę, Wojciech Piast...

Zatrzymał się nagle i wyprostował, jakby gotów na męczeństwo:

— Zatelefonuję.

— Nie wiem, czy tak można?

— No, zapytać tylko, czy pan policmajster może przyjąć.

— Aha.

Wziął więc trąbkę od telefonu, robił długo

łopatkami, jakby chciał godną przybrać postawę przed tym groźnym aktem woli — — wsłuchywał się — — wzdychał — — aż odwrócił się do mnie:

— Może i telefony zastrajkowały?

— A no, pewno.

— Niech ich wszyscy dyabli! — wykrzyknął Słomiński odważnie, rad zapewne, że niemożliwość uwalnia go od bohaterstwa.

— Trzeba pójść piechotą, panie naczelniku.

Spojrzał na mnie jak na wroga i rozpoczął znowu wędrówkę po pokoju.

— Jednak ta ulica, panie... ja nie jestem tchórzem, ale narażanie się wobec bliższych obowiązków...

— Ależ, panie naczelniku! Ulica bardzo wesoła, o przejechaniu kogokolwiek mowy niema, powietrze pyszne...

— Co? — uśmiechnął się blado Słomiński.

— Naprawdę, niema najmniejszego niebezpieczeństwa. Przyszedłem tu pieszo z Hożej i bawiłem się tylko obserwacyą. Możemy pójść razem.

— Kiedy tak, to idę.

Poczciwość jednak przemogła.

Ulica w śródmieściu była tylko banalnie pusta, lecz nie groźna; sklepy pozamykane dawały jej pozór święta, krążyły nawet rzadkie powozy, wprawdzie tylko urzędowe, lub »wyższego towarzystwa«. Łamistrajków nie

śmiano karcić w pobliżu ratusza i pałaców wyniosłych strażnic starego porządku.

Gdy Słomiński wszedł do apartamentów ratuszowych, ja krążyłem po placu Teatralnym. Nie było nawet ucieczki do cukierni pod Filarami, na głucho zamkniętej. Musiałem więc legitymować się przed licznie tu zgromadzoną policyą, że czekam na naczelnika, który poszedł do policmajstra.

Po dwudziestu minutach wypadł Słomiński z bramy, radośnie podniecony:

— Niema Piasta między więźniami! Sam widziałem listę aresztowanych poprzedniej nocy. O! jest ich tam dużo i naszych znajomych! Ale Piasta niema. Sprawdziliśmy i w dawniejszych regestrach.

— Może »ochrana«?

— Komunikują spisy. Zresztą policmajster dał mi słowo, że takiego więźnia niema.

Słomiński był upojony swym czynem bohaterskim. Bądź co bądź spełnił swą obywatelską powinność. A nie wiem, czy na ten wysiłek nie potrzebował takiej dozy woli i poświęcenia, jak inny na istotnie ryzykowną wyprawę. Zasługę mierzyć można także fizycznem uzdolnieniem do niej.

Uścisnąwszy dłoń naczelnika, poszedłem jednak szukać dalej. Tomiłow będzie wiedział — on ma stosunki z samym dyabłem.

W restauracyi żydowskiej, gdzie bywał często Łukasz Nikitycz, otwartej dzisiaj chyłkiem od podwórza, podano mi przypuszczalny inny adres. Tam go złapałem.

Pijany był od rana; jednak napój zdawał się zaostrzać w nim zdolności i rozwijać loty jego ducha. Gdy mnie zobaczył, skupił odrazu twarz rozgrzaną, wziął ją w karby — tylko oczy pałały mu nadzwyczajnie.

— Musicie oddać mi przysługę, towarzyszu.

— Co chcesz, brat!

Mówił mi »ty« wbrew zwyczajowi, ale słuchał pilnie.

— Uwięziono wczoraj w nocy kogoś... ważnego. Trzeba wiedzieć, gdzie on siedzi.

— Nie trudno. — Jak jego familia?

— Wojciech Piast.

— On tu? — nu, nie mówiono — — On wszak nie z naszych, on pan, kniaź?

— Jeżeli go znacie, to musicie wiedzieć, że to wielki rewolucyonista.

— Znać ja jego nie znam. Słyszał. Cóż on taki wielki?

Charakteryzować tu na prędce pana Piasta nie chciałem. Powtórzyłem tylko:

— Wielki, odwieczny rewolucyonista.

— A kogoż on zabił?

— No... był w powstaniach, na wojnie...

— Inna sztuka. — — On wam tu potrzebny?

— Zawsze potrzebny. A także trochę mój krewny.

— *Isz, kakoj!* — z kniaziami krewny. — A mnie wszystko równo, czy on kniaź. Byli i u nas kniazie dobre, Krapotkiny! — niczego sobie po części teoryi. Tylko już nam dzisiaj trzeba innych. Broszury drukować w Londynie, w Zurychu — głupstwo! Rączek potrzeba — wo — na dzisiaj.

Rączki ma sam jak ze stalowych wężów splecione.

— Prawdę powiedzieć, wy nie rewolucyonery. Wam tylkoby awtonomia, szkoły, biały orzeł na ratuszu, piosenka, a potem — choć i biurokracya na polski ład. Co innego u nas dzisiaj na rozumie.

— Przecie idziemy z wami, za naszą i waszą wolność.

— Tak — wy ludzie dobre, chcecie żeby każdemu był kąsek — ale nie to...

— A czegoż wy ostateczuie chcecie? Przewrotu, żeby była nareszcie sprawiedliwość i porządek.

— Porządek?! Plwać mnie na porządek! W porządku tak i rozkruszysz się, jak ziarnko żyta we młynie — i tyle twojego życia. Mnie trzeba, żeb' dusza pohulała.

— To jest: chcecie przewrotu, żeby w nim każdy mógł rozwinąć swoje instynkty... no, albo dopiąć ideałów?

— Koniecznie! Jak będzie rzeźnia, że aż ziemia krwią popłynie, a niebo dymem zaciągnie, tedy każdy mały, przyciśnięty Łukaszka wyda z siebie wielkiego Łukę — tedy będzie życie!

— No, uda się — a potem?

— Nie zostanie krowopijców ludu, ani kapitalizmu, ni fabryk przeklętych, ni roboczego trudu dla bl...... czynowników — —

— Nie pozostanie nic. Ale potem cóż będzie robił Łukasz Nikitycz?

— A cóż? będzie cicho, to choć spać — — albo i Hospodu Bohu pomodlić się.

To są tarany do przewrotu jedyne.

Pilno mi jednak było dogadać się z Tomiłowem do mojej sprawy specyalnej i zapytałem powtórnie, czy może się dowiedzieć o Piaście.

— W mig — ja tylko na Czeremuchina świsnę, który z ochraną tam... Do wieczora będzie raport choć na herbowej bumadze.

— Ja się wam za to postaram o trochę pieniędzy na strajk — rzekłem nieostrożnie.

Tomiłow zachmurzył się i byczy kark wyprostował:

— To wy mnie sześć dni temu nazad na strajk nie dawali, a dzisiaj wziątkę za robotę dla kniazia? *Merci Mossie!* u mnie już pieniądze swoje jest.

Wyciągnąłem do niego rękę serdecznie:

— Przepraszam was, towarzyszu. Przecie na strajk, nie dla was!

Odrazu udobruchał się:

— Nie, brat! — tak ty za karę moją wódkę będziesz pił.

Musiałem wypić kieliszek. A Tomiłow nabrał po wypiciu jeszcze trochę blasku do oczu i powstał:

— Wieczorem o 9ej na temże miejscu — — Już idę.

—— ——

Wieczorem mój Łukasz zjawił się punktualnie. Patrzył na mnie jakby trochę podejrzliwie:

— Niema waszego kniazia ni w turmach, ni w uczątkach. I w Warszawie pewno niema.

— Jakżeż ?! na własne oczy go widziałem prowadzonego przez żołnierzy pod bronią.

Tomiłow jeszcze mnie badał oczyma, potem zamyślił się:

— Nu, tak on może pod drugiem nazwiskiem ?

— A prawda. Tam do licha!

— Uspokojcie się. Ot wam spis wszystkich aresztowanych »*iz znati*« (z osób znakomitszych). U niego figura dobra ?

— To napewno. Za włóczęgę, ani za złodzieja nikt go nie weźmie.

— Tak on musi tu być zapisany, jeżeli popadł się.

Przejrzałem spis, uważając pilnie i na pseudonim, który pamiętałem z Berlina. Nie było go. A lepiej jeszcze, że wszystkie spisane osoby znałem albo osobiście, albo z nazwiska i zajęcia.

Obym się pomylił!... chociaż to niemożliwe.

I czuję dotąd, że On tu jest.

---

29 października.

Tydzień upłynął zupełnie nowy. Chwila teraz każda jest niespodziewana.

Strajk nie sfolgował ani na godzinę, trwa i w Rosyi, bo depesze urzędowe stamtąd przychodzą, urzędowemi zaś nazywam nasze. Jesteśmy pod panowaniem Związku.

»*Charaszo, da nie so wsiem*« — jak mówi Tomiłow.

Albowiem trzyma nas w garści *de facto* stary system, porywa nam codzień kogoś. Coraz to ktoś zniknie ze znajomych, po cyrkułach katują ludzi, nie stwierdziwszy nawet tożsamości, cóż dopiero winy! — No, i my nie owieczki; i nasze browningi powalą od czasu do czasu kogoś, tylko znowu dyabeł chyba, nie Pan Bóg kule nosi. Legnie tam jakiś młody sołdat, zagnany do Warszawy gdzieś z Orenburga, jakiś policyant, siepacz podrzędny, wykonawca wyroków sędziów piekielnych, którzy siedzą nietknięci pod ziemią.

To jeszcze, jak w każdej wojnie: los niezdarnie, czy przekornie wybiera ofiary. Ale inne rozmyślanie, gdy się ma czas myśleć, zawiera w sobie rozpaczliwie mętne wnioski.

Panuje nam Związek, niby skonfederowany naród. Czekamy zaś na ustępstwo, na łaskę rządu, który chcemy obalić — — ? ? Więc przypuśćmy, że nam ten rząd da wszystko, czego żądamy — czy będziemy zadowoleni, choć ci sami mniej więcej ludzie pozostaną przy władzy? — Albo ich w następstwie usuniemy? Więc domagamy się ustępstw od tych, których mamy potem usunąć? — — Jest jakiś zasadniczy fałsz i słabość i niewczesność w całej akcyi. — — —

Przewrot dla przewrotu — ten możemy sprowadzić. Morze krwi, dymy pod niebo, jak mówi Tomiłow. Ale krew będzie nasza, dymy z naszych domów — — — Wolę o tem nie myśleć. Nie ja, nie my zrobiliśmy tę rewolucyę. Rosyanie — — —

Czy tylko Rosyanie?

Pokazała mi Hela broszury polskie, drukowane w Berlinie, które świeżo przyszły, niewiadomo jaką pocztą. Broszury są socyalistyczno-rewolucyjne — to mi oczywiście nie zawadza — ale po co w nich taka doza nienawiści przeciw narodowcom naszym? Zapewne, nie pójdę pytać o radę profesora Łokietka, albo Apolinarego Budzisza, lecz nie zaczniemy

przecie tępić swoich narodowców, aby się stało zadość doskonałości teoryi Marx'a, której oni nie rozumieją. I jeszcze co innego w tych świstkach: wyraźna idealizacya Żydów i filosemitów w przeciwieństwie do reszty świata, podawanie wszystkiego, co żydowskie, za postępowe i zbawcze, wszystkiego zaś, co Żydom przeciwne, za godne wytępienia. Narodowcy polscy są, według tych autorów, takimi samymi wrogami ludu i ludzkości, jak rząd rosyjski; ciągłe nawet czytam insynuacye, że rząd i endecya idą ręka w rękę. Szerzenie takich fałszów ubliża szerzycielom i gmatwa pojęcia o rewolucyi.

Dlatego nie podjąłem się rozpowszechniać tych berlińskich broszur — i o to poróżniliśmy się z Helą.

— Ty jesteś właściwie trochę tylko okrzesanym polskim nacyonalistą — rzekła mi kwaśno.

— Jestem socyalistą, ale Polakiem.

Hela przybrała jedną z tych póz kocich, w których celuje. Przysunęła swe krzesło zupełnie do mojego, zrzuciła pantofelki i bose stopy postawiła mi na kolanach. Skulona w kłębek, przejrzysta w cieniach lekkiego szlafroka, gładziła mnie obiema dłońmi po twarzy:

— Chcesz, abym ci powiedziała, kim ty jesteś?

— No, powiedz!

— Jesteś bardzo miły, kochany, głupiutki, jak każdy Polak narodowiec. Kocham cię właśnie dlatego.

— Tylko dlatego?

— O nie; także za nasze... (tu już używa wyrazu, który jedynie my dwoje rozumiemy).

— I tylko za to, moje Heli? — pytałem, rozmazgajony.

— A za cóżby jeszcze? — —

Cofnęła nerwowo swe cztery łapki i usiadła sztywniej.

— Nie mogę cię przecie kochać za twą wartość konspiracyjną. W tem jesteś do niczego.

Zniecierpliwiłem się:

— Tak, bo tybyś chciała, żebym raptem stał się twoim agentem politycznym w Warszawie.

— Jak to agentem? — zmrużyła oczy złośliwie.

— To jest: wykonawcą twojej woli.

— A ty myślisz, że jesteś rozumniejszy odemnie?

— Wiesz co, że sprzeczać się, jak dzieci, kto ma więcej rozumu...

— Owszem, to konieczne, abyś wiedział. Masz tam jakiś rozum do literatury, ale życiowego rozumu ani za grosz.

— Doprawdy?

— Mierzysz wszystko niby sumieniem, które nie jest tobą, tylko zbiorkiem różnych morałów nauczonych. Taka sumienność jest synonimem słabości.

I tak dalej. Naturalnie było to powiedziane pół żartem, pół z gorączki w sprzeczce. Nie biorę tego bardzo na seryo.

Jednak sprzeczki zdarzyły się parę razy w tym tygodniu, bo Hela, choć rozkosz sama, jest trochę zarozumiała i despotyczna.

Miałem nieszczęście przejść przez kilka ulic z panną Czadowską. Hela nie mogła nas widzieć, więc ktoś jej doniósł. Kto? — dotychczas nie wiem.

Przyjęła mnie tak lodowato, żem wspomniał mój wyjazd niegdyś z Berlina i wogóle wydała mi się Hela obcą i nieznaną. Nie zapierałem się, widząc, że jest dokładnie powiadomiona, nie poczuwając się zresztą do najlżejszej winy.

— Więc pan odważył się mnie obrazić?

— Nie, pani, bynajmniej.

— O tem ja będę decydowała, nie zaś pan ze swoją towarzyszką zabaw pozabiurowych.

— Panna Czadowska jest moją koleżanką, urzędnikiem.

— I markietanką waszą obozową.

— Nie spodziewałem się, aby pani chciała ubliżać kobiecie biednej, pracującej i wzorowo uczciwej.

— Ach tak? będzie jej pan bronił? Nie wobec mnie, proszę. Bądźcie sobie szczęśliwi we dwoje, bez mojej wiedzy.

— Powtarzam, że jest to mniemanie błędne i niegodne pani.

— Znowu ja sądzić będę o tem, nie pan. Ta jakaś panna mi się nie podoba — i basta. W tym tonie rozmowa przedłużyła się niepomiernie i zatruła parę godzin naszych. Zazdrość rozumiem w kobiecie kochającej, jednak nie taką, która ma swe źródło w niepohamowanej pysze. Zazdrość jest właściwie brakiem ufności w szlachetność uczucia, jest wogóle chorobą miłości. Skłonność zaś do poniżania urojonej nawet rywalki nie należy do najpiękniejszych kobiecych instynktów.

Trzymała mnie jednak Hela tego dnia u siebie, przeszkadzając nawet wykonać jedno pilne zlecenie, które miałem od partyi. Gdym się chciał żegnać, osadzała mnie na miejscu takiem zdaniem:

— Będzie czas jutro, bo ja postaram się jutro wyjechać; a panna Dodoska (umyślnie przekręcała nazwisko) nie wyjedzie, może trochę poczekać.

Po długich i nieznośnych godzinach przyszło nareszcie pęknięcie tego głupiego naprężenia. Przyszło bez powodu, bez rozumowania — poprostu Eros przypiekł nam zbyt blisko skórę swymi żarami.

— Hela!

Rzuciła na mnie obie ręce gwałtownie, poczułem zakrzywione jej, różowe pazurki.

— Mój jesteś?

— Ależ twój, niepodzielnie twój! Nie psujmy przez dziecinne kaprysy...

— No, pamiętaj! bo gdybyś... Już, już nie mówię. Pocałuj mnie — o tu — całuj mocno, mój ty...

Aż do łez i zapomnienia całego świata. Ktoby chciał sztucznie odnowić szał pierwszego uścisku, niech się uprzednio pokłóci z kochanką.

Cierni do naszej dziwacznej sielanki dorzuci czasem sytuacya materyalna wynikająca z rosnącego ciągle despotyzmu strajku. Nie mamy świeżego chleba, codzień ubywa czegoś z alimentów: to owoców, to jarzyn. Przedwczoraj kuchnia hotelowa zastrajkowała na dobre — nie można było dostać nic ciepłego oprócz jajecznicy i herbaty. Opowiadano, że bojowcy wpadli z browningami do kuchni i wypędzili wszystkich kucharzy; gotowano ukradkiem na piętrach. — Kiedyś znowu Helę głowa zabolała i nie można było kupić w pobliżu proszku antipirriny, bo większa część aptek uległa bezrobociu. To już niedorzeczność, zwracająca się bezpośrednio przeciwko ludności miasta, kaprys strajkowy bez sensu.

Ja znoszę łatwo niewygody, ale Hela lubi i dobrze jeść i mieć wszystko na zawołanie. A gdy dzisiaj zastrajkowała stacya elektryczna miejska i hotel pogrążył się w ciemności, gdy rozeszła się nadto pogłoska o przerwaniu wodociągów, Hela wpadła w zupełnie zły humor.

— Jeżeli nie będę miała wody do kąpieli to już przechodzi wszelką cierpliwość. Powinieneś był mnie ostrzedz, jaki będzie ten wasz strajk.

— Jakże mogłem przewidzieć?

— A od czegoż wasze organizacye? Trzymacie ruch w ręku, czy nie trzymacie?

— Ruch taki jest nieobliczalny; tu niema norm, to pomysł rewolucyjny pierwszy raz użyty w tych rozmiarach.

— Tylko w barbarzyńskich krajach może być takie wykonanie! Niech tutejsza biurokracya nie ma co jeść, niech się wasz proletaryat nie kąpie, ale za cóż ja? — — Udam się do mego konsulatu.

Jakoż sprowadziła do siebie znowu i konsula i Tomiłowa i nawet Helda.

---

1 listopada.

Dzień ogromny, długi, pełny!

Jakby się klimat odmienił i wiosna wybuchła, jakby pieśń i szał stały się życiem naturalnem każdego ludzkiego stworzenia napełniającego to miasto.

Od rana we wszystkich rękach, na wszystkich ustach jest manifest konstytucyjny i komunikat dodatkowy hrabiego Wittego. Nie dosyć to, nie zwycięztwo ostateczne, ale serca głodne jeszcze, śpiewają, a wszystkie ręce chwytają się tej tratwy, którą dopłynąć możemy do ziemi obiecanej.

Miasto wzburzone radośnie huczy od rana zgiełkiem nakształt nieustannej procesyi. Kto żyw wybiegł na ulicę, aby zobaczyć, jak wygląda taki pierwszy dzień wolności. I ja wybiegłem i czuję — zakwitły wielkie kwiaty nieznane, bajeczne kwiaty ze snu. Pijmy tymczasem ich woń, zanim się dowiemy, jaki ich owoc i siła odżywcza.

Nasi towarzysze wynieśli w górę swój sztandar czerwony, rozwiany w wietrze, pochwalony pieśnią, ten sam sztandar, za którego chowanie wczoraj w serdecznem zanadrzu groziła śmierć. Mrowie w kurtach i kapotach wytartych — bo świątecznych niema — przesypuje się ulicami szybko, jakby co prędzej chciało obnieść wszędzie głowy ludu odkryte, twarze chude i czarne, ale już namaszczone wyzwoleńczym szałem.

Ówdzie znów narodowcy, ten sam lud sterany, lecz mocny, pod białym sztandarem i orłem, dążą gdzieś, byle dalej, bijąc w zdumione mury zakazaną wczoraj pieśnią.

Swoi są wszyscy, braćmi wszyscy; z tych samych głębi serc, z tych samych nędzy ukojonych bije ta radość.

Tak się zdawało do wieczora!

I od rana zaraz, gdyby kto nie był upojony, dostrzegłby rodzące się w hymnie zgrzyty. Żydzi kupią się osobno — to wolno — ale nie łączą się nawet z polską partyą socyalistyczną, od narodowych zaś sztandarów wyraźnie boczą się, spoglądają ku nim nienawistnie. To wszystko ułoży się jeszcze i skojarzy. Tak wielki mamy przedmiot do wspólnego kochania: wolną przyszłość narodu, ludzkości! Napełnią się serca tem miłowaniem, miejsca w nich zabraknie na partyjne i rasowe wstręty.

To mi nie zawadza, że wystąpiły na czoło

miasta takie twarze nędzne a groźne, jak pryszcze wyrzucone na skórę przez śmiertelną gorączkę. To pół mety do ogólnego wyzdrowienia. Niechaj wszystkie nędze i żądze i pragnienia wychyną dzisiaj na zbawcze słońce sprawiedliwości!

Ale cel, towarzysze! nie chybiajmy celu!

Nie po to pękły okowy, abyśmy się żarli między sobą.

Jednak i sam strofować się muszę; żądam rozumu politycznego od całego miasta upojonego świętem — — każdy je rozumie po swojemu, każdy własnym pomysłem święci tę wielką niedzielę wolności.

Lepiej, że zanotuję widziane obrazy, niż te sądy pośpieszne, gdy i ja sam jeszcze niepewny jestem, co snem, a co jawą.

Dzień aż do zmroku zeszedł mi na przepychaniu się przez ciżbę niemożliwą do pojęcia, gdyż nie widziałem nigdzie choćby przejrzystej ulicy — same mrowia na bruku. Dano znać, abyśmy się zebrali o 9 rano u profesora Rajkowskiego dla powzięcia uchwały co do czynności dziennych. Ale zaledwie o południu dopchaliśmy się na punkt zborny, i to nie wszyscy. Prawda, że było co widzieć na ulicy i mieszać się ciągle wypadało do niespokojnych ruchów, do porywów ludu.

Tu ksiądz ze sztandarem w ręku, prawi ze schodów gmachu tak, jakby nasza autonomia,

nawet niepodległość, były zdobyczami dziś osiągniętemi.

— ...»Padnijcie, ludzie, na twarz przed Panem Zastępów, który lud swój wyprowadził z niewoli i morzu Czerwonemu, morzu krwi, rozkazał rozstąpić się na strony...«

To się zaś stosowało do ogłoszonej dzisiaj sumarycznej konstytucyi, która już zażegnała i usunęła morze czerwone w wyobraźni owego księżyny.

Lud płakał serdecznie, intonował »Boże coś Polskę«, modlił się dziękczynnie.

Na miejscu księdza staje bojowiec, inną wizyą pijany, i grzmi:

— Kłaniam się tobie, ludu w majestacie, który nie dasz się oszukać podstępami wrogów. Wzeszedł już dzień wolności, wybila godzina mocy naszej. Wróg uląkł się, ukorzył przed nami. Teraz czas chwycić go za gardło, aby wyrzygnął wszystkie pożarte prawa ludu... Więc strajk powszechny trwać ma w całej pełni, póki nie zdobędziemy konstytuanty w Warszawie, zwołanej przez tajne, równe, bezpośrednie głosowanie i t. d.

I ten sam lud na temże miejscu aklamuje, śpiewa »Czerwony sztandar« — — —

Po przebrnięciu tłumu i zgiełku, po tych wzruszeniach aż dziwacznych dotarłem do mieszkania Rajkowskiego. Profesor był tak

wesół, jakby grał partyę szachów z Potworem już osaczonym i był w korzystnej pozycyi.

— Strajk powinien trwać, nie można się w nim nawet zawahać. Pchnęliśmy rząd do połowy zakreślonej przez nas drogi historycznej; drugą połowę przejdzie on znacznie prędzej. Głodno jest, ale wspaniale: oblężenie nasze okazuje się skutecznem.

— Ależ my jesteśmy oblężeni — ktoś zaoponował.

— Nie, my oblegamy.

Zacierał ręce z iście drapieżną pogodą, a mówi tak pieszczotliwie, jakby dzieciom wykładał metodę Freblowską.

— Dobrze to wam — mruknął jeden ponury robotnik — ale nam już baby i dzieci piszczą. Fabrykantów dzisiaj pociągnąć trzeba, bo złodzieje ledwie połowę fircentagu wypłaciły w zeszłą sobotę.

Szlachetną, choć zmanierowaną twarz profesora zabarwił lekki rumieniec i ozdobne słowa odpowiedzi rwały mu się z ust trochę bardziej zaciętych:

— Do fabrykantów wysłaliśmy delegatów; powrócą napewno z wynikiem, czyli z pieniędzmi. Co do mnie — oddałem całą gotówkę do kasy strajkowej — mam już tylko dwanaście rubli dla siebie i dla syna. Syn mój jest na ulicy w dość niebezpiecznej misyi.

Ktoś skorzystał z tego Brutusowego wy-

znania, aby wypalić naganę poprzedniemu mrukowi, a panegiryk Rajkowskiemu. Ale on, skoro tylko spostrzegł zamiar mówcy, przerwał:

— Przepraszam — to nie ma nic do rzeczy — odpowiedziałem już na interpelacyę. Każdy z nas ma obowiązek tłómaczenia się ze swych działań przed współobywatelami. Jako program na dzisiaj postanowiliśmy żądać demonstracyjnie zniesienia stanu wojennego i uwolnienia wszystkich więźniów.

— Ale czy wydadzą ich? — powątpiewała towarzyszka X — straże przecie nie nasze.

Kassandra!

Na ten dzień szalony i piękny zapadał wieczór krwawy. Sam pozór nocy działał już inaczej na nerwy, niż dzień, pomimo wszystko upajający rozkosznie. W słabem oświetleniu ulica płynęła groźną, zaduszną lawą, płynęła bez przerwy, hucząc ochrypłymi śpiewy, przechodzącymi ciągle we wrzaski lub jęki wichrowe. Czerwone latarki zastąpiły teraz takież sztandary i znaczyły niby głowy odradzającego się zewsząd Lewiatana, który czarnymi przegubami swych kłębów i odrośli napełniał ulice, pełznąc i rycząc. Rzadkie już za dnia oddziały wojska, owe dziwne prądy konne śród pieszej powodzi, zamagnetyzowane niby i zamyślone nad znaczeniem wielkiego

przewrotu — znikły wieczorem zupełnie. Stan wojenny został siłą rzeczy zniesiony.

Inna jeszcze nastąpiła przemiana. Tłum zczerniał od przewagi chałatów żydowskiego proletaryatu. Znikła radość i podniosłość pieśni, sama groza i zawiść zdawały się płynąć ulicą. Straszne jakieś i — przyznać muszę — podłe twarze prowadziły pochody. Czarny lud po raz pierwszy wydał mi się obcym.

Byłem świadkiem takiej sceny na Marszałkowskiej. Pośród panujących wszędzie w tej dzielnicy pieśni socyalistycznych i czerwonych latarek zaczął się zbierać kłębek niewielki około białych latarek i podniosła się pieśń: »Boże coś Polskę«. Nie jak uprzednio, gdy wybuchała tryumfalnie, wypłynęła teraz nieśmiało, z młodych piersi. Bo szwadron złożony był przeważnie z wyrostków, na czele szło kilku zaledwie wąsaczów, z pozoru szewców warszawskich, nieodrodnych potomków Kilińskich. Naprzeciw zaś dążył zwarty i nieskończony pochód socyalistów.

Znalazłem się pośrodku obu pochodów, które, zbliżywszy się do siebie o pięćdziesiąt kroków, stanęły dwoma sprzecznymi frontami w poprzek ulicy, mierząc się wzajemnie oczyma swych latarek, krwawych i białych. I pieśni starły się pierwsze w powietrzu, poróżnione, zwyrodniałe w fałsz i wyzwanie.

Ale z pod czerwonych latarek zaczęli de-

zerterowie przebiegać bokami przez chodniki i łączyć się z pochodem narodowym. Wtedy na czoło czerwonego pochodu wyskoczył młodzieniec, którego dobrze pamiętam, choć pierwszy raz go widziałem. Młody, chudy i porządnie ubrany, nie warszawskiego typu i nie tutejszym przemawiający akcentem. Odznaczał się psią szczęką i prawdziwie jak pies owczarski opędzał czoło swego stada, przeszkadzając wybiegać do rzekomych przeciwników.

— Towarzysze i towarzyszki! — krzyczał — stać! stać! nie łączyć się z tamtymi! To narodowcy! Nie ma już białych sztandarów, dziś tylko czerwony sztandar!

I zatrzymał zbiegów i cały front swego pochodu pchnął naprzód. Wtedy i pochód biały zawrócił. Pchany przeważną liczbą szedł, choć w odstępie, na czele, nie milknąc pieśnią, ściganą przez pieśń czerwoną. Tak mi zniknął z oczu.

Jakoś mi to zwycięstwo naszych w smak nie poszło, owszem drobne zajście tkwi mi cierniem w pamięci. Zwalczać obłudne lub wsteczne działania narodowców — to co innego. Ale zakazywać dzieciom polskim ich pieśni, zakazywać dzisiaj komukolwiek łączenia się z białym orłem — to chyba pachnie obcą agitacyą?

Późny wieczór zalał gorącą krwią plac

Teatralny i oparami tej krwi mózgi całego miasta. Nie byłem na placu katastrofy, Rajkowski przeznaczył mi robotę na innem miejscu. Gdym się dowiedział o rzuceniu konnicy na lud, domagający się wydania więźniów z ratusza, byłem opodal stamtąd. Rzuciłem się naprzeciw wieści, którą niósł tłum zrozpaczony. Uciekali jedni jak od goniącej za nimi wizyi piekła; niesiono kłusem kilku rannych, czy trupów. A głównie fala grzmiała wichrem złorzeczenia i groźby. Nie dobiegłem tam, gdzie już zapewne panowała cisza śmierci; tylko na rogu placu Saskiego i Królewskiej spotkałem kupę ludzi ziejącą jakby jednym oddechem. Nad tą kupą, podwyższony na jakiejś skrzyni, stał Tomiłow.

Twarz miał przeistoczoną przez furyę oratorską, nakrycia głowy nie zdawał się wcale mieć przy sobie, rozpięty paltot okazywał ubiór w nieładzie, rozerwaną na szyi koszulę. Prawą ręką chwytał się za lewą, która zwisła bezwładnie. Krzyczał:

— Otwórz oczy, narodzie, na tych, którzy nam niosą konstytucyę! Popróbowali wy jej na waszych karkach — a? — Cóż teraz? zaśpiewacie »Jeszcze Polska nie zginęła?« — a? Zginie, bratcy, i Rosya i Polska, jeśli nie pokończym my dzisiaj z ich przeklętym porządkiem! Nie Dumy nam niewolnej, a woli narodu! Podjęli wy raz ręce okowane, rozbu-

dzili dusze pragnące, tak i chwytajcie, póki pora, władzę i swobodę! Nie jutro, a dziś!

. . . .

Ten wie przynajmniej, czego chce.

Poznał mnie w tłumie, zeskoczył ze skrzyni, chwycił mnie zdrową ręką za ramię i pochylił mi się do ucha:

— A wy co? rozglądacie się?! — Drugą attakę na ratusz — ot co!

— Nie mamy tego w programie dziennym.

— Programa nocna jest, nie dzienna. Gdzie u was proch? gdzie pękające blaszanki? Takie wy i rewolucyonery!

Spojrzał na mnie z nietajoną pogardą i poleciał gdzieś na czele tłumu, który, czując siłę, ciągnął za nią w noc.

---

3 listopada.

Nie widziałem Heli od czasu wybuchu tej »konstytucyi«. Dała mi nawet znać przez kartkę, pisaną obcą ręką, że nie spodziewa się spotkać mnie w tych dniach, zapewne bardzo roboczych dla mnie. Pójdę jednak jutro do niej, bo z wielu względów muszę ją widzieć.

Wiem, że działa tu, agituje, spotyka się z wielu towarzyszami partyjnymi; ze mną zaś coraz mniej mówi o sprawach publicznych. Nasz sojusz zmysłowo-ideowy coraz bardziej ogranicza się do pospolitego romansu. A gdy i ten związek przerwany został na kilka dni przez huragan wypadków dziejowych, który oderwał mnie od niej, Hela wydaje mi się z oddalenia odmienną i bardziej obcą.

Gdy Goehtowski Faust na sabacie majowym tańczy z młodą czarownicą, z ust jej wyskakuje nagle czerwona mysz i odstręcza Fausta od tancerki. Nie chcę porównywać Heli do owej czarownicy — wiem jednak, że

tańczyć z nią rozkosznie, ale mam i wrażenie podobne do owego genialnego symbolu. Coś grzesznego i krwawego idzie od niej ku mnie. Są to wrażenia nerwowe, dreszcze magnetyczne dodatnie i ujemne, jednem słowem poczucia, których nie mam czasu rozpatrywać, którym też poddawać się nie chcę. Trzeźwo patrząc, muszę uważać Helę za sprzymierzeńca mojego i naszego; chcemy w teoryi takiej samej naprawy świata; że zaś ona trochę odmiennie patrzy na świat i ludzi — to nic dziwnego: jest ostatecznie innej rasy.

Pojęcie rasy, wykreślone z programów socyalistycznych, jak trudne jest do wykreślenia ze stosunków osobistych, codziennych! Rasa kojarzy lub odstręcza ludzi, pomimo wszelkie rozumowania.

Mnie naprzykład coraz trudniej porozumieć się ideowo z Żydami, nawet należącymi do mojego stronnictwa. Co ten Rubin Held wygadywał na wiecu w Filharmonii, na którym pomieszanie języków współzawodniczyło z pomieszaniem pojęć! Zainterpelowałem go zaraz po owym wiecu:

— Wiem — odpowiedział mi — pan potrzebujesz ładnej rewolucyi z orzełkami i z białymi sztandarkami.

— Ależ rewolucyi! nie darcia się z narodowcami.

— Póki nie wytępimy nacyonalizmu we

wszystkich jego przejawach, nie będzie panowania ludu. Pan myślisz, że narodowcy nieszkodliwi są dlatego, że oni są głupi? Każdy z nich jest głupi, ale oni razem zamądrzy są.

— No, to pan przyznaje, że instynkt zrzeszenia i samozachowawczy starczy im za mądrość polityczną.

— Taki instynkt, to każdy mieć może. Ale to jest instynkt anti-społeczny.

— Przepraszam pana — i o naszych działaniach partyjnych mogą oni to samo powiedzieć.

— Oni mogą mówić, ale my jesteśmy ludźmi przyszłości. My jesteśmy bez przesądów i my jesteśmy ci sami tutaj i w Rosyi i w Niemczech i na całym oświeconym świecie. U nas niema nacyonalizmu.

— Żeby to była prawda! Ale przecie wybucha nacyonalizm żydowski.

— Gdzie go pan widziałeś?

— Wszędzie — na ulicy, na Nalewkach, na dzisiejszym wiecu. Także mądre były te demonstracye przeciw hasłom narodowym, bardzo pożyteczne dla sprawy przyszłości z każdego stanowiska!

— To jest drobny wybuch namiętności w polemice. Trzeba rozumieć gorący czas.

— Pan tylko motywuje inaczej, panie Held, ale ma pan te same pobudki działania, co i narodowcy. Dążąc niby do pożytku ogółu

mieszkańców tej ziemi, chce pan zmiażdżyć część tych mieszkańców, i to większą.

— Pan się mylisz, panie Sworski. Ja nie jestem za nikim, ani przeciw nikomu, tylko za sprawiedliwością. Równość praw dla wszystkich, żadnej panującej religii, ani narodowości. Jeżeli pan tego nie uznajesz, nie jesteś pan socyalistą.

— Owszem, uznaję. Tylko nie wiem, co porabiają na naszej ziemi, w dniach tych ogromnych, kiedy wszystkie siły skupić trzeba do walki, kłótnie domowe, które wydały mi się celem, nie tylko wynikiem obrad? Co znaczy także dążenie do osobnej autonomii żydowskiej?

— Właśnie w takich dniach trzeba o wszystkiem myśleć, wszystko naraz tworzyć. A Polacy czy nie myślą o swojej autonomii?

— To co innego! — zawołałem — w ogólnej autonomii krajowej powinny się zmieścić i prawa i dążenia polskich Żydów!

Held uśmiechnął się krzywym uśmiechem. Z fatalnie brzydkiej jego twarzy wypełzał jakiś wyraz jadowitego gadu.

— Co innego? — — pan bardzo daleko zostałeś w tyle za nami, panie Sworski. — — Pan jest przyjacielem pana Latzkiego z Berlina.

— Znajomym.

— Niech pan z nim pogada... niech pan dobrze pogada choćby z jego córką. To są także Polacy, ale z szerokim horyzontem.

Dziękuję za taki horyzont, jak go rozumie Held! Ja dla Żydów specyalnie pracować nie myślę z uszczerbkiem mojej narodowości. Latzcy są naszymi sprzymierzeńcami, ale nie władzą jakąś, której mamy słuchać. I zupełnie co innego Latzcy, Europejczycy, chrześcianie, ludzie wysokiej kultury, niż taki Held, wyraźny Machabeusz za sprawę żydowską.

Jednak Hela ma ciągłe interesy do Helda, uważa go za najpoważniejszego tutaj szermierza sprawy ludowej. Trzeba jej będzie wytłómaczyć różnicę między polskim Żydem, a takim — — Ale jakże oskarżać towarzysza partyjnego? — —

Ciągłe zawikłania bez wyjścia. —

Śniło mi się dzisiaj, że jestem obywatelem wolnego kraju, oblanego dokoła oceanem, jakiejś Polski morskiej, bez sąsiadów, bez opiekunów, istniejącej samej dla siebie. Mieliśmy w tym kraju idealną konstytucyę demokratyczno - socyalną, wszyscy obywatele byli zadowoleni. Chcieliśmy wybrać na prezydenta rzeczypospolitej Wojciecha Piasta, ale nieodłączni od nas Żydzi gardłowali prze-

ciw niemu. I Hela, moja także we śnie, głosowała z Żydami.

Nawet przez sen nie mogłem wymarzyć mej ojczyzny bez Heli, jako rozkoszy, bez Żydów, jako klęski.

6 listopada.

Brałem wczoraj udział w wielkim pochodzie narodowym z całą prawie naszą partyą. Rajkowski szedł sztywny i niemy, ale blady od silnego wzruszenia; Wiśniakowski beczał, jak bóbr; młodzież nasza trzymała kordony razem z narodowcami, jakby z nimi kolegowała od lat w jednej szkole. Coś większego od haseł partyjnych, coś większego od nas samych prowadziło te pułki uroczyste, ten nadzwyczajny ordynek palących się serc, ten naród.

Już się był połączył biedny komunik ludowy z krwawej Woli z główną siłą pochodu pod pomnikiem Mickiewicza; już rzeka ludu pod sztandarowymi orłami ruszyć miała dalej w kierunku do Kopernika, gdy mi przyszła myśl wyprzedzenia pochodu i zajrzenia do hotelu Bristol.

Myśl zdrożna, czy zbawcza? — nie wiem. Los mnie poniósł.

Zastałem u Heli Tomiłowa — drugi już raz tam go zastaję — i wicekonsula niemieckiego. Wszyscy troje stali na balkonie pierwszego piętra przybranym dywanami i wstęgami, jak cały hotel. Rozmawiali po niemiecku — i Tomiłow bąka tym językiem. Wystrojony jakiś, uczesany, z lewą ręką na czarnym temblaku.

— A! to bardzo uprzejmie, że pan sobie o mnie przypomniał! — zawołała Hela tonem wielkiej damy, którego z różnych powodów w jej ustach nie znoszę.

I patrzyliśmy na pochód, już znowu płynący. Przyznam, że chowałem się za plecy innych, bo pokazać się na balkonie, w tem towarzystwie, wydało mi się naraz gorzej, niż niestosownem. Stałem jednak przygwożdżony do miejsca przez komplikacyę wrażeń, której nie będę opisywał. Skronie i gardło i serce czułem w kleszczach jakiejś zakazanej emocyi.

Mijały pod nami chorągwie polskie i lała się pieśń, aż paląca mi twarz.

— Szkoda, że niema muzyki na czele — rzekła Hela.

— Bezwątpienia — potwierdził Niemiec — muzyka wojskowa dodałaby tonu.

— Dyaków by im naszych dodać! — ruszył konceptem Tomiłow.

— *C'est chic, cependant* — odezwała się znowu Hela po francusku, zapewne dla mnie.

Stałem tam jeszcze, nie widząc już prawie nic, tylko ciemny przewał ludu, poplamiony jasnymi sztandarami, słysząc bardziej młotki krwi w skroniach, niż śpiewy i słowa.

Przyszła znowu Heli do głowy stosowna uwaga:

— Grzeje to, ale nie pachnie...

Od tłumu buchało rzeczywiście gorąco.

— Panie Sworski, proszę mi przynieść flakon z solami angielskiemi.

Spojrzałem na nią obłędnie i nie ruszyłem się z miejsca.

— Co panu jest? — — taki rozgrzany? — — Panie Tomiłow! flakonik mały, pękaty, zielony... stoi przy mojem łóżku w sypialni.

Tomiłow wykonał polecenie — i zaczęło się wdychanie soli angielskich, potem poczęstunek niemi gości. Tomiłow pociągnął nosem nie na żarty, aż odskoczył.

— Tfu, czort! — zawołał po rosyjsku.

Hela parsknęła śmiechem.

— Jak to pan powiedział?! proszę powtórzyć — no, proszę — —

Zwróciła się do nas:

— Wasz bohater ostatnich dni lepiej znosi zapach krwi, niż soli angielskich.

Zacząłem się żegnać z towarzystwem. Ale

Hela, nawykła do mego posłuszeństwa, kazała mi poprostu zostać jeszcze. Gdym powtórzył ukłon pożegnania, rzekła przymilniej:

— Ależ, mój przyjacielu, trzeba nam pokazać przynajmniej ludzi wybitnych w tym tłumie — my tu przecie obcy wszyscy troje.

Ten argument zatrzymał mnie jeszcze. Wskazałem kilku znajomych, głównie tych, którzy nieśli sztandary, lub szli w bezpośredniem ich pobliżu, bo innych trudno było wyróżnić w zwartym tłumie.

— A to kto, tych dwoje wysokich? widzi pan? — — — taki piękny stary w płaszczu, pod rękę z młodą, z córką? — —

Niepodobna ich było nie zauważyć, szli bowiem trochę przed pierwszym szeregiem rozpoczynającego się nowego oddziału, tuż przy tęgim chorążym w chłopskiej sukmanie. I ja już dawniej patrzyłem na tę parę, porażony nadspodziewanym widokiem.

— Nie wiem — odrzekłem.

Wiedziałem już niezawodnie: pan Wojciech Piast szedł z panną Zofią Czadowską. Ona ubrana jasno — widocznie zrzuciła na dziś swą upartą żałobę — ze wstążkami barw narodowych przy staniku; on bez żadnych oznak niezwykłych, zawsze w swym szarym płaszczu; za legitymacyę dostojeństwa starczyła mu jego głowa siwego orła. Ale stąpał ciężej dzisiaj, krokiem bardziej zmęczonym, niż tamtej nocy,

gdym go ujrzał aresztowanego — i zdawał się nawet opierać na ramieniu panny Zofii, która spoglądała na niego od czasu do czasu, żarliwie i dumnie, jakby przejęta swą funkcyą wspierania osoby czcigodnej i umiłowanej.

Błyskały mi szybkie myśli przez mózg: więc on jest tutaj i wolny! — więc ci dwoje znają się dobrze? — — a mnie ani on nie zawiadomił, ani ona nie powiedziała...

Wtem odezwał się Tomiłow do mnie:

— To przecie panna Czadowska z waszego biura?

— A może być — odpowiedziałem.

Hela utkwiła we mnie oczy błyszczące, które wymagały natychmiastowej odpowiedzi.

— Ubrała się inaczej... nie poznałem odrazu...

— A ten pan przy niej to jakiś stary adorator...? lord-płatnik? — dodała jadowicie.

Tym razem pożegnałem się na dobre.

— Poczekaj pan, mam coś do powiedzenia.

I zostawiając gości na balkonie, poszła za mną pani baronowa w głąb salonu.

— Odchodzisz? Idziesz za nimi?!

— Tak jest.

— Pamiętaj, że możesz tu nie wrócić!

Milczałem z zaciętymi zębami. Hela popatrzyła na mnie okrutnie, potem uważnie i rzekła nie tak już silnie:

— Jeżeli mi dzisiaj wieczorem tego wszystkiego nie wytłomaczysz, to jesteś... jesteś...

Przerwałem:

— Co tu tłomaczyć? Wiesz dobrze, że obowiązkiem moim być tam, na ulicy.

— Twoim obowiązkiem jestem ja — rozumiesz?

— Rozumiem, co mówisz, ale wiem, co wiem.

I wyszedłem.

Wmieszałem się do pochodu z jedną już tylko chęcią odszukania tej pary, którą widziałem z balkonu. Ale w tłumie dwukroćstotysięcznym nie udało mi się. Do zmroku i do końca pochodu lustrowałem szeregi, to przyśpieszając kroku, to cofając się — i nie spotkałem Piasta, ani panny Zofii. Nerwowy niepokój ściga mnie i chłoszcze.

Poszedłem wieczorem pod znany mi adres panny Czadowskiej. Pani jeszcze nie wróciła do domu. Poszedłem raz drugi około dziesiątej wieczorem. Brama była zamknięta, a stróż mi oświadczył, że mnie do domu nie puści, że do panny Czadowskiej nikt nigdy w nocy nie wchodził. Napisałem więc do niej list dzisiaj rano z prośbą o udzielenie wiadomości, gdzie mieszka ten pan, z którym wczoraj szła w pochodzie. Nie mam dotychczas odpowiedzi.

Właściwie po co mi tu potrzebny Wojciech Piast? Mąci mi tylko w głowie. — — Jego teorye nie są do nowego życia Polski zastosowane. Czemś był niegdyś niewątpliwie, dowódcą, hetmanem — — dzisiaj jest już tylko dziwakiem, szanownym z powodu swych cierpień i szlachetnego uporu, lecz tylko dziwakiem.

Niech się ukaże wreszcie, niech przemówi jasno, niech działa, zamiast się migać tylko zmorą w czasach, gdy duchy naczelne tak potrzebne do czynu!

A nuż nie może? — — Jak się uwolnił od owej straży, pod którą spotkałem go wtedy w nocy? — Znowu teraz w biały dzień i z panną Zofią??

Stwierdzić muszę, że zawsze jego zjawa łączy się z najlepszemi osobami, jakie znałem, ze wzruszeniami wręcz odmiennemi od powszedniego wątku mego życia: przy śmierci ojca, w opowiadaniach matki mojej — — na jakichś zakrętach mego istnienia, gdzie jakby blask objawienia i wicher skruchy wdzierał się między ciężkie mgły mnie otaczające.

W tych dniach niepospolitych gdyby ten zapomniany starzec stanął na czele narodu, ciekawym jednak, coby sprawił — — Zbawienie? — a choćby tylko jasność!...

Elektryzuje mnie ten »stryj« historyczny,

ale i dręczy. Gdy mi się ukaże, dostaję gorączki.

. . . .

Czy to grzech, że powróciłem do Heli? — Jest pewien sadyzm w posiadaniu kobiety, w której przeczuwa się wrogą duszę. Rozumiem rozkosz zabicia jej w uścisku.

— —

12 listopada.

Gdzież on jest, ten hetman? — —

Szukałem go na waszych wiecach, panowie ze szlachty demokratyzującej, którzy się mienicie wojskiem pod jego buławą! Skąd, od kogo otrzymaliście depesze o nadaniu autonomii Królestwu Polskiemu?

Czy godzi się powiedzieć więźniowi, że jutro będzie wolny, aby go uśpić na noc jedną?

Nie oklaskiem zadrżała sala, nie krzykiem radosnym, ale jękiem ulgi jakoby śmiertelnym. Stare dusze znękane zdawały się odlatać, aby dać miejsce duszom nowym, wolnym. Uniesienie zlało się w hymn modlitewny...

Wtedy jeden młodzieniec »męki czując szczere« wyskoczył na cokuł kolumny, ujął lewicą za słup, a prawą rękę wzniósł, aby błogosławić, lub przekląć.

— Czy prawdę ogłaszacie wy, którzyście na mównicach?! Do nóg wam padnę, zwia-

stunom — — ale w łeb wam palnę, jeżeli zwodzicie!

Zakołysało oburzenie oczadzonym wiecem:

— Świętokradca! zdrajca!

— Precz z nim!

Jeden był, którego serce przez sen magnetyczny krzyknęło! Jeden był, który powiedział to, co już wszyscy dziś wiemy — —

Nie jesteście z Piastem! nie gada on z wami, skoro idziecie na oślep! On nie pomyliłby się tak niebacznie, tak zgubnie!

*
* *

Poszedłem na radę waszą, bogacze ziemi, jako delegat ludu, z żądaniem, abyście skarby swoje otworzyli ludowi, który mrze z głodu, walcząc za swoją i waszą przyszłość. Wyście zaś odmówili, zasłaniając się fałszowanem pismem Piasta, który niby zakazuje wam szafować na dzieło zniszczenia cennego jeszcze porządku, na wolność bezbożną.

Poznałem, że kłamiecie, że zasłaniacie się bogiem malowanym na tarczach waszych. A ja wam powiadam, że Bóg, który Jest, odwróci się przeciw bogom waszym herbowym, jeżeli serc i skarbów otwartych nie oddacie sprawie narodu.

I poznałem, że z Piastem nie trzymacie

że, chociaż krewnego, gotowiście go sprzedać za patent na niebronne tycie.

* * *

Powróciłem tedy do »swoich« i zastałem u siebie wiec Żydów, którzy wrzaskiem wielkim domagali się wydania im Piasta na śmierć, gdyż niweczy i zdradza sprawę ludu. A za Żydami krzyczeli robotnicy tępi i głodni.

Aż Rajkowski musiał zapewnić uroczyście, że niema Piasta w Warszawie, że tylko kogoś podobnego widziano, a gdyby i był rzeczywiście, to człowiek obłąkany i godzien tylko litości.

* * *

Coś niebezpiecznego czuję w głowie i jak najmniej chcę pozostawać sam z sobą. Szukam — szukam — choćby tylko własnego wyzwolenia z tych wszystkich konsekwencyi, które sam na siebie ściągnąłem.

Nie chcę widzieć Heli! Niech wyjeżdża, niech się zadaje z kim chce! — — Jednak mi serce pęknąć może, gdybym się dowiedział, że mnie porzuciła.

Aby wyzdrowieć, potrzeba mi zobaczyć Piasta, otworzyć mu do dna serce, dotknąć jego ręki. Ale czy on rzeczywiście tu jest?

Znikła i panna Zofia; niema jej w mieszkaniu, a przecie ona przynajmniej nie jest zmorą — — widziałem ją w tym pochodzie z nieuchwytnym, tajemniczym »stryjem« — — Czy mi wolno jeszcze tak go nazywać? — —

16 listopada.

Przed kilku dniami musiałem mieć gorączkę, bo przecie oczywistem jest, że Piasta tu niema. Objawiłby się w jakiemś przynajmniej działaniu??

Chwilowy błysk jego postaci w pochodzie narodowym — — Tak — — od tego czasu mógł wyjechać.

Chcę być trzeźwy i prowadzić do skutku działania, które rozpocząłem. Nie piszę poematu, lecz jestem w partyi politycznej.

Hela wyjechała wczoraj do Berlina. Ja zaś mam zlecenie od partyi, wymagające, abym natychmiast na parę dni podążył do Prus. Może się to panu Piastowi nie podobać, ale ta podróż jest konsekwencyą rozpoczętych przezemnie działań i stosunków. List Latzkiego, tym razem do mnie zwrócony, zaprasza mnie też wyraźnie dla porozumienia się w zasadniczych i pilnych sprawach. - Ze wszystkich względów muszę pojechać.

Wyjazd Heli pierwszym możliwym pociągiem był aż nadto uzasadniony. Pozostała w Warszawie pięć tygodni, zamiast dziesięciu dni; ma przecie i męża, który podobno pisał? — — W tych dniach dopiero uprzytomniłem sobie w wyobraźni, że ona ma męża — no — wyrozumiałego.

Dziwna była w swem zachowaniu się przed wyjazdem, bo ta kobieta i chce być dziwna i jest może z natury. Od kilku już dni wymyśliła oddalenie między nami, jakby miłość nasza była jakąś tajemniczą religią i wymagała rytuału.

— Nie trzeba dopijać czary aż do dna... nie trzeba nigdy dosytu, który jest początkiem końca...

Pierwszego dnia trafiło mi to jakoś do przekonania, następnego mniej, a później polemizowałem już z nią zupełnie natarczywie:

— Zmiłuj się, Hela, co ci jest? nie poznaję cię wcale!

Rzeczywiście blada była, z gorączkowemi oczyma, piękna zawsze, ale w tem oddaleniu posągowo zimna. Nosiła się też inaczej, jakichś nieznanych mi nabrała ruchów i zmieniła nawet perfumy.

Znikły także naraz te wszystkie kochane okazye, te ukradkowe słówka, ta nieprzerwana magnetyczna spójnia, dająca się czuć nawet z oddalenia. Ciągle ktoś oprócz mnie w jej

salonie: te pretensyonalne Szwaby z konsulatu, albo Tomiłow, którego postać salonowa jest nie do zniesienia. Polityka polityką, ale poza nią mogłaby Hela trzymać tego tresowanego niedźwiedzia za drzwiami. Wcale zaś tak nie jest; lubuje się w jego tanich rewolucyjnych frazesach, śmieje się rozkosznie z niezgrabstwa. Ale i Moskal też sprytny: nie przerobił swego typu zasadniczo, zaledwie przygładził włosy i oczyścił ubranie; co do reszty pozostał sobą, bo zrozumiał, że w kilka dni na salonowca się nie przerobi, może zaś bawić i zajmować swą oryginalnością. Najswobodniej na wizycie i wobec innych pije sobie prostą wódkę, dla niego specyalnie przygotowaną.

Jeszcze inne spotykałem u Heli figury. Czeremuchin naprzykład — to mi dopiero towarzystwo! Z całą tą czeredą wyrzucano mnie późnym wieczorem z hotelu o »przyzwoitej« godzinie. Przy tej sposobności doznawałem najdziwniejszego w świecie upokorzenia — nie przed samym sobą, albo przed Helą, lecz przed tymi »kolegami«. Jest to uczucie skomplikowane, które warto rozłożyć na pierwiastki.

Przecie tylko ja i mój pamiętnik, starannie ukrywany, możemy wiedzieć o moim stosunku z Helą. Zaprzeczyłbym kategorycznie wszelkiemu posądzeniu, mylę ciągle pozory, udaję krewnego, wynajduję przed obcymi uzasa-

dnienie każdej wizyty — jednem słowem chowam starannie naszą tajemnicę. Lecz widać, że mi do szczęścia potrzeba, aby mnie posądzano o wyjątkowe porozumienie z Helą — — Traktowany na rowni z innymi, czuję się pokrzywdzonym, upokorzonym. I nie czułem tego dawniej tak wyraźnie, gdy, przy zachowywaniu pozorów światowych, miałem rekurs do świeżego wspomnienia lub bliskiej nadziei pocałunku na osobności, do powrotu innemi drzwiami, do moich własnych, niezawodnych skarbów. Teraz to porównanie w prawach z obcymi ludźmi rodzi we mnie nerwowy niepokój, cierpienie miłości własnej, podejrzliwość. Ile jednak próżności mieści się w kochaniu kobiety pięknej, zmysłowej i zalotnej!

W dniu jej wyjazdu wpadłem już w rozpacz. Miałem z nią jedną samotną godzinę, ale znowu te zdania rytualne o potrzebie niedosytu, wargi zimne, jak lód...

— To chyba już śmierć?! — zawołałem.

— Gdzież tam! metampsychoza...

Jakieś oczy Sybilli, nie na mnie zwrócone, jakaś postać z farsy tragicznej.

Zapytałem poprostu, co za metampsychoza?

— Gdy przyjedziesz do Berlina, zacznie się nasza pieśń druga... nie — już trzecia. Pojedziemy na tamte miejsca pierwszego grzechu... Czy to był grzech? — — Przeczarujemy to wszystko doskonałą harmonią zmysłów...

— Dobrze, wybornie, moje Heli! Ale po cóż tak smutny koniec pieśni bieżącej? Na co te rygory? No, do serca twego się udaję — zrób coś dla mnie!

— Dla ciebie? — spojrzała obco i błędnie — nie potrafiłabym. Mogę to robić tylko dla nas...

I tyle było pożegnalnej rozkoszy; niepodobieństwo rozgrzać, obudzić tej zaczarowanej Heli!

Wyjazd jej był rozpaczliwie zimny i pospolity. Noc zadeszczona na tym przedpotopowym dworcu wiedeńskim, który jeszcze nie posiada dachu dla zajeżdżających pociągów. Prawdziwy szturm pasażerów o miejsca w tym pierwszym od trzech tygodni pociągu; zgiełk, który mógłby zniecierpliwić nawet klasycznego Anglika i zniechęcić do czułości żegnających się Romea i Julię. Wysiłek konsulatu zdobył dla Heli i jej panny służącej tylko mały przedział sypialny. W tej klatce o dwóch szufladach zaledwie zmieszczono ręczny bagaż i kilka wiązanek kwiatów, między którymi i moją. Biedne kwiaty strajkowe, zielsko właściwie. Mignął mi w pamięci jej wyjazd z Hagi przed kilku laty — i znowu do »*mein theueres Berlin*«. I ten sam uśmiech przez szybę, generalny.

Ta pieśń skończona — czuję to. Zacznie się znowu coś we mnie, coś między nami, ale

czy będzie świeże, jak niegdyś, gorące, jak wczoraj? W wyobraźni mam same pożary i zgiełki. Tętni mi we krwi coś groźnego, co nie jest już chyba miłością, bo do żadnej nie pobudza mnie ofiary, ani do cudownego optymizmu młodych rojeń.

Kiedy kochałem, wszystkie dobre uczucia zakwitały we mnie naraz; czułem przyjaźń dla każdego napotkanego człowieka; wszystko, com cenił idealnie, mieściło się w rozpalonej szeroko miłości. Śpiewały mi w sercu nuty dziecinne i bohaterskie.

Dzisiaj wolę nie przyglądać się za blisko rodzajowi mego uczucia. Jestem tak daleko we środku przeznaczonej mi orbity, w rozpędzie powziętego impetu, że nie przewiduję, coby się stać mogło, gdybym się zatrzymał? Rozbiłbym się lub zwęglił?

Największy niepokój budzi we mnie jedna wątpliwość: czy mam całkowitą zdolność wyboru swoich działań większych, jak panuję np. nad pospolitymi ruchami mej osoby? Mogę stać, siedzieć lub leżeć, mogę wybierać drogę swoją po ziemi. Ale gdybym dziś doszedł do niezbitego wniosku, że dla sprawy publicznej wypada mi jechać jutro do Krakowa, nie zaś do Berlina — czy byłbym zdolny pojechać do Krakowa??

———

Berlin, 20 listopada.

Można wzdychać do porządku tak, jak Kochanowski do zdrowia: nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz. Od chwili gdy po warszawskim rozgardyaszu stąpiłem na bruk Berlina, ściga mnie to spostrzeżenie: siła i sprawność wynikające z porządku.

Zaraz w hotelu zastałem zaproszenie na śniadanie od pana Latzkiego.

Powitaliśmy się serdecznie, jakby te dobre stosunki z Hagi były zupełnie świeże. Może też i Hela utrzymała ojca w przychylnem dla mnie usposobieniu? Może poglądy polityczne nas zbliżają?

Latzki osiwiał znacznie, ale nie poddał się ciężarowi wieku. »Excellencya«, bardziej jeszcze zaznaczona, trzyma się prosto i dostojnie; tylko na twarz, okoloną szronem, wystąpił wyraźniej ten »ból wszechświatowy«, o którym lubiła niegdyś mówić Hela, ból hamowany przez godność, jednak uparty, krzywiący

usta goryczą i pogardą. Ale gdy mówi, zapominasz o wszelkich »*Weltschmerz'ach*«, słyszysz realne i celowe oświadczenia człowieka, wiedzącego dokąd dąży i czego chce.

Zjedliśmy najprzód śniadanie prawdziwie »familijne«, Latzki, Hela z mężem i ja. Długo możnaby spisywać spostrzeżenia o baronie Paugwitz i o jego światowym stosunku do żony. Państwo Paugwitz zachowują pozory ścisłych sprzymierzeńców. On jest zupełnie rycerski na straży swego klejnotu i gniazda rodzinnego, najswobodniej oddaje żonie honory należne osobie połączonej solidarnie z rodem Paugwitz'ów. Czułości nie zdybać w jego wysoce aroganckich manierach, jednak zadowolenie z żony wyraża się w każdym ruchu i słowie. Ma ją przy sobie dla jakichś wyższych celów zagadkowych. — — Ona traktuje go też dobrze, zupełnie inaczej, niż wówczas w Hadze. Drwi może z niego, jako z mężczyzny — choć poznać tego nie daje — ale nie jako z nosiciela wspólnych godności towarzyskich. I nie wiem, dla kogo — dla niego, dla ojca, czy dla mnie? — okazuje mu publicznie jakąś połowiczną pieszczotliwość, która, gdy się ją zna w całości, jest widocznie tylko połową. Po śniadaniu państwo Paugwitz wybrali się razem na wizyty, ja pozostałem z Latzkim sam na sam.

Z ciepłem spółczuciem wziął mnie za rękę:

— Jakże tam idzie, panie Sworski? Przerwaliście strajk powszechny może zawcześnie — — Jakie jest usposobienie prawdziwych obrońców ludu?

— Mogę odpowiadać za siebie tylko, Excelencyo.

— Proszę mnie nie przezywać tym tytułem. Między sobą jesteśmy jednomyślnymi, pochlebiam sobie, towarzyszami. Może nawet pan nie wie, jak dalece jestem waszym przyjacielem. Co do pana — dawno starałem się poprzeć jego działania środkami, które są w mojej mocy. Odmówił pan już parę razy sybsydyów ofiarowanych na sprawę.

— Rozumie pan, że branie pieniędzy bez pokwitowania...

— Jest nieprzyjemne—pojmuję. Ale w czasach gorącego działania lepiej się wyrzec tych delikatności, gdyż pieniądze mogą być gorzej użyte przez innych, a sprawa może na tem ucierpieć. I dzisiaj gotów jestem najżyczliwiej... pośredniczyć... w akcyi... wyzwolenia waszego proletaryatu.

Cedził ostatnie wyrazy ostrożnie, czemu się nie dziwię. Jest urzędnikiem pruskim, wskazał mi zaś adresy mocno kompromitujące, za którymi doszedłem następnie do wykonania mej tajemnej misyi.

To wszystko było jakby nawiasem w naszej rozmowie, niby uprzejmością towarzyską

w rodzaju podania cygar. Rozmowa rozwinęła się w ogólniejsze, zasadnicze poglądy.

— Znamy się mało, panie Sworski, ale ufam, że dobrze. Spotykamy się zbyt rzadko, mamy bowiem zupełnie wspólne sprawy do poparcia.

— Ideowe?

— Tak, ale w tych czasach związane z praktyczną akcyą. Należymy prawie do jednej rasy.

Zdaje się, że zbyt wyraziście się zadziwiłem, bo Latzki jął tłómaczyć szczegółowo:

— Do rasy uciśnionej na tem samem terytoryum. Czy pan wie, że mój dziad pochodził z waszego miasta Lublina?

— Aa?!

— Byłem tam niegdyś, dzieckiem — rozmarzył się Latzki — Czy stoją jeszcze te dwie stare bramy: »*Krakauer und Grodska*«?

— Są na miejscach.

— I wązka, brudna ulica pod górę, jednak pomiędzy pokaźnymi budynkami. — — Pamiętam dom mojego dziadka: ciemne, niskie pokoje przy długich, drewnianych galeryach podwórza, świeczniki mosiężne z polskimi orłami — — Są pewnie jeszcze po waszych miastach takie patryarchalne, staroświeckie wnętrza?

— Widywałem.

Alem przypomniał, żem do podobnych mie-

szkań zaglądał zwykle w celu operacyi finansowej, nie dla towarzyskiej przyjemności. Latzki zaś miał podobno prawdziwe łzy w oczach.

— Dygresya niewłaściwa dla starego Europejczyka — otrząsnął się. Mówiliśmy o wyzwoleniu ras uciśnionych. Otóż dziwnym zbiegiem historycznych prądów, wasza obecna rewolucya ma, obok socyalnych, zadania narodowościowe. Bez równouprawnienia państwowego Polaków i Żydów ani kroku naprzód uczynić nie można w interesie ludu.

— Jest to i mojem zdaniem i punktem programowym mojego stronnictwa.

— Wiem. — Niestety nie dosyć jest wasz wpływ rozgałęziony; powiedziałbym nawet, że nie dosyć idziecie ręka w rękę z socyalistami innych odcieni u was i z niemieckimi. Toż to wszystko pułki jednej armii! A przytem macie u siebie istotną plagę — narodowców.

Nagle ci narodowcy, z którymi walczę od dawna u siebie, wydali mi się mniej antypatycznymi tutaj. Ja się z nimi spieram, Latzki zdaje się ich nienawidzieć.

— Nie nazwałbym ich plagą — odrzekłem — są raczej siłą w wielu wypadkach zagradzającą drogę postępu... Bądź co bądź oni także walczą bardzo wyraźnie za prawa dla rasy uciśnionej, za autonomię.

— Ale za jaką autonomię? — — z wyłą-

czeniem Żydów! To przecie związek wsteczników, tak lub inaczej zabarwiony po wierzchu, w jednym tylko charakterze wyraźny i szczery — w antysemityzmie!

— Nie można tego ogólnie powiedzieć...

Byłem zawsze filosemitą. Ale w dzisiejszej rozmowie poczułem, przy zetknięciu się z tym żelaznym kanclerzem sprawy żydowskiej, żem trochę zachwiał się w mem dawniejszem credo politycznem. Praktykowanie ideałów osłabia czasem wiarę w ich nieomylność. I przez pozorną dobroduszność Latzkiego, przez jego grzeczne słówka przezierało niby powątpiewanie o mnie.

— Jest pan artystą, panie Sworski, zbyt szczegółowo przygląda się pan ludziom i sprawom. Wpływa to na subtelność pańskiego sądu, ale może osłabia stanowczość akcyi. W rewolucyi trzeba widzieć z góry, o co się walczy, a potem zamknąć oczy i iść przebojem. — — Wasza rewolucya idzie trochę krzywo — ale jeszcze pora wyprostować ją do jasnego celu: do wyzwolenia Polaków i Żydów. Obie te sprawy muszą być w programie każdego polskiego patryoty. Antysemityzm, gdziekolwiek się gnieździ, jest wrogiem waszej przyszłości.

— Antysemityzm u nas — nadmieniłem — ma swe źródło w nadmiarze Żydów w kraju naszym.

Latzki się skrzywił.

— Samo już wyrażenie »nadmiar« podlega dyskusyi. Żydzi mieszkają i rozwijają się na ziemiach polskich od ośmiu wieków — — zyskali już chyba prawo obywatelstwa?

— Tak, ale gdyby byli obywatelami...

Rozmawialiśmy ze dwie godziny o teoryi i o praktyce, a gdziekolwiek poszła rozmowa, utknęła zawsze po chwili na tej kwestyi żydowskiej, co do której godziliśmy się niby zasadniczo, ale rozchodziliśmy się nieco... w uczuciu.

Mam wrażenie, żem sprawił Latzkiemu pewien zawód co do ortodoxyi mego filosemityzmu. Ale pozostaliśmy w dobrych stosunkach.

Sprawę przewozu broni przez granicę, będącą właściwym celem mej podróży, zastałem przygotowaną znakomicie. Czy z wiedzą i z udziałem Latzkiego? — tego nie mogę ocenić dostatecznie. Nasza rozmowa nie zawadziła wyraźnie o ten przedmiot, nie była mu wszelako obca. Oczywiście, po przerwaniu strajku, walka z rządem sprowadzona być musi do walki ręcznej.

Odnalezienie kilku ludzi zbratanych z naszą partyą, z których paru znałem już z Warszawy — zabrało mi niewiele czasu. Wyprawa zaś przemytnicza tak jest urządzona, że wydaję się sam sobie tylko honorowym wyko-

nawcą cudzego planu. Oprócz zaszczytu ryzykowania swej skóry w razie niepowodzenia na granicy, używam sobie przywileju kilkudniowych wakacyi — i to z Helą. Ona wchodzi we wszystkie szczegóły spisku i jest o nim doskonale powiadomiona. Chce mi towarzyszyć do rządowej fabryki broni w Katowicach, nawet aż do Warszawy.

Jest znowu w fazie rozkosznej. Panuje w jej obejściu się ze mną gościnność, przypominająca ową dawną wycieczkę do Wannsee, na której powtórzenie, wobec konieczności pośpiechu i innych działań, nie znaleźliśmy czasu. Nie wartoby też psuć owych wrażeń gorących latem i młodością przez odnawianie ich w zimie. Nie przypłynęłyby już do nas łabędzie po drżącej, zielonawej wodzie; nie byłoby w pocałunkach smaku wieczornych sosen, ani nad nami tego pełnego nadziei nieba.

Zawiozła mnie swoją karetą do różnych miejsc, z któremi się zwykła, jakby mi chciała namacalnie pokazać swoje tutejsze życie. I tak jednak go nie zrozumiałem, stwierdziłem tylko, że je lubi, że czuje się w tych murach, w tych złoconych klatkach tryumfującą. Jej mieszkanie w dzielnicy przyległej do Thiergarten'u tchnie dobrobytem i arystokratyczną powagą; obiad w niem wygląda jak królewska jakaś uroczystość na scenie.

Wolałbym inne zwiedzone z Helą mieszkanie jej przyjaciółki pani von Boltz, gdyby nie jakaś trwożna zagadkowość tam błąkająca się. Mieszkanie oddalone od śródmieścia, w jednym z kilkuset stojących rzędem domów bez fizyognomii, oznaczonym wysoką liczbą i jeszcze z dodatkiem litery b, zdaje się przepadać w powodzi mieszkań podobnych i takich samych, jaskrawo barokowych wykuszów. Ale wnętrze jest przyjemne, pachnące, zagospodarowane przez wykwitną i zmysłową kobietę.

Kazała mi Hela stawić się tam na umówioną godzinę, dając mi adres matematyczny:

— Siądziesz do tramwaju (liczba), zmienisz potem na inną linię (znowu liczba), wysiądziesz na przystanku X — odnajdziesz dom (liczba i b) — schody drugie na lewo, drugie piętro — i zapytasz o panią von Boltz.

Zapisałem to wszystko na kartce, którą mi Hela przy sobie kazała potem zniszczyć — i znalazłem się, jak przesyłka pocztowa, na miejscu o godzinie oznaczonej. Drzwi otworzyła mi Hela.

Zadziwiłem się:

— Jakto? pani sama?

— Sama jedna; niema nawet służącej.

W mieszkaniu była rzeczywiście sama tylko Hela, rozbawiona mojem zdziwieniem, bez

kapelusza, ubrana po domowemu i gospodarująca, jak u siebie.

— Możesz się rozkrochmalić — wołała do mnie — nie trzymaj-że tego »melona« przed sobą, jakbyś mi go przynosił w ofierze! Mojej przyjaciółki niema w domu, a gdyby wogóle nie przyszła, podziękuj mi za to — — —

Upłynęło kilka minut zanim się przyzwyczaiłem i przekonałem, że po tem cudzem mieszkaniu można krążyć i wszędzie zachodzić — można, co się podoba... Salonik był banalny, ale przyjemny, obok jakiś pokój niby męzki z biurkiem i szafą książek; był i jadalny i sypialny, ten wykwitnie urządzony. Otwierałem szeroko oczy.

— Widzisz, dudku, to jest mieszkanie konspiracyjne. Znajdziesz się tu kiedyś w liczniejszem i bardziej zapiętem towarzystwie — i ja będę inaczej ubrana. Ale dzisiaj — patrz!

Rzeczywiście, łatwo była ubrana moja zmienna, zawsze na nową rozkosz przeczarowana Hela.

— — — — — — — — — — —

Po zawrocie głowy uczyniło mi się jakoś ponuro.

— Więc to mieszkanie jest tak... do wszystkiego?

— Aha, myślisz, że nie pierwszy tu jesteś w tej... pozycyi? Otóż wyobraź sobie, żeś pierwszy. Z moją przyjaciółką jesteśmy wpra-

wdzie w doskonałem porozumieniu, pozwoliłaby mi już dawno na wszystko — ale dotąd spotykali się tutaj tylko ludzie partyjni. Dzisiaj opowiedziałam jej najdziwaczniejszą historyę, pierwszy raz zdradziłam jej zaufanie — dla ciebie!

Kto ją tam wie? — może i prawda? — —

To mieszkanie pozostawiło mi po sobie ostatecznie przykre wspomnienie. Wychodziłem, opuszczając Helę samą — nawet służąca gdzieś się podziała. W przedpokoju żegnaliśmy się nie na długo, bo późnym wieczorem mieliśmy się znowu zobaczyć oficyalnie — ale jej ciemne, podkrążone oczy były niezwykle smutne, patrzyły tęsknotą i strachem.

— Już się tutaj nie zobaczymy — rzekła mi dziwacznie.

— Chyba za przyszłym moim przyjazdem do Berlina.

— Chyba...

— Nie przychodź do tego mieszkania — rzekłem serdecznie i bez rachuby osobistej — tak tu jakoś głucho, i na schodach pusto i na podwórzu — —

— Może masz słuszność? — —

Naprawdę, choć mieszkanie wewnątrz jest wesołe, jasne i pachnące, dostęp do niego przejmuje niemiłym dreszczem lodowatej pustki. I schody zasunięte tak za węgieł domu, że nie odrazu można do nich trafić. Na lokal

konspiracyjny — wybornie, ale młoda i taka piękna jak Hela, kobieta mogłaby być tutaj w niebezpieczeństwie — —

Głupstwo! Co może się stać w Berlinie? Tu zapewne i w progach umieszczone są automaty znaczące każdego, który przez próg przechodzi. A gdy kto stąpi silniej, automat telefonuje po policyę — — ? Poprostu nerwy, wstrząsane ciągle silnemi i rozlicznemi wzruszeniami, dochodzą do nadczułości, czasem subtelnej i czarodziejskiej, a czasem znowu niedorzecznej. Połowa przynajmniej naszych nieszczęść i zwątpień pochodzi z mózgu nieprawidłowo rozedrganego przez zbyt rozkołysane nerwy.

Wieczorem była Hela rozbawiona, dowcipna i lekkomyślna. O jutrzejszej podróży mówi, jak o przechadzce. Co tam znowu za pozór wymyśliła dla swego szanownego małżonka? — nie wiem. Jedzie ze mną do Katowic — i kwita.

Katowice, 22 listopada.

Hela usnęła. —

Już widocznie pisanie pamiętnika przechodzi we mnie w nałóg, skoro zamiast spać, bazgrzę na papierze hotelowym, aby mi świeże wspomnienie podróży nie uciekło. Te kartki pisane w Prusiech przewozić będę przez granicę jeszcze chyba ostrożniej, niż browningi, ukryte w podwójnych dnach pięciu kufrów damskich, znaczonych ostentacyjnie cyfrą *** i koroną hrabiowską. Co to za rozległa i artystycznie płodna dziedzina — ta sztuka oszukiwania się wzajemnego ludzi! Browningi, dostarczone nam do hotelu z tutejszej fabryki broni, ułożyliśmy własnoręcznie, szczelnie, na dnach kufrów i przykryli dnem drugiem, ślicznie pasującem. Niby nic, ale kufry srodze ciężkie w tej części — czuć to przy podnoszeniu. Więc na dnie widocznem ułożyliśmy pokład talerzy porcelanowych, przeznaczonych na pokazanie i na oclenie; wyżej — lekkie

ubrania kobiece. Ja zaś mam paszport hrabiego *** podróżującego z żoną, która z powodu niezdrowia pozostała w Niemczech. Ponieważ pierwszy raz przejeżdżam przez komorę graniczną w Sosnowcu, nikt mnie nie pozna prawdopodobnie. I różne inne wybiegi na pół zabawne, na pół wstydliwe. Gdyby przypadkiem znaleziono browningi, odpowiedzialność nie na mnie spadnie, lecz na owego hrabiego z żoną, poddanych zagranicznych. Za moim paszportem przejeżdża przez granicę kto inny z partyi, z lekkim i niewinnym bagażem. Ja zaś uczesałem się inaczej i ogoliłem nawet wąsy — wyglądam na międzynarodowego eleganta i sam siebie nie poznaję.

Uciechę z tego wszystkiego mieliśmy już w pociągu z Helą. Zawołała odrazu, gdyśmy się znaleźli sami w przedziale po wyruszeniu z Berlina:

— Śliczny jesteś! zupełnie nowy! Zostań tak i nadal! nabrałeś fizyognomii jakiegoś władcy, innej zupełnie, niż wasze tam typy.

I dalejże przyglądać mi się, próbować, czy takie usta szorstkie są, czy drapią? Gdzież tam! wcale nie — i podobno mam minę pogardliwą.

— Mężczyzna powinien pogardzać kobietą, szczególniej w pewnych chwilach — to ci mówię, choćbym nie powinna — - pierwszy raz czuję coś jakby panowanie twoje nademną.

Te wszystkie cuda psychologiczne z powodu że ogoliłem wąsy!

Oswajaliśmy się powoli z tą nowością, która była źródłem rozkosznej zabawy, i przejazd kilkugodzinny z Berlina do Katowic minął aż zaprędko. Nie poznałbym, ani nie umiał nazwać żadnej z przejechanych stacyi, oprócz Wrocławia. Zresztą w połowie podróży zapadł zmrok, zapaliły się nad nami i zaczęły błyskać z zewnątrz pociągu światła. Pół dnia minęło trybem specyalnym życia zamkniętego w pociągu kolei żelaznej.

Szczelne zamknięcie rozpędzonej po szynach klatki mieszkalnej stwarza osobny nasz stosunek do ruchu i przestrzeni i wywołuje osobną też logikę instynktową. Szybkość jazdy zgęszcza i potęguje wrażenia. Jeżeli »nawet za jeźdzcem siedzi czarna troska«, to w rozpędzonym wagonie otrząsasz się z niej łatwiej, bo jedziesz szybciej. Błyskawiczne uciekanie widoków sprowadza ten skutek. Lecz tak samo, jak troski, uciekają i upodobania umiejscowione i zapały przywiązane do miejsc, od których mkniesz w świat nowy. Mechanicznie zapominasz i mechaniczne nabierasz prądów nowego życia.

Podczas tej podróży z Helą zmienialiśmy się niby oboje; odpadały od nas wspomnienia berlińskie, warszawskie; stawaliśmy się parą ludzi dobrze znajomych, a przecie odnajdu-

jących w sobie nieznane źródła wrażeń. Zanotować też trzeba, że światła kolejowe są zwodnicze i dziwnie zmieniają twarze.

Miasto pruskie, zwłaszcza widziane w nocy, bez ramy okolic, przywodzi na myśl wszystko, co się wie lub wyobraża o wegetacyi drobnoustrojów ludzkich. Czy ci ludzie mogli kiedy stąd wyjechać na świat szerszy i nie zabłąkać się? Czy w tem oknie na piętrze, nad zielonym balkonem, zgaszono kiedy lampę po północy? A partya bilardu w tej kawiarni gra się zapewne o dydka między tymi samymi graczami od roku... którego? Fala gorących pragnień przerobienia świata gdyby tu doszła, zamarłaby z sykiem, jak pożar stepu trafiający na jezioro.

A może jednak na takiem mrugającem świeczką poddaszu mieszka jaki niespokojny myśliciel teoretyk i przebija marzeniem dachówkę, i wznosi ponad nią rusztowanie myśli germańskiej w mętne niebo? — Ale życie przez to nie piękniejsze wokoło.

Wstają mi w pamięci włoskie mieściny brudne, podające księżycowi szczerbate wyskoki swych murów i szczeliny swych ulic mroczne, przedarte gdzieniegdzie wabnym dla oczu pasem światła — i pustka ich żywa, rozdzwoniona mandoliną i pieśnią — i szmer miłosny niewidzialny, z którego, dopiero gdy się zbliżyć, wyglądają iskry czarnych oczu.

Ale tutaj jest zdrowa nuda zimowa — i porządek. Trzeba być sprawiedliwym.

W każdym razie czynię pochwalny wyjątek dla czystego, naiwnego hotelu, w którym nocujemy. Są idylle w artystycznych ramach, są sielskie pod nutę samej czarodziejki przyrody, bywają i hotelowe. Wieczerzę dostaliśmy aż zabawną z powodu nieudolności niemieckiej sztuki kucharskiej do połączenia w potrawę pierwiastków spożywczych; pokoiki wyprostowane służbiście na nasze przyjęcie w swych przyborach z kretonu, z przenikliwie wonnej farby, z wysokich pierzyn, z oleodruków sławiących lube Prusakom, lecz dla Europy zgubne zwycięztwo nad Francyą.

W tem otoczeniu jedynie prawdziwie miła jest Hela. Dzieweczka z niej nagle potulna, albo młoda żona z średnio zamożnego domu. Wszystko jej dobre: i biały sos do wieprzowego kotleta, gęsty jak klej, ozdobiony krwawym meandrem z tureckiego pieprzu, i gruba bielizna pościelowa, którą czuć apteką, czy prostem mydłem.

— Zgubieni jesteśmy w tłumie, spiskowcy... Niech mi mój towarzysz, mój pan otworzy worek podróżny i dobędzie gotowalnię — —

Zaraz jej perfumy wprowadziły nutę ciepłą i namiętną do gamy zapachowej oberży. Skropiła meble i łóżka, krzątała się około możliwego dobrobytu naszej stacyi, rozbierała

się przy drzwiach odemnie zamkniętych — —
Istna »*Hausfrau*« słodka, spokojna, porządna — —

I zasnęła szybko, znużona podróżą i pocałunkami.

Śpi tam w pokoju sąsiednim. Już parę razy wstawałem, aby ją obejrzeć. Śpi jak dzieweczka na swej ciemno-złotej, podesłanej grzywie, ta dumna, burzliwa Hela!

Piękność fizyczna jest talizmanem zmieniającym objawy duszy zewnętrzne — podnosi je do potęgi, albo czyni zwodniczymi. Kto tam orzekł, że piękna dusza mieszka w pięknem ciele, musiał się kochać, albo dla innych celów szukał efektownego paradoksu. W każdym razie piękność ciała, jeżeli rozumieć przez nią harmonię linii działającą przyjemnie na cudze zmysły, nie odpowiada piękności duszy w znaczeniu harmonijności, czyli dodatniego wrażenia spokoju i podziwu, które dusza ta wywiera na inne. Bywa tak, albo inaczej.

O duszy Heli nie chcę i nie mogę powiedzieć: niepiękna. Ale inna, niż ta, któraby pasowała do zewnętrznej piękności tej śpiącej. Dusza jej — jeżeli ma tylko jedną — jest ogniskiem pożarnem raczej, niż domowem.

Kiedy przypomnę, ile uczuć i pragnień i grzechów mieszka razem w tej istocie...! Bo

i grzechów. Przecie ona żyje i oddycha zdradą i spiskiem. Wobec męża — to najmniejsza, a może i nie zdradza, tylko cicha umowa. Ale ona zdrada także obóz konserwatywny, do którego pozorami należy, i rząd swego państwa, z którego wydaje się być zadowolona, — może zdradzi moje zaufanie i mnie, jako mężczyznę? — — Trudno wyobrazić sobie sumienie, w którychby te wszystkie zdrady spokojnie się mieściły. Czy ona może komu, lub jakiej idei pozostać wierną? Chyba tylko ojcu i swojej rasie. Przypuszczając to, czuję, żem stąpił na grunt pewniejszy. Gdyby jednak oddana była zupełnie swojej sprawie familijnej i rasowej, nie myślałaby tyle o rozkoszy osobistej. Tej wierna być się zdaje absolutnie — ale to bożyszcze nie natchnie żadnych ideałów społecznych.

Trudna i niepokojąca teorya! Spojrzeć przez nią na każdego, największego i najdroższego człowieka — zmaleje i zobojętnieje. Bałbym się też taką samą zasadę krytyczną zastosować do siebie samego. Ja także kłamię i spiskuję — to mi lżejsze, bo dla sprawy ogólnej, która nie może być poparta inaczej. Ale czy ta sprawa, czy raczej ambicya i rozkosz osobista jest mi naczelną pochodnią życia?

Tymczasem porzucić muszę filozofowanie i myśleć praktycznie o przeprawie, którą za

kilka godzin mam uskutecznić. Szczegóły zdają się dobrze obmyślonymi na wszelki wypadek.

Już świta. Muślinowemi firankami słabo osłonięte okna przypominają nasze okna prowincyonalne; po za niemi majaczą domy także niby swojskie. Chce mi się nagle pomieszkać spokojnie, chociaż przez tydzień, z małą, skromną Helą, zażyć odpoczynku po ciągłej burzy zewnętrznej i wewnętrznej, trwającej już tak długo — Lenistwo takie, jak szkolnego żaka, budzonego na ciężki egzamin, ogarnia mnie.

Lepiej już nie zasypiać. Umyć się, wyświeżyć i doczekać przebudzenia Heli.

Warszawa, 23 listopada.

Jakie to łatwe, gdy się uda! Przejechałem wspaniale, po hrabiowsku, posypując pieniędzmi rewidującą »artel«, zapłaciwszy trochę cła za porcelanę i stroje mojej słabej żony, która pozostała za granicą. Targowałem się o cło, zajmując niem urzędników, mówiłem łamanym językiem, wymyślonym widać genialnie — aż salutowany, z honorami przebrnąłem. Razem ze mną, lekko i cicho prześliznął się towarzysz noszący moje nazwisko i paszport. Niema o czem dłużej pisać — rzecz skończona: kufry wypatroszone, browningi już się rozsypały po mieście.

Ulga czynu dokonanego nie zdoła mi jednak zasłonić owego ranka w Katowicach, gdym się żegnał z Helą.

Musiałem ją obudzić, gdyż spała jeszcze, gdy godzina nadeszła. Spała niespokojnie, jęcząc coś przez sen. Otworzyła oczy tragiczne.

— Już?! — zawołała z przestrachem, siadając na łóżku.

Próbą ponęty kobiety jest chwila, gdy się budzi po śnie dłuższym i twardym, ciepła, obrzmiała nieco w oczach i w ustach, pachnąca sobą. Hela wytrzymuje tę próbę zwycięsko.

Ubrała się pośpiesznie, chcąc koniecznie odprowadzić mnie na dworzec kolei. Byłem zupełnie gotów, mieliśmy więc jeszcze pół godziny na wspólne śniadanie w hotelu. Zapijałem ze smakiem dobrą niemiecką kawę.

— Nic się nie boisz? — zapytała.

— Gdzie zaś! Jestem przecie niemieckim hrabią. Jeżeli mnie złapią, odeślą mnie do was.

— A jeżeli nie odeślą?

— Wykręcę się... ucieknę...

Istotnie miałem wyraźne przeczucie, że wszystko pójdzie gładko i nie czułem wcale trwogi. Żartowałem nawet z mojej roli.

Hela patrzyła na mnie poddańczo; jej trzeba koniecznie imponować czemkolwiek. Miałem zaś i wyraz »pogardliwy« z powodu braku wąsów i przed sobą ryzykowną ekspedycyę.

— Mój bohaterze! — rzekła tak ciepło, że wyraz ten nieproporcyonalny wydał mi się prostym.

Ale zaraz, w ciągu jeszcze śniadania, ona zaczęła szkicować rolę dla siebie odpowiednią;

podniecała się swem wspólnictwem w bohaterstwie.

— Jeżeli chcesz, pojadę z tobą!

Zerwała się z krzesła i wyprężyła się w sukni, jak w pancerzu. Patrzyłem na nią przez chwilę milcząc, gdyż umówiliśmy się uprzednio, że ona pozostanie w Niemczech.

— Więc mów, czego chcesz?

— Uznaliśmy to już za niepotrzebne. Gdybyś jednak upierała się... — rzekłem trochę obłudnie dla wypróbowania jej animuszu.

Usiadła i namyślała się.

— To trzebaby natychmiast postanowić — — A ty czybyś sobie przebaczył, gdybym dla waszej sprawy skompromitowała się ostatecznie? Co wolisz: sprawę, czy mnie?

— Ależ moje Heli! nie pojedziesz — nigdybym na to nie pozwolił.

Jakiś cień urazy przesunął się przez jej oczy. O towarzyszeniu mi po za granicę już mowy nie było. Sentencyjnie zaczęła mnie namaszczać na dalszą drogę żywota.

— Jeżeli długo nie mamy się zobaczyć, pamiętaj o mnie i o słowach mego ojca!

— Dlaczego nie mamy się zobaczyć wkrótce?

— Trzyma się w ręku wiele sił spętanych, ale groźnych... Niech tylko która się z nich urwie i zwróci się przeciw nam...?

Nie mogłem się dopytać objaśnienia, ani

zgadnąć, co się dzieje w jej duszy. Trapiły ją złe przeczucia, czy wyrzuty sumienia?

Rzuciła mi się jednak na szyję prawdziwie namiętnie. Łzy miała w oczach.

Ostatni jej obraz utkwił mi najgłębiej w sercu. Na dworcu, gdy pociąg już był zamknięty i gotów do odjazdu, ja stałem w oknie otwartem wagonu, ona zaś na peronie, bardzo blada. Trzymała w ręku jedną czerwoną różę. Nie wyglądała ani tryumfalnie, ani zalotnie, raczej jak piękna, opuszczona wdowa. A gdy pociąg ruszył, pocałowała różę i cisnęła mi ją w twarz. Złowiłem kwiat i schowałem. A Hela odeszła szybko.

Po walnej przeprawie w Sosnowcu przespałem prawie całą dalszą podróż. Na dworcu warszawskim z zadziwieniem spotkałem — Tomiłowa. Poznał mnie odrazu pomimo ogolonych wąsów i zapytał, odciągnąwszy mnie od tłumu:

— Gdzież Hela?

— Jakto: gdzie Hela? — — Są browningi.

— Obiecywała się razem przyjechać.

Opuścił mnie zaraz, gdy się dowiedział, że jej niema.

Te wyrazy »Hela« i »obiecywała się« — wiercą mi w mózgu. Są jasnym dowodem, że

Hela nie powierza mi całej swej myśli. Że Tomiłowowi obiecała powrócić, to mogło być powiedziane tak sobie, na wiatr, przy wyjeździe z Warszawy. Ale skąd ma Tomiłow dokładne powiadomienie o moim powrocie tym pociągiem? o jej przyjeździe ze mną, o którym była jednak mowa w Berlinie? — — Nazywa ją »Hela« — — to już jego cygańskie wychowanie.

Ta kobieta nie może mi nigdy dać szczęścia, tylko jego złudę. Bo rozkosz jest zaledwie szczęściem chwili, nawet innej natury, niż szczęście, które w istocie swej jest spokojem. Niegdyś, w Wannsee, czułem coś w rodzaju przychodzącego szczęścia — trwało to dzień jeden. Wczoraj w Katowicach dała mi Hela już blady tylko odblask, dzisiaj znowu niepokój zasiała mi w duszy.

Wiedziałem odrazu, gdym ją spotkał, że to istota odmienna odemnie, innej krwi, tradycyi, innych dążeń osobistych. Wiedziałem, że nie mogę w porozumieniu z nią odnaleźć wspólnych tych drobiazgów, którymi się żywi serce, jak wspomnienia dziecinne, zwyczaje i mody krajowe, ani tych większych pokrewieństw duszy: jednakich umiłowań — — Kochamy niby oboje sprawę ludu, wolność, postęp ludzkości — — to cele zbyt ogólne i dalekie, aby w nich się spotkać i uścisnąć mocnym węzłem osobistym. Mówi się o takich

rzeczach szczytnie oddalonych, jak o życiu zagrobowem, bezcieleśnie.

Niechby jednak Hela była całkiem różna odemnie, lecz wyraźnie określona, konsekwentna na wewnątrz i na zewnątrz, jednem słowem — jasna dla mnie. Niechbym wiedział, na co mogę w niej liczyć. Na rozkosz tylko? — to kruche.

Gdyby można rozkosz fizyczną oddzielić zupełnie od zbliżeń duchowych, stosunki między obu płciami byłyby marną zabawą, lub tylko kosmicznie mądrą funkcyą. Ale w samej naturze ludzkiej leży, oprócz fizyologicznego, pociąg instynktowy do stworzenia uczuciowej i myślowej spójni, zgody między kochankami. Jest on nawet samą treścią miłości wyższej, uszlachetniającej, bez której związek z kobietą będzie zawsze czemś lichem, czemś nawet wrogiem i niszczącem.

Ten uścisk wyższego rzędu między mężczyzną i kobietą może tylko powstać z wzajemnej szczerości; dusze chcą się przenikać, nie mogą mieć dla siebie zagadek pochodzących z umyślnego ukrywania, tem bardziej z kłamstwa. Najgroźniejszym jadem w stosunkach ludzkich wogóle — jest kłamstwo.

Czy Hela kłamie? — nie wiem. Ale ukrywa dużo przedemną i to jest zaczyn ciągle drżącego we mnie niepokoju.

Gdyby ją wyrwać z tego kłębowiska kno-

wań, z tego jej towarzystwa złoconego i krwawego! Uciec z nią na życie we dwoje, spokojne, szlachetne! — — —

Dwie stają tu na drodze zawady: ja byłbym zbiegiem od sprawy, której oddałem lepszą część duszy; Hela zaś nie poszłaby za mną. Czuję, że gdybym jej zaofiarował taką sielankową przyszłość dla nas obojga, parsknęłaby śmiechem.

— Ognia mi trzeba i krwi naokoło, abym cię kochała tak, jak pragnę — powiedziała mi niedawno.

A jabym chciał w nią wmówić miłość cichą, wzajemnie ofiarną, wegetacyę wspólną, dwupłciową...

A więc, gdy zgodzić się nie możemy, mamy się rozejść? — — Ja wyobrazić sobie nawet nie mogę, abym zdołał to postanowić.

Warszawa, 1 grudnia.

Gdy wieczorem, po zgiełku ulicznym, po nasyceniu uszu zamętem obrad, wracam do domu, do tej pisanej gawędy z samym sobą — i ona mnie już nie uspokaja. Roztrząsam rzeczy zagmatwane i ponure.

Nigdybym nie przypuszczał, że rewolucya rozwinie się w tak jałową i poziomą gmatwaninę. Ani kroku naprzód od owego manifestu! Rząd zaczyna coraz wyraźniej powracać na swe dawne posterunki, my zaś krzyczymy i zabijamy policyantów! My? — straciłem poczucie, co to znaczy: my. — — Nie my przecie rozbijamy sklepy, kradniemy prywatne pieniądze. Przy postępującem wojsku bywają maruderzy i zbójcy — ale nasze siły główne obozują i wiecują, tylko maruderzy są czynni.

Gdyby gwałty i zabójstwa choć trochę posuwały sprawę ludu, gdyby przynajmniej karmiły proletaryat, przemógłbym dreszcz wstrętu. Ale żywią się tym przemysłem kupy hultaj-

stwa, którego my sami musimy się wypierać publicznie. Sam Rajkowski redagował wczorajszy artykuł przeciw rozbojom, wykonywanym przez szajki niezależne od żadnego stronnictwa, złożone z niedorostków z przymieszką obcokrajowców.

Jeżeli Rajkowski już chwieje się w swej bezwzględnej wierze w skuteczność naszych »żywiołowych« działań, cóż dopiero ja? Ale dyskutujemy sobie dalej z profesorem:

— Dokąd-że my idziemy, panie? — zapytuję.

— Idziemy w przyszłość. Nawet drobne epizody zboczeń mają swój pożytek: wyrabia się hart i odwaga osobista.

— Hm... dobrze. A ciągła walka z burżujami, endekami i t. d. do czegoż prowadzi? Czy chodzi teraz już o zajmowanie miejsc w przyszłym rządzie krajowym, którego jeszcze niema, czy o przewrócenie najsampierw starego systemu, który nas dusi?

— O to ostatnie, oczywiście. Ale trudno nie walczyć i z tymi, którzy przeszkadzają naszemu pochodowi w przyszłość.

— Aha... więc to jest pochód. Mnieby się zdawało, że to już cofanie się, z bronią w ręku, przed naporem powracającej siły nieprzyjacielskiej, która nas przepiera i oskrzydla.

— Z pana nie będzie nigdy rewolucyonisty! Pan zbyt słabo wierzy w geniusz ludu.

— Słyszę to od różnych, to od Tomiłowa, to od Helda. Chcę się poprawić — cóż, kiedy rozpierzchłość akcyi mnie przeraża.

— Bandytyzmu i ja nie pochwalam, jak pan wie. Walka zaś z innemi stronnictwami jest koniecznością, jest to spór o dowództwo nad nieuświadomioną masą ludu.

— A gdyby silny dowódca znalazł się poza naszym obozem? Poza partyami wogóle?

— My dyktatora nie uznamy — zarząd nasz jest ludowy i kolegialny. Gdzież pan zresztą widział kogo takiego?

— A naprzykład Wojciech Piast?

Profesor zachwiał się w wymowie:

— Ach, panie, to legenda, to mit! — — Mój ojciec mawiał niegdyś o nim. — I zawsze w gorących czasach błąka się wieść o nim — — ale to przecie człowiek już odwieczny, przeżyty. — Spotkał go pan kiedy?

— Jest moim krewnym — odpowiedziałem wymijająco.

— Jeżeli go tu pan zobaczy... niech mu pan poradzi, aby wyjechał. Ma licznych nieprzyjaciół. — — To oczywiście między nami, panie Tadeuszu.

— Rozumie się, kochany profesorze.

Może Rajkowski nie chce mieć Piasta za współzawodnika we wpływie na lud? — — albo nie wierzy w jego zdolności? — — Jednak osłania i szanuje Piasta. Już to drugi raz zauważyłem.

Co tu jednak spierać się o pochody i dowódców, kiedy planu kampanii niema, a jeżeli jaki istnieje, to nie nasz. Porównywamy się radzi do wielkiej Rewolucyi francuskiej. Krwi już może i więcej, ale gdzież te wielkie kroki naprzód, gdzie Konwencye, Konstytuanty? — — Nowe pomysły? — Strajk powszechny, jedyny zamach większy, urwał się i tylko kraj ogłodził. Strajkuje teraz jeszcze, kto chce: to krawcy, to kominiarze. I rozbija, kto chce, i ostatecznie, kogo chce. — — Aby dojść do takiej »rewolucyi« nie trzeba długo pisać, ani wiecować. Upić się tylko, wziąć browning w garść, wyjść na ulicę i strzelać do wszystkich, którzy się nie podobają — — Właśniem to ułatwił: dostarczyłem browningów towarzyszom!

Posyłamy wyroki śmierci »burżujom«, wykonywamy je czasem — — rewolucya socyalna ogranicza się do zamordowania kilku obszarników i fabrykantów; rewolucya polityczna usunęła już paruset policyantów — —

Ponieważ my nic nie wiemy, nic nie zrobiliśmy oprócz poprzecinania wiązadeł społecznych, aby być w gotowości na wszystko —

czekamy, co się zrobi w Rosyi. Już, już tam coś, gdzieś wybucha — i gaśnie — — —

Ładna perspektywa, szczytne powołanie być członkiem polskiej partyi socyalistycznej!

Żeby gdzie jedna choć głowa wodza! żeby jeden człowiek naczelny, historyczny! Ja do tego nie stworzony — przyznać to muszę — więc za kim pójść? — — Rajkowskiego frazesy znam już i nie odpowiadają mi na żadne wątpliwości.

Held w mętnej wodzie łowi korzyści dla Żydów — Tomiłow, Latzki — to przecie nie Polacy i działać mogą tylko pośrednio — — —

Starego Piasta by tu mieć na czele! Ale gdzie on jest?

Od kilku tygodni chcę wymódz na pannie Czadowskiej wyznanie, jakim sposobem spotkała Piasta — i nie udaje mi się. Zresztą panna Zofia, choć przychodzi znowu do biura, jest na mnie nadąsana. Posądzam, że jednak dowiedziała się czegoś o Heli, a chociaż to przecie naszym przyjaznym stosunkom nie powinnoby zawadzać, jest niezadowolona. Kobiety i o przyjaźń bywają zazdrosne; i siostry nienawidzą kochanek braci. Dosyć, że z panny Zofii nie mogę nic wydobyć oprócz słów obojętnych.

Gdy ją żartem raz zapytałem:

— Gdzież się to podział pani *cavaliere servente* z pochodu narodowego?

Zarumieniła się, ale wcale nie z konfuzyi; spojrzała mi w oczy z wyrazem gniewu i rozżalenia. Więc zaprzestałem tego tonu, może niewłaściwego i probowałem inaczej do niej przemawiać kilka razy. Czy przystąpila z Piastem do jakiego spisku? — —

— Panno Zofio! jam się przecie nie zmienił: Dlaczego pani odemnie tak ucieka?

— Nie uciekam wcale. Czy pan ma dla mnie jakie zlecenie służbowe?

— Nie mam. — Ja mówię otwarcie, a pani udaje, że nie rozumie: ucieka pani, jeśli nie odemnie, to od rozmowy.

Wzruszyła ramionami — tak, czy nie?

Więc sądząc, że z nią najlepiej grać w otwarte karty, zapytałem:

— Zależałoby mi ogromnie na tem, aby wiedzieć, gdzie przebywa ten stary pan, który towarzyszył pani wówczas?

— Cóż to pana może obchodzić?

— Bardzo pragnąłbym go zobaczyć. To mój krewny.

— Pański? — nie wiedziałam. — — I mój także — dodała z godnością.

— Więc widzi pani: jesteśmy przez niego spokrewnieni.

— Wątpię.

— Nie wspominał przypadkiem o mnie?

— Nie.

Odwróciła oczy, aby ukryć drżenie powiek. Nie umie bowiem kłamać.

— Więc pani żadnej mi o nim nie chce dać wiadomości?

— O kim?

— O Wojciechu Piaście. Widzi pani, że znam go dobrze, z imienia i nazwiska.

— Spotkałam go wtedy... Z iluż to osobami szło się obok w tym pochodzie... teraz nie wiem — dawno go nie widziałam — wykręcała się panna Zofia uporczywie.

— Rozumiem, że panią krępuje tajemnica, choć przypuszczałbym, że mnie można powiedzieć. Ale proszę o jedno: jeżeli go pani zobaczy, niech go zapyta, czy ja mógłbym go widzieć.

— Dobrze! — odrzekła z nagłem, miłem ożywieniem.

Ja zaś skorzystałem z tego podstępnie:

— A więc go pani widuje? — — panno Zofio! ja doprawdy nie jestem zdrajcą!

— Ach! zdrajcą — nie...

Brak ciągle między nami dawnej swobody. I tutaj panna Czadowska nie odpowiedziała mi wyraźnie, poczułem jednak, że się powoli do mnie nawraca, zapewne z powodu, że ja szczerze się interesuję osobą Piasta. Dziwny

wpływ tego człowieka! zawrócił jej zupełnie w głowie. Dopraszałem się dalej:

— Ja nie przez ciekawość chciałbym rozmówić się z Piastem. Potrzebny mi jest do rady, do objaśnień — —

— Dlaczegoż go pan zupełnie opuścił?

— Opuściłem? — — skądże pani wie?

— Tak mi się zdawało.

— Nie, to on mnie porzucił. Szukałem go parę razy w tym roku, gdy mi błysnął z daleka, ale on nie uczynił ani kroku do mnie.

I opowiedziałem pannie Zofii moje dwa spotkania, raczej dwie wizye Piasta tegoroczne. Mówiłem dość gorąco, pomijając tylko szczegóły o sobie, których tej świątobliwej koleżance powiedzieć nie można. Słuchała mnie z rosnącem zajęciem, rozpromieniając stopniowo swe oczy niby obłąkane tajemnem miłowaniem. A gdym skończył, westchnęła:

— Tak... nie każdemu On się ukazuje... nie z każdym gada...

— Ależ my byliśmy dawniej w bardzo dobrych stosunkach, rozmawialiśmy o wszystkiem!

— Tak... dawniej.

A cóż teraz? bardzo zdziwaczał?

— On? — nie. Pan się zmienił.

— Nie tak bardzo znowu od czasu, jak mnie pani zna.

— Ale On zna pana oddawna.

— A więc... mówiliście o mnie?

Panna Zofia zaczerwieniła się i nadąsała się, jak młody spiskowiec, złowiony na niewytrawności:

— Proszę mnie tak nie badać...

— Ja przecie w żadnym celu podstępnym... poprostu trzeba mi, serdecznie mi trzeba pomówić z tym starym stryjem.

Popatrzyła mi w oczy uważnie i gorąco tak, jak rzeczywista krewna, przez Piasta.

— Dobrze. Jeżeli go spotkam, zapytam.

Prawdziwie zacna dusza ta panna Zofia! I nawet bardzo ładna kobieta! Ale do energii i zmysłowego zachwytu pobudzają nas kobiety inne, pachnące grzechem; te zaś, czyste i »wzorowe«, budzą tylko przyjaźń i szacunek.

Z panną Zofią muszę w każdym razie odnowić serdeczniejsze stosunki. Szkoda tylko, że nie mogę z nią mówić o rzeczach najbliżej mnie obchodzących. Bo co tam polityka! Gdyby nawet proroka spotkać, nie wymyśliłby innej recepty na nasze położenie obecne, jak ta: »przyszłość należy do silnych«. A myśmy słabi na wewnątrz i zewnątrz. Podejrzanych mamy aliantów, a nasze siły wewnętrze, gdyby nawet każdemu mieszkańcowi

kraju dać do ręki browning — pozostaną zerem. Siły moralne pomnożyćby w nas trzeba— ale jaka to zimna otucha to zwycięstwo siły moralnej, może po stu latach, w czwartem pokoleniu?...

Łatwiej też rewidować życie zbiorowe i wzniosłe czynić o niem uwagi, niż rozpatrywać szczerze własne działania, a szczególniej braki. Prawdę mówiąc, staram się jako tako przystosować ideał społeczny do moich dążeń zupełnie osobistych. Gdyby nie Hela, czy przewoziłbym broń z Katowic? Gdyby nie ona, czy byłbym jeszcze w stronnictwie i to bez zastrzeżeń, w spółce z wielu ludźmi i czynami, którychbym bez tej solidarności ani myślał chwalić?

Automatyzm jest charakterem naszego wieku w dziedzinie społecznej i etycznej. Wybieramy sobie jedną z istniejących odwiecznie teoryi według instynktu, według temperamentu. I głosimy taką teoryę, która najlepiej otula nasze pragnienia osobiste; do teoryi dorabiamy mnóstwo zastosowań, mocno niby rozumowanych, wmawiamy w siebie i w innych, że pragniemy dobra społeczeństwa. Pragniemy zaś szczęścia każdy dla siebie.

Niema listu od Heli, ani nawet odpowiedzi na umówioną depeszę. I wszystko, co niby tu robię, jest niedołężną robotą auto-

matyczną, to zaś, co zmysłów najbliżej dotyczy — brak listu — najważniejszą treścią mego życia. — Nie powiedziałbym tego publicznie, ale w pamiętniku tak poufnym zapisuję.

1 stycznia 1906.

Gdzież jest ta Polska nieśmiertelna, o której prawili mi w dzieciństwie, Błękitna Królowa, o której bajał mi niegdyś Piast? — W ludzie? — Jestem przecie z tym ludem, w nim, pogrążony aż do wnętrznych zaduchów. Szukam tej Polski, którą pokochać mógłbym nie tylko wysilonym mózgiem, lecz całem sercem. Szukam jej we dnie i w nocy, po domach i ulicach — ślizgam się tylko po krwi rozlanej, głuchnę od wrzasku swarów, od grzmotu bomb, duszę się od zatrutego oddechu paszcz rewolwerowych — nie — od smrodu tych dusz, których miliony nazywam swoim narodem.

Zachodzę do naszej drukarni. Nieustanne złorzeczenia na porządek świata, ale i na rodaków, którzy ośmielają się być innych, niż my, poglądów. Walka ze »zdrajcami« domowymi pochłania całą działalność partyi. Już i na mnie patrzą niektórzy wilczemi oczyma,

że mniej piszę teraz, a szczególniej nie dosyć krzykliwie i nie według ich gustu.

Z Rubinem Heldem miewam gwałtowne sprzeczki. Ten mnie ciągle ściga przytykami do mojej prawomyślności partyjnej, a może i rozsiewa o mnie wieści, podające mnie w podejrzenie. Dawał zaś do druku zjadliwy artykuł przeciw kilku osobom wymienionym z imienia i nazwiska, między któremi byli i ludzie zupełnie szanowni, szczerzy Polacy, choć odmiennych przekonań politycznych.

Zaoponowałem głośno przeciw artykułowi, poprosiłem, aby Held wykreślił z niego parę nazwisk.

— Taak? — zaczął drwić swą krzywą gębą — pan wogóle należysz do wyższego towarzystwa?

— Należę do polskiej partyi socyalistycznej. Różni Polacy, stojący poza nią, także mnie obchodzą. Zresztą redaguję ten dział, profesor Rajkowski mi go powierzył.

— To niech pan sobie z profesorem założy inne pismo, bo pan Rajkowski nie jest już u nas w zarządzie.

— Jakto? odkąd? z czyjej uchwały?

— Z woli ludu. U nas wszystko z woli ludu. Pan bardzo dawno nie zaglądałeś na nasze zebrania — pan traci do nas sympatye — my bardzo pana żałujemy.

Burza w partyi przeciwko Rajkowskiemu

za to, że zgromił otwarcie, i to w piśmie nie partyjnem, napady zbójeckie na obywateli bez wszelakiego upoważnienia zarządu partyjnego. Epitet »zdrajca«, którym się dzisiaj szafuje, jak dawniej przydomkiem »jaśnie panie«, zastosowano i do profesora, tego najgorliwszego z radykalnych przyjaciół ludu!

Ja w każdym razie jestem z nim, nie zaś z Heldem, ze Szmulem Krótkim, z Majchrzakiem, z Karlmejerem, z Orjanowskim, którzy teraz skupili całą władzę w ręku. Rajkowskiego rzeczywiście usunięto z zarządu!

Jeżeli programem partyi jest nienawiść wszystkiego co narodowe, komitet postąpił konsekwentnie. I ja posądzam Rajkowskiego, że ma polską duszę.

Ale właśnie dlatego trzymam z Rajkowskim, nie z jego przeciwnikami i będę zapewne nazwany zdrajcą.

Gdzie sprawa, a gdzie zdrada?

---

10 stycznia.

Jeden list od Heli w przeciągu dwóch miesięcy — i jaki!

Stoicki. Odkłada do wiosny nasze spotkanie, a nawet korespondencyę. Teraz jest tylko sprawa ludu. Nie wolno nam myśleć o sobie. — Katon młodszy piszący do starszego. — — —

Znam ja już jej tony i wiem, który co znaczy w przenośni. Ton obowiązku społecznego odzywa się przy naciśnięciu pedału obojętności zmysłowej.

Żeby napisała: »kochany przyjacielu, musimy o sobie zapomnieć« — byłoby mi zimniej, ale zapewne lepiej. Nie — ona mnie odkłada do wiosny, a zatem trzyma. I zapewne nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo mnie trzyma. Każde wspomnienie o niej, zbyt często powracające, ma smak rozkosznego bólu, ale i trucizny.

Nie piszę już w pamiętniku o tem, co się

we mnie dzieje, bo myśli o niej przychodzą mi ubliżające, jej i mnie. A jednak zabiera mi większą część duszy, hamuje swobodę działania. Nie wierzę już chyba ani w nią, ani w powrót wiosny.

15 stycznia 1906.

Ledwie żem cało wyszedł ze sromotnej awantury. — Kazaliśmy wprawdzie zastrajkować robotnikom fabryki Thiele'go. Tak, »kazaliśmy«, bo i ja jestem przecie jeszcze w partyi. Ale czyż robotnicy, nie należący do naszej organizacyi, nie mają prawa naradzać się nad kwestyą, nawet głośno przemawiać przeciw naszej uchwale? Sprawa to dotycząca bezpośrednio ich skóry. My, robotnicy, także, nie jesteśmy psiarnią, puszczoną przez jedną część ludu na drugą!

Dowiedziałem się przez telefon o napadzie zbójeckim na wiec robotników, chcących powrócić do pracy. Tego już nikt nie upoważnił. Panowie Held i Szmul Krótki zebrali kupę i napadli z browningami na towarzyszów pracy, choć nie partyjnych; uczynili to na swoją rękę.

Telefony znosiły mi wieści nadzwyczajne:

— *Haben gekrygt ainen grojsen zdrajce!* —

charkał głos żydowski z naszego partyjnego lokalu.

— Mordują bezbronnych... kule przeciw pięściom! Piast w niebezpieczeństwie! — wołał z innego miejsca głos kobiecy.

— *A wam czto? wy zdzieś k'komu?* — odpowiadał żołnierz, czy żandarm z pod adresu, gdzie go nie mogłem się spodziewać.

Dążyłem na miejsce zajścia, na Kruczą, skradałem się, niesiony nieprzepartą żądzą dojścia prawdy. I trafiłem na chwilę istotnego niebezpieczeństwa.

Zaledwie wszedłem w ulicę Kruczą, usłyszałem daleką salwę karabinową, potem drugą bliższą, wreszcie tentent konnicy, coraz wyraźniejszy. Zrozumiałem i śpiesznie zawróciłem. Kilku ludzi uciekało pędem ulicą śród bram i sklepów zamkniętych. Jeden z nich zatrzymał się, spojrzał mi w oczy, poznałem go.

— Towarzysz Kulik!

— Aha — gdzieby tu, panie? — — bo nas ogarną!

W małym sklepiku spożywczym, zamkniętym, świeciła nad drzwiami górna szyba. Dopadliśmy.

— Sprawa ludu! otwierać!

Napół przemocą wdarliśmy się do wnętrza i zamknęli drzwi za sobą. Nie przyszło nam do głowy zgasić światło.

Grzmot podków zbliżał się do nas, zbliżał,

już zdawało się, że mijał, gdy wtem przycichł, rozległ się gwałtowny głos komendy i zaraz potem łomot kolb czy rękojeści do drzwi sklepiku.

— *Otpirat'!*

Otworzyliśmy natychmiast, uznawszy opór za zgubny.

Wpadło dwóch żandarmów z rewolwerami w garściach, za nimi oficer. Właścicielka sklepiku, stara kobieta, rzuciła się oficerowi do kolan:

— Panie pułkowniku! ja niewinna! oni sami...

Odtrącił ją i zwrócił się do mnie:

— Gdzie tutaj Wojciech Piast? — — Ty mów, a to...

I potrząsł obnażoną szablą, podczas gdy dwaj żandarmi ujęli nas mocno za ramiona. Jakoś nie straciłem jednak przytomności, stwierdziwszy w pamięci, że nie mam przy sobie nic kompromitującego.

— Nie rozumiem, co pan mówi. Jestem urzędnikiem kolei, mam z sobą legitymacyę.

Zapalczywą twarz oficera oblało widoczne rozczarowanie. Zmienił ton, ale jeszcze bardzo szorstko:

— Pokazać! — zawołał.

Obejrzał, dowiedział się nawet o moim »czynie«, rzucił moje papiery na ladę sklepową.

— A z wami kto?

— Robotnik z naszych warsztatów, Tomasz Kulik.

I ten miał przy sobie książeczkę legitymacyjną i — na szczęście! — nie posiadał browninga.

Widząc, że spudłował i zabrnął, oficer udał teraz przenikliwego:

— A można panów zapytać, co wy tutaj po nocy, w zamkniętym sklepie?

— Szliśmy do fabryki z interesem. Posłyszeliśmy strzały i wpadliśmy do tego sklepu.

— Nu... zobaczym. — Aresztować ich tymczasem na miejscu!

Podczas gdy żandarmi strzegli nas zbliska, oficer poszedł na podwórze, zawołał stróża, który zeznał, że nas pierwszy raz w życiu widzi i że musieliśmy wejść przez sklep, gdyż bramę trzyma zamkniętą. Przejrzał jeszcze listę lokatorów, zapytał, czy kto inny nie wszedł, kazał przetrząść sklep, widocznie pusty, i czując się sam śmiesznym, choć groźnym, wpadł w bardzo zły humor.

Myśmy zaś stali przy ladzie, między żandarmami, drażniąco spokojni.

— Puścić ich! — zakomenderował — możecie panowie wynosić się won stąd!

Tak nareszcie znalazłem się z Kulikiem na wymiecionej zupełnie ulicy. Skierowaliśmy się ku znanej mi fabryce na Mokotowskiej,

aby potwierdzić moje zeznania. Po oddaleniu się o paręset kroków ujrzeliśmy, że oddział wojska i żandarmi opuścili sklepik i pocwałowali dalej. Widocznie znudziła im się daremna rewizya. Teraż my dopiero wyznaliśmy sobie wzajemnie nasze winy.

— A naprawdę skąd to towarzysz idziesz? — zapytałem Kulika.

— Byłem na tej hecy.

— Na wiecu? no i cóż?

— Toby godzinę opowiadać. Wyszły kawały!

— Opowiedzcie — przecie między swoimi — —

— Kawały, mówię, nieopisane. Przyszliśmy kupą z Heldem i Krótkim, niby dopilnować postanowienia partyi. Ale zwyciężyły huncwoty!

— To jest ci, którzy nie chcieli strajku?

— A któżby? narodowcy, psiawiary! I nie wytrzymaliby, bo nasi byli i z browningami i Held mocno gadał — żeby nie jeden między nimi stary — nie robociarz — szpicel, czy waryat? — — —

Wzruszył parę razy ramionami, jakby otrząsał się od przejmującego a niezrozumiałego wrażenia.

— Któż to był taki?

— Licho go wie! Dziad już, ale silny, w wiejskiej czapce, w płaszczu, mina nie dzi-

siejsza — — Prawił naturalnie trzy po trzy: że to hańba kłócić się między braćmi i synami jednej ziemi... Ladni mi bracia: narodowcy!

— Ladni bracia i Żydzi! — wtrąciłem.

Zachłysnął się Kulik w opowiadaniu:

— To pan już wie, co się stało na końcu?

— Co mam wiedzieć? Mów-że towarzysz!

— Od gadania tego dziada przeciwko strajkowi zaczęli i z naszych odzywać się: bo i racya! i przechodzić nawet do tamtej kupy. Wtedy Held zaczął gadać. Ten ci ma gębę! Ale, prawdę powiedzieć: świnia jest, panie.

Ledwie się nie rozśmiałem, choć mnie paliła ciekawość niepowszednia.

— Więc jakże? świnia i dobrze gada?

— A właśnie tak jest. — »Widzicie go — gadał — stanął między wami przebrany za robociarza wróg ludu, potomek tej szlachty krwiopijców, wróg odwieczny i przyczyna wszystkich nieszczęść naszych! Ludu, robociarze przyszłości, wyrzućcie jego won od siebie, zdrajcę!« Dłużej mówił, a to na końcu. A tu naraz jak nie huknie na niego ten dziad, to ani zrozumieć, skąd mu taki głos, jak piorun. »Milczeć! — krzyknie — nie ukrzywdzisz mnie swą plugawą mową, ale nie wolno obcym przekupniom na ziemi polskiej radzić ludowi i szczuć go na krew własną i krew ojców!« Tak coś powiedział, niby nie bardzo... ale

mnie mrowie przeszło, bo żeby pan sobie wyobraził generała przed frontem — jeszcze nie to.

— I dalej cóż się stało?

— Ano wtedy, jak mówiłem — świnie. Zaczęli strzelać.

— Kto? do kogo?!

— Tam gdzieś od strony Helda i w kupę, gdzie stał stary. Dobrze z dziesięć razy strzelili. Trzech zostało na podłodze.

— Ale ten stary? Mów-że pan prędzej!

— Nie. Stary mocno stał. Zaraz otoczyła go wielka kupa i jak zaczęli naszych brać za łby a prać pięściami... Browningów gawrony nie mieli. Już i Held i inne Izraelity pozmiatały. Pranie poszłoby dalej i nakryliby nas tam wszystkich, żeby znowu ten stary nie huknął komendy: »Rozchodzić się małymi oddziałami! Wojsko na nas idzie!« — Prawda była. Skąd on to wiedział? — — Mówię ja panu: albo szpicel, albo... już nie wiem.

— A ja wam powiem, towarzyszu, kto to był. Największy przyjaciel ludu, jakiegoście w życiu widzieli.

— E, to znowu bajki! przecie trzymał z narodowcami.

— Słyszeliście, kogo oficer szukał w tym sklepiku?

— Słyszałem: jakiegoś Wojciecha Piasta.

— To był właśnie Wojciech Piast.

— Więc jego i żandarmy szukają? — — jakiż więc on szpicel?

— A pomyśl pan nad tem.

Odchłań zamętu jest w tych głowach moich »towarzyszów«!

Ale tymczasem wiem, że Piast jest w Warszawie. On napewno. Nie zdołałem go odszukać dzisiaj, po nocy. Jutro go odnajdę, muszę go widzieć.

. .

20 stycznia 1906.

Jednak Piasta raniono! Powiedziała mi to panna Zofia, ale nie odrazu dała adres. To już prawie upokarzające! Dlaczegóż ona, niedawna znajoma, nie zaś ja mam raczej prawo widywania Piasta?

Mniejsza o to. Dzisiaj nareszcie otrzymałem audyencyę. Ktokolwiek chce obcować z Piastem, musi się poddać jego dziwactwom. Za to rad jestem obecnie, żem nareszcie wyjaśnił sobie choć jedną ścieżkę z labiryntu dróg, któremi chodzi mój tajemniczy stryj.

O umówionej godzinie zaprowadziła mnie sama panna Zofia do jednego domu w śródmieściu, którego front uliczny mijałem prawie codzień, nie domyślając się wcale, że tam, w drugiem podwórzu, w zakątku niełatwym do odkrycia, mieszka pan... Krotoski, literat. Drewniane schody, kurytarz z kilkorgiem drzwi podobnych do siebie, jak wejścia cel klasztornych. Przed jednemi z nich przystanęliśmy z panną

Zofią; ona zapukała w sposób osobliwy, widocznie umówiony, a gdy zazgrzytał klucz z wewnątrz, pożegnała mnie i odeszła.

Ze wzruszeniem wszedłem do niewielkiego o jednem oknie pokoju podzielonego przepierzeniami na jeszcze mniejsze klitki. W świetlicy (jeżeli tak nazwać można część pokoju z oknem) siedział pan Piast przy prostym stole założonym drukami i rękopisami. Pierwszy raz ujrzałem go pośród ścian, które bądź co bądź miały pozór stałego prywatnego mieszkania. Ściany nikną pod rzędami polic pełnych książek i pod kilku ciemnymi portretami. Proste, najniezbędniejsze tylko meble zdają się zrośniętemi organicznie z tem wnętrzem pustelniczem, cichem i nadzwyczaj polskiem. Takie krzesła widziałem gdzieś za czasów mego dzieciństwa, taki kantorek ma fizyognomię pradziadowską. Przed oknem, wyzierającem na podwórze, rośnie suchotnicza akacya.

Te szczegóły spostrzegłem później, najprzód całą moją uwagę pochłonął on sam, pan Piast-Krotoski, starszy, niż zwykle mi się wydawał, bledszy, jakby mu krwi puszczono tymi dniami.

Zapytałem o zdrowie.

Rękę przyłożył do piersi.

— Sądzone było — rzekł — abym otrzymał postrzał z ręki jednego z podlejszych

mieszkańców tej ziemi. Ale nie lękaj się — kula, która mnie zabije, jeszcze nie ulana — jak mawiał wielki Cesarz.

— To jednak stryja raniono?!

— Nie pierwszy raz...

— Potrzeba przecie fachowego leczenia — zaniepokoiłem się — któż stryja leczy? Może panna Czadowska sprowadziła doktora? — jakiego?

Dawna, długo już niewidziana przezemnie dobroć zaiskrzyła się w głębokich oczach starca.

— Troska twoja o mnie przynosi mi ulgę i przystoi ci, jako krewniakowi. Zosieńka otacza mnie także troskliwością; widzisz tu? przyniosła mi kwiaty; stara się, abym miał codzień dobre mleko.

— Wiem, że najlepsza kobieta; ale stryjowi potrzebny chirurg. Tylu ich mamy między przyjaciółmi...

— Powiedziałem ci już, że od tej kuli nie umrę. Z ran, które mi zadają, leczę się potęgą mych soków wewnętrznych od lat już... Wiedz zaś jeszcze i to: trwać muszę i będę dopóki Duch Najwyższy nie weźmie cząstki swojej we mnie płonącej i nie przeniesie jej w inne ciało pokrewne — — Ale tego nie doczekasz ani ty, ani wnukowie twoi.

Gorączka błyszcząca z oczu Piasta udzie-

lała mi się powoli, wlewała mi się w krew i w mózgu rodziła jakąś błogą jasność.

Mówił dalej:

— Czy sądzisz, że umarł Naczelnik, gdy widzisz zastępy w sukmanach i fartuchach garnące się dzisiaj pod znaki, które On im ukazał? Czy wątpisz o tem, że żyje bohater z pod Lipska w jakimś duchu szlacheckim, nie wyzwolonym jeszcze do czynu przez Wyroki, które szlachtę w pałacach ogarnęły do czasu snem, szlachtę zaś na polach rozprószyły w pospólstwo? — Czy w mądrości niektórych mężów cichych, jeszcze nie mających posłuchu, nie widzisz żywego ducha Wielkiego Sejmu? — — —

Pogrążałem się coraz głębiej w tę wizyę kojącą; Piast zaś roztaczał dalsze jej kręgi, coraz fantastyczniejsze:

— Mówił mi niegdyś pan Adam przed wyjazdem swoim z Paryża...

— Stryj mówi o... Mickiewiczu? znał go?

— Skoro powtarzam z Nim rozmowę! — Powiedział mi, że będzie zbierał swój legion przez lat sto. Nie darmo już za cielesnego życia nazywał się Milionem. — Otwórz teraz oczy i patrz: legion Jego istnieje, chociaż ściśnięty w tłumie braci ślepych, lub obojętnych, choć oblężony przez wrogów. Legion ducha powołany przez wielkiego hetmana litewskiego rośnie, krzepi ducha, łączy się

z drużyną Naczelnika, z gwardyą księcia Józefa, z radą Wielkiego Sejmu, z oddziałami innych jeszcze regimentarzy i ochotników ducha, których masz za umarłych. Gdy będziemy oczyszczeni i zgodni, ci wszyscy poprowadzą nas w chwałę. I prowadzą już dzisiaj, w tej chwili, niewidzialnemi ścieżkami, knując nieprzeparcie plany Najwyższego — Tacy bowiem hetmani nie umierają!

— Jeszcze nie czas? — zapytałem gorąco — Niechżeby stanęli hetmani na czele rzesz, które się dźwigają!

— W tem wrzeniu niema ich! I być tu nie mogą, bo ruch nie nasz, przez ślepców, lub podstępnych wrogów wzniecony. Chodzą po kraju handlarze, sprzedający zdradę za proroctwa, noże za miecze i chleb dla głodnych z zatrutej mąki.

— Kogo stryj ma głównie na myśli?

— Otwartych wrogów zagranicznych, jak Prusacy, ale i wrogów wewnętrznych...

— To jest Żydów?

— Po tegorocznej próbie... — zaczął Piast i urwał.

Zasępił się i pochylił głowę tak, że wydał mi się prastarym pokutnikim za odwieczne pomyłki. I dokończył zdanie pozornie bez związku z poprzednią treścią:

— Wzmagajmy raczej siły własne...

Teraz rozumiem, gdy to składam w pamięci. Stary hetman odpowiedzialny jest za »występki nasze i rodziców naszych« jak w psalmie pokutnym. Piast! spadkobierca Kazimierzów. — O błędach przodków mówi się niechętnie.

Przez skojarzenie pojęć stanęły mi na myśli moje sojusze filosemickie, a zwłaszcza Hela piękna — gorąca — ohydna!

Gdym tylko pomyślał, spojrzałem w oczy Piasta, w których wyczytałem, że wszystko wie o mnie. Ale nie przeszedł do wymówek głośnych, bo wiedział zapewne i to, że słucham go ze skruchą, że odstępuję uczuciowo od moich związków z lat ostatnich.

Skręciłem do innego przedmiotu:

— Czy to mieszkanie stryja? pracownia?

I on zdawał się czekać na lżejszą rozmowę. Rozpogodził się, powrócił do przyrodzonej fantazyi:

— Tak; redaguję tu swoje pisma.

— Może ową Teogonię, którą stryj mi niegdyś obiecał?

— Na później — dla uciechy waszej, romansowi rewolucyoniści! Milczą dzisiaj Muzy — trzeba słowem rozdawać chleb powszedni i lekarstwa.

— Ale czy wolno wiedzieć, co i gdzie stryj drukuje?

— Pisma moje są bezimienne, jak i ja

tutaj. Nie podpisuję ich nawet przybranem mojem nazwiskiem. Czytałeś jednak dużo przezemnie natchnionych myśli i czytać możesz dzisiaj, gdy zechcesz. Zasięgają mojej rady przyjaciele, a gdy nawet nie jestem z nimi, wiedzą, co im pochwalę. I ty wiesz. — Mam wielu przyjaciół pisarzy, przez których odzywam się do ogółu; do tej izdebki przychodzą od bardzo dawna moi współwyznawcy, czciciele Błękitnej Królowej, aby wysłuchać Jej orędzi.

— Ależ nie wiedziałem, stryju! I nikt ze znajomych nie wie o tem!

— Właśnie takich masz przeważnie znajomych, którzy nie wiedzą i którzy nigdy tu nie wejdą. Panna Zofia wiedziała przecie.

— Czy mogę nadal odwiedzać stryja?

— Gdy będziesz miał sumienie czyste, lub przynajmniej, jak dzisiaj, skłonne do poprawy życia.

— Jeszcze jedno pytanie: kiedy tu stryj przyjechał? jak się uwolnił z więzienia, od prześladowań z różnych stron?

— Tego się nie dowiesz odrazu. I nigdy nie zrozumiesz zupełnie, jakiemi chodzę drogami, w jakiem miejscu przebywam, gdyż mogę być naraz w różnych... Gdy będziesz wyzwolony z pożarów, pójdziesz za mną, obcować będziesz ze mną ciągle...

Coraz trudniej łowiłem przenośne choćby

znaczenie słów Piasta, który widocznie zapadał w silniejszą gorączkę.

W zmroku, obłażącym pokój ze wszech stron, widniało tylko blade okno i zamiast świec, których nie było, iskrzyły się coraz fosforyczniej oczy Piasta. Postać jego w ciemności nabierała zarysów nieuchwytnych.

Zapukano do drzwi podobnie do sygnału, który je dla mnie otworzył. Piast powstał i wpuścił do pokoju kobietę w stroju zakonnym. Stanęła cicho w kącie z założonemi dłońmi, młoda, wysoka, zapewne pielęgniarka, ale podobna do panny Zofii...

Wszystko to tajemnicze, niepokojące, ale razem zaprawne jakąś świętością, która przenikliwie wciska się w serce.

Wyszedłem jakby oczadzony, i długo piłem zimne powietrze uliczne, zanim doszedłem do normalnego stanu, do trzeźwej nienawiści życia, które pędzę.

---

1 lutego 1906.

Wiatr niepokoju nie przestaje wiać, zawsze od tamtej strony, od Berlina. Dowiedziałem się, że Tomiłow, o którym sądziłem, że dla spraw partyjnych bawi w Rosyi, pojechał istotnie do Berlina, w misyi pokrewnej do mojej, i siedzi tam już długo.

Poszedłem rozpytywać się o niego do ludzi, którzy powinniby wiedzieć, ale zebrałem tylko ogólnikowe wiadomości, że musiał, dla ważnych powodów, przedłużyć swój pobyt za granicą. Posunąłem się aż do wyszukania Czeremuchina, figury, której zazwyczaj unikam. Dałem znać w jednej kawiarni, że go chcę widzieć, stamtąd gwiźnięto do drugiej i do trzeciej; na Czeremuchina gwiżdże się, jak na policyanta, on zaś zjawia się prędzej, niż policya.

Naparł się koniecznie, abym go zaprowadził na obiad do restauracyi, a ja wolałbym mu dać kilka rubli, niż z nim się pokazywać

publicznie. Ładny jest taki, jak przebrana po męsku kokota, wita się z mnóstwem ludzi najrozmaitszych gatunków; mówi płynnie po polsku. Nadzwyczaj zdolny chłopiec.

— Cóż, panie »naczelniku«, pohulamy? Czasy sobacze i tylko nadzieja w przyjemnem towarzystwie. Ja pana mało kosztować będę, ja tylko piję wódeczkę i Portwejn.

Mówi przymilnie i sarkastycznie, czego również znosić nie mogę. Stłumiłem w sobie wszystkie te wstręty, wszedłem z nim do restauracyi i poszukałem kąta mniej na widoku.

— A do bufeciku nie łaska? — — Pan mnie nie wstydź się, ja i z generałami i z robociarzami, i takie szykarne z baletu znam panienki, że ha!

Pocałował się w palce obrzydliwie lubieżnemi ustami — i sam wyglądał jak z baletu.

— Niech nam tu przyniosą do stołu — odpowiedziałem — chciałbym z panem pomówić o ważniejszych rzeczach — więc żeby nie dosłyszano.

— Można i o ważniejszych.

— Jakoś wy tu, Rosyanie, coraz mniejszy udział bierzecie w ruchu... rozleźliście się gdzieś...

— Każdy przy swojej robocie — odpowiedział Czeremuchin poważniej.

— Jak który gdzie wyjedzie, to i przepada...

— Łuka Nikitycz? — zapytał ten gładysz z błyszczącym przewrotnie uśmiechem.

— Chociażby on; — nie masz pan od niego wiadomości?

— Nu jemu trzeba pozwolić trochę nacieszyć się.

Jakby żelazne szpony poczułem w sercu, gdy ten chłystek wymówił bezecny wyraz, i wiedziałem już z góry, co mi powie. Ale zarazem zachciało mi się fatalnie czegoś dowiedzieć się i użyłem całej siły, aby opanować wzruszenie. Udałem obojętnego.

— Każdy rad odpocząć po tutejszej łaźni. Ależ on miał przywieźć broń.

— On i przywiezie. Tylko jego zatrzymują parlamentarne stosunki z baronesą.

— Może być?—odrzekłem spokojnie, choć zimny pot poczułem na skroniach — ale on tu potrzebny, nie tam.

Czeremuchin nagle rozmarzył się:

— Jakie u niej usta krwawe i ogniste!

— Pan zawsze o tem samem! — wybuchnąłem — Czy były jakie wiadomości od Tomiłowa?

Spojrzał na mnie uważnie, bez urazy, ale ze szpiclowską ciekawością.

— Były. On wróci zieloną granicą. A panu ta broń tak potrzebna?

— Wszystkim, nie mnie specyalnie.

— Jego wyprawa trudniejsza, niż pana —

objaśniał Czeremuchin — on więcej wiezie. Ja tylko żartowałem o parlamentarnych stosunkach... Baronesa osoba w dziele ważna!

— A pan masz pewność — wykrztusiłem, że Tomiłow tam ją widuje?

— Toż pan musisz wiedzieć, panie naczelniku? — wszystko się robi przez Excelencyę i baronesę. Oni i Łukę Nikitycza wezwali.

O tem pierwszy raz usłyszałem od Czeremuchina. Posiedzenie z nim skróciłem ile się dało, pozostawiając mu pieniądze na zapłatę rachunku i niedopitą butelkę wina.

A Tomiłow i dzisiaj nie wrócił.

Od owego wstydliwego obiadu miejsca sobie znaleźć nie mogę w Warszawie. Prześladują mnie obrazy, które składam w szereg konsekwentny, w ciąg bezecnego romansu.

Ja sam przyprowadziłem niegdyś Tomiłowa do Heli w Warszawie. Podobał jej się odrazu — pamiętam. Potem te jego wizyty niepotrzebne dla sprawy ogólnej, to udawanie eleganta, to pobłażliwe traktowanie przez Helę jego niedźwiedzich manier, ta admiracya dla bohatera, którego pomacano zaledwie szablą czy nahajką na placu Teatralnym — —

Cięższe jeszcze widuję zmory. Ta nagła oziębłość Heli dla mnie przez ostatnie dni jej pobytu w Warszawie — — I nigdy już

jej pocałunek, nawet za granicą, nie miał temperatury całkowitego oddania się, jak dawniej.

»Jakie u niej krwawe i ogniste usta!« — mówił Czeremuchin, który ją także widywał... Cóż on znowu wie o tem? To plugawe zdanie, z rosyjskim akcentem, ze zbereźnym uśmiechem, miga mi przed oczyma, jak przedmiot dotykalny, wstrętny i pożądany zarazem, nienawistnie lubieżny. Ten obraz, ta plama doprowadza mnie do szaleństwa.

Leczę się rozumowaniem — nie wiele pomaga. Cała ta ohyda istnieje przecie dopiero w mojej głowie; sam ją sobie wymyśliłem i zbudowałem. Nie mam żadnych dowodów. Tylko milczenie Heli i wiadomość, że ona, bez mojej wiedzy, wezwała Tomiłowa... Ale to wszystko można przecie wytłómaczyć pogodnie...

On jest tam — i nie wraca. Czy on wie, że ja ją kocham? — Dlaczego mu tego nie powiedziałem? Może uszanowałby moje uczucie i moje szczęście? — — A ona przecie, Hela! nasze rozkoszne dni, nasze przysięgi! — — Jednak coś silnego, jak śmierć, mówi mi, że ani jemu, ani jej ufać nie mogę. I ładna pociecha — liczyć na wstrzemięźliwość politycznego przyjaciela (?) i na sumienie kobiety, której nie byłem pierwszym ko-

chankiem! Piękna wogóle rzecz tak się kochać — — —

Żem nie pojechał dzisiaj do Berlina, to sprawa panny Zofii. Zastałem ją u Piasta, ciągle jeszcze niezdrowego, który pozwolił mi się znowu odwiedzić na krótko.

— Panno Zofio—rzekłem, wychodząc z nią stamtąd — ja może na parę dni zmuszony będę opuścić Warszawę. Niech pani powie to stryjowi... jutro.

Spojrzała na mnie badawczo:

— Nie wdzieram się w żadne tajemnice partyjne, ani prywatne, ale pan nie może opuścić teraz stryja — —

— Czyż pani sądzi, że tak z nim źle?

— Gorączka trwa bez ustanku. Gdyby się dowiedział, że pan wyjechał i to bez narady z nim, zmartwiłby się bardzo...

— Dlaczego znowu tak bardzo? Tyle lat obywał się bezemnie, a nawet tyle dni w Warszawie...

— Tak, ale myśleliśmy... to jest on myślał, że pan przywiązał się do niego ostatnimi czasy.

— Niewątpliwie — jednak są różne sprawy zagraniczne, które bez mego wmieszania się mogą wziąć niepożądany obrót.

— Ach, sprawy berlińskie? — rzekła ci-

cho, mrużąc oczy, jakby poruszyła temat wstydliwy.

— Chociażby te. Rosyanie i Żydzi działają poza naszemi plecami.

— Tego pan nie przerobi, panie Tadeuszu. Ja nie śmiałabym radzić, ale wiem, że Piast gorąco odradzałby panu mieszać się nadal do tych spraw.

— Skądże Piast?

— Mówił jeszcze dzisiaj, przed przyjściem pana: on — to jest pan — zechce zapewne znowu jechać do Berlina; musimy go od tego zamiaru odprowadzić. Ja z panem nie politykuję, panie Tadeuszu; powtarzam poprostu, co mi mówił.

— Ależ stryj nie zna ani naszej organizacyi, ani potrzeb partyjnych!

— On wszystko wie — rzekła panna Zofia z mocnem przekonaniem — on powiedział nawet, że wyjazd pana teraz byłby... nie ze względu na niego, ale ze względów ogólnych — byłby... odstępstwem.

— Stryj ma gorączkę! — zawołałem już gniewnie.

— Słyszał go pan mówiącego w gorączce — on nie bredzi — mówi jak poeta i kapłan.

— Ależ, proszę pani, mówi pięknie, tylko to jest rzeczywiście... poezya. Tego nie można stosować do projektów realnych, które życie bieżące nasuwa.

Panna Zofia złożyła ręce, a piękne jej, choć niezalotne oczy modliły się do mnie:

— Panie Tadeuszu! proszę myśleć o nas, co pan chce, że to egoizm jego — mój wreszcie — ale zaklinamy pana oboje, aby pan nie jechał do tego Berlina, do tych Żydów!

Zadziwiły mnie bardzo i powiadomienia i ton panny Zofii.

— Pierwszy raz słyszę panią tak mówiącą — — więc pani jest przeciw Żydom? więc i pani umie nienawidzieć?

— Co innego kochać brata w każdym człowieku, co innego mieszać się do działań złoczyńców i nieprzyjaciół kraju.

— Pani ma zupełnie fałszywe wyobrażenie o tem wszystkiem. Może być, że odłożę wyjazd do.. jutra, jeżeli stryj byłby słabszy, ale wyjechać muszę.

— Panie! jeżeli pan to uczyni, proszę się nie pokazywać na oczy ani stryjowi, ani mnie!

— Co pani jest, panno Zofio?!

Stała przedemną z iskrzącemi oczyma. Nie była to teatralna dama, lecz dziewczyna polska wysokiej rasy, która mi życzyła dobrze z głębi serca i przekonań. Przypatrywałem jej się bez gniewu i może zbyt długo, bo odwróciła oczy i straciła wkrótce pewność siebie.

— Przepraszam — rzekła — nie mam prawa tak do pana mówić.

— Owszem — odpowiedziałem, rozczulony

bardziej nieznanym mi wybuchem jej ładnego temperamentu, niż słowami — czuję, że pani mówi ze szczerej przyjaźni.

I wyciągnąłem do niej rękę. Chwyciła za nią gorąco:

— Panie Tadeuszu! pan ma tyle w sobie szlachetności i zasobów, kraj tak potrzebuje ludzi — —

Błagała dobremi oczyma skuteczniej jeszcze, niż wymową. Płynął od niej czar, mało zmysłowy, lecz słodki, pokrewieński. Czy moc Piasta, przez mediumizm, wzięła w siebie i za pomocą niej mnie zniewoliła?

Zgodziłem się pozostać.

---

10 lutego 1906.

To, co kilka dni temu było senną zmorą, staje się powoli przeświadczeniem. Ani Tomiłow nie wrócił, ani nie nadeszły żadne wieści, które pozwoliłyby optymistycznie tłómaczyć to śmiertelne milczenie od strony Berlina. Owszem — nadeszły przeciwne: pani baronowa ma się dobrze; gazety berlińskie wymieniają jej obecność na balu dworskim i na operze.

Ja zaś pozostaję w Warszawie przez brak energii, czy przez odwagę — sam już nie potrafię siebie osądzić. Nie zatrzymuje mnie nawet stan zdrowia Piasta, już lepszy; poprostu nie pilno mi ujrzeć ostateczną jasność w stosunkach moich i naszych do ludzi berlińskich.

Wytłómaczyć ich działania optymistycznie — coraz trudniej. Rząd pruski, w którym przecie bierze udział i »nasz« Latzki właśnie w zakresie finansów, wspiera działania rzą-

du rosyjskiego przeciwko ruchowi wolnościowemu. Akcya ta występuje coraz jaśniej w stosunkach urzędowych. Zdradliwie zatem na obie strony wyglądają czynne sympatye Latzkich do tegoż ruchu wolnościowego u nas.

Jedna akcya nie chybia — to podtrzymywanie żydowstwa przez zgodne głosy prasy berlińskiej; jedne wyraźnie walczą za udzielne prawa Żydów, drugie milczą w tym względzie, ale nie występują nigdy w kierunku przeciwnym. Żydzi też tutejsi otrzymują w dalszym ciągu pieniądze z Berlina, naprzykład na strajk krawiecki, ułatwiający zarzucanie nas szytą tandetą berlińską.

Żydzi doprowadzają nas do ostatnich krańców cierpliwości. Nasza odwieczna tolerancya obliczona była na wszelkie inne rasy, tylko nie na Żydów. Ci nie stali się dotąd przyjaciółmi ziemi, są tylko przyjaciółmi siły.

---

13 lutego 1906.

Do nieznośnego stanu mych nerwów przyczyniła się także zmora, która nawiedziła mnie dzisiaj po południu, między 5-tą a 6-tą, gdym się rzucił na łóżko w swem mieszkaniu, aby odpocząć.

Nie zasnąłem, bom widział przed sobą swój pokój sypialny w rozmiarach prawdziwych i czułem się w stosunku zwykłym do przedmiotów otaczających. Zdawałem sobie sprawę, że leżę z rękoma splecionemi pod głową i że patrzę w jedne drzwi zamknięte, słabo bielejące, bo w sypialni było ciemno, dochodził tylko, przez drugie drzwi otwarte blady odblask lampy z sąsiedniego pokoju.

Myślałem mętnie, ale realnie o rozmowach z Piastem, o wypadkach dnia; wyraźna zaś myśl o Heli nie była mi przytomna, tkwiła tylko w mózgu, jako ból.

Nagle, na tle drzwi tych bladych stanęła Hela — — Nie weszła, nie uchyliła drzwi, w które

ciągle patrzyłem, lecz stanęła w całej postaci, w ubraniu, zdaje się, takiem, jakie nosiła podczas ostatniej naszej schadzki w Berlinie. Widziałem zresztą wyraźnie tylko jej głowę i gors, lecz wysokość jej od ziemi była normalna. Oczy jej patrzyły prosto we mnie, nieskończenie żałosne, nieznane mi z tym wyrazem, ale jej oczy, jej napewno.

Jedynym dowodem, żem śnił, byłby ten, że nie odrazu zerwałem się z łóżka. Ale samo porażenie przez ten obraz zjawiający się musiało wszelki mój ruch wstrzymać. Zdawałem sobie też sprawę, że gdy się ruszę, postać zniknie. —

Przez tę chwilę, którą obliczam na jakie dziesięć sekund, zdało mi się, żem usłyszał te słowa:

— Próżnia między nami...

Nie ręczę, żem usłyszał dźwięki, jednak poruszały się jej wargi, drgały oczy strasznem cierpieniem, a słowa te, nie inne, pojąłem uchem. Powiedziała po francusku, zwykłą naszą mową:

— *Le vide entre nous...*

Zerwałem się, patrząc ciągle w miejsce zjawy. Widziałem ją jeszcze, póki nie zabłysnął płomień zapałki, którą potarłem drżącą ręką o pudełko. Wtedy, razem z cieniami pokoju, znikła i postać Heli.

Poszedłem na to miejsce ze świecą, obejrzałem i całe mieszkanie — nic niezwykłego nie stwierdziłem. Zdawało mi się zrazu, że rozszedł się jej zapach po sypialni, ale uprzytomniłem sobie prędko, że zbliżam się do stołu, gdzie stoi we flakonie jej zwykły perfum, przezemnie kupiony.

Nie powiem, żebym doznał strachu, jednak bardzo silnego wzruszenia. Długo tkwiło we mnie niby wewnętrzne oniemienie i krew mi biła młotkami w skronie.

Czy ona mnie woła? czy tak gorąco o mnie pomyślała? Czy jej się stało co strasznego? Biłem się z myślami i przypominałem, com wiedział o telepatyi, com kiedy na sobie zauważył. Nigdy nie doznałem czegoś tak silnego na jawie. Bo przecie ani chwili nie spałem; obliczam pamięcią wszystkie moje ruchy realne, czas, miejsce...

Przyszło mi naturalnie zaraz do głowy, aby nocnym kuryerem pojechać do Berlina. Paszport mam gotowy. Ale kiedy zacząłem o tem myśleć, poczułem nagłe objawienie w sercu, że jej tam niema, że jest gdzieś w nieokreślonej przestrzeni, że może nie żyje?... To jednak być nie może! Skądżeby ona młoda, zdrowa, w spokojnym kraju?... Krańcowo rozstrojone mam nerwy — oto wszystko.

W tej rozterce poszedłem do Piasta, nie oznajmiając się uprzednio. Pomimo tego uchy-

bienia przyjętej u niego etykiecie, nadspodziewanie łaskawie mnie przyjął, jakby wiedział, że przychodzę nie do niego, ale z moją wewnętrzną męką szukać rady i pokrzepienia.

Odrazu przystąpiłem do spowiedzi:

— Przyszedłem prosić stryja o radę w sprawie osobistej i bardzo poufnej.

— Słucham cię, Tadeuszku.

— Ale mówić muszę o rzeczach, których nie miałbym prawa wyznać innemu człowiekowi. Mówić będę, jak do...

— Jak do ojca. Nie wstydź się dać mi to miano, którego słodyczy prawie nie zaznałeś. Jestem krewnym ojców twoich, a także rozumiem zapędy krwi młodej. No mów!

— Kocham jedną kobietę, cudzoziemkę...

— Wiem — oddawna, od kilku zaś miesięcy bliżej. Nie potrzebujesz nawet mi jej nazywać.

— Więc... ona jest daleko stąd, zawikłana w różne knowania niebezpieczne, pod wpływem ludzi niepewnych... Mam względem niej obowiązki...

— Nie masz obowiązku, synu. Obowiązki nie rodzą się z wspólnictwa grzechu. Chybabyście dali początek nowej istocie, niewinnej. Ale przecie nie?

— Ach, nie. Tylko ona potrzebuje pewno mojej pomocy, obrony... Kto inny mógłby się

śmiać ze mnie, ale stryjowi opowiem, bo mnie zrozumie.

I opowiedziałem moje przejmujące widzenie.

Piast słuchał uważnie, pilnie nawet. Gdy skończyłem, utkwił oczy tak wymowne w ciemny kąt pokoju, żem podążył za kierunkiem jego spojrzenia, jakbym tam miał ujrzeć znowu coś niezwykłego. Patrzył jeszcze — — nareszcie się odezwał:

— Możeś wyzwolony, synu...

— To znaczy, że stryj przypuszcza?...

— Gdyby tak było, opieka Boża jest nad tobą. Ściśnij teraz serce rozkołatane i bądź nareszcie mężczyzną i Polakiem.

— Ależ ona może w niebezpieczeństwie? może mnie woła? — Ja przecie jej coś winienem, poniekąd do niej należę — — rozumie stryj?

— Rozkoszą należeliście do siebie; duszami? — nie sądzę tak źle o tobie. Jeżeli przyszła do ciebie jej dusza, to już odłączona od ciała. Przygotuj się na to, synu. Inni tracą czyste żony, matki — a nie kładą nawet żałoby, jeżeli pod ten czas woła Matka najwyższa. Tak czynili wielcy Rzymianie i dawni Polacy.

— Ależ ona żyje może? i pewno żyje? — Ja ją mogę rozwieść, poślubić, wyprowadzić na dobre drogi... To kobieta dużej siły!

— Nie wierzysz w to, co mówisz. A ja ci powiadam: dzisiaj wybiła godzina waszego rozłączenia.

Siedziałem przybity, wpatrując się w tego chorego mocarza. Położył mi rękę na ramieniu:

— Czyń pokutę, synu, a myśl swą podnieś do rzeczy wiecznych.

Przesiedziałem tam aż poza godzinę odjazdu pociągu do Berlina.

---

15 lutego 1906.

Gazety dzisiejsze podają depeszę z Berlina:

»Dnia 13 lutego w godzinach popołudniowych dokonane zostało tajemnicze morderstwo na osobie młodej i pięknej baronowej von P. w mieszkaniu jej przyjaciółki pani von B., podówczas nieobecnej. Trupa baronowej znaleziono dopiero nazajutrz rano, w mieszkaniu zamkniętem, na skutek usilnych poszukiwań męża i ojca zmarłej. Pani von P. poniosła śmierć przez uduszenie.

Przypuszczają morderstwo partyjne z powodu, że baronowa brała czynny udział w życiu politycznem. Sprawcy dotychczas nie ujęto. Podejrzenie pada na pana M. C. tenora opery. Rabunku nie stwierdzono.«

Tak — to niewątpliwie ona — Hela!

Udział w polityce - mieszkanie to przy-

jaciółki, w którem widzieliśmy się — czas morderstwa: 13 lutego po południu, gdy miałem owo widzenie — —

Nawet przypominam teraz: widmo jej miało obie ręce wzniesione do szyi. —

---

17 lutego.

Sam się sobie dziwię, jak mi zimno w sercu, jakie przyszło na mnie śmiertelne ukojenie. — — Żeby zasnęła cicho i naturalnie, pisałbym zapewne poemat. Żeby padła ofiarą walki za ideę, wreszcie przypadku wynikłego z narażenia się na niebezpieczeństwo w celu szlachetnym, — ceniłbym ją jako bohaterkę, płakałbym po niej, jak po straconej połowie życia. Ale mnie tylko zgroza przejmuje na wspomnienie, z kim związane były moja swoboda działania, moje upragnienia i obowiązki.

Bo wszystkie wiadomości, które nadchodzą, świadczą, że nie zginęła ona z mojem imieniem na ustach, a jeżeli dla idei, to także nie dla naszej. Zresztą, to mieszkanie niby konspiracyjne, właściwie zaś urządzone na schadzki — to przyczepione do legendy nazwisko tenora — ta śmierć ohydna przez uduszenie — wszystko plami tylko jej pamięć publiczną i moje wspomnienie o niej.

Wprawdzie ostatnia depesza z Berlina donosi, że śledztwo sądowe usunęło podejrzenie padające na owego tenora, który tego dnia nie był na miejscu morderstwa, — że baronowa padła ofiarą jakiejś organizacyi antysemickiej (?) — — Ale ta depesza, powtórzona w jednem brzmieniu przez dwie agencye, pachnie mi nadto robotą i pieniędzmi Latzkiego w celu osłonięcia ohydnej rzeczywistości.

Gdybym mógł zagrodzić drogę do mej świadomości tym szczegółom, tej gazeciarskiej »senzacyi«, a rozpamiętywać tylko nagi fakt odejścia Heli! Pozostałaby żałość ze zniknięcia tej piękności, tej potęgi rozkosznej, przez naturę stworzonej na marne i na przepadłe. —

Gdy ją przypomnę! — — We snach mi jeszcze żyje — — I budzę się w zimnym dreszczu nie dlatego, że ciało to już zmarło, lecz żem kochał taką istotę — — —

Jedyne moje usprawiedliwienie, żem ją sądził inną, żem jej wierzył — — Czy wierzyłem? — —

To ja pohańbiony zostałem przez tę śmierć sromotną, mój rozum, moja duma, moja wiara.

---

22 lutego 1906.

Zniosłem i przeżyłem całą rozmowę, którą tu zapisuję.

Zjawił się wieczorem w mieszkaniu mojem Tomiłow. Z trudnością go poznałem, tak zmienił swą powierzchowność przez ogolenie brody i różne przeistoczenia postaci, która obecnie mogłaby należeć do amerykańskiego handlarza, lub do kata. — Wszystko jedno, jak wygląda. Co mówi!

— Jaszczyki z orężem przewieźli my — zaczął — hu! życie tam!...

Zapomniałem był i o tej wyprawie i wogóle osoba Tomiłowa zmalała mi w pamięci wobec tragicznych wieści, w których nie było jego nazwiska. Nie domyśliłem się! — —

Dopiero w chwili, gdym zobaczył przed sobą te oczy bezczelne, prawie śmiejące się, poczułem nagły wstręt, czy gorączkową ciekawość do tego zwierzęcia, siedzącego po drugiej stronie mojego biurka, spokojnie. Za-

pytywałem widać wymownie oczyma, bo Tomiłow odpowiedział, zanim ja przemówiłem:

— A baronesa drań była...

Pohamowałem w sobie wszelkie względy przyzwoitości i oburzenia, czując wyraźnie odtąd, że nie mówię z towarzyszem, z człowiekiem, lecz z nieobliczalną bestyą.

— A wy wiecie coś nowego o tem morderstwie? — zapytałem.

— Słyszał ja... — odpowiedział z ohydnym uśmiechem. — U was niema nikogo na kwaterze?

— Jesteśmy sami.

— Ja i przyszedł powiedzieć wam całą prawdę, tak jako wy człowiek partyjny, a śledztwo, chociaż ja jego zaplątał, może przyjść i tutaj. Trzeba być przygotowany.

— Skądże pan wiesz to wszystko?

— A wot — — ja sam musiał z nią pokończyć.

— Pan ją... zabiłeś?!

— Ja.

Zerwałem się z miejsca z zaciśniętemi pięściami:

— Jak pan śmiesz przychodzić z tem do mnie?!

Tomiłow ani drgnął, ani powstał. Śledząc tylko uważnie moje ruchy, odezwał się po rosyjsku:

— *A wam czto?* — — —

Usiadłem, odwracając się od potwornego gościa. Czy go wyprosić natychmiast? czy wypytać do końca? — — Właściwie wiedziałem odrazu, że muszę wysłuchać.

Tomiłow zaczął piewszy perswadować najspokojniej:

— Nu, krewna wasza była... taka ona i krewna! Nie jaby z nią pokończył, drugiego trzebaby podesłać. Jaby i jej papaszę!... tylko że on nie chodzi po lokalach tajnych — — To Żydy przeklęte; oni we dwoje nam tacy przyjaciele, że za Żydów nas i powiesić daliby — — — Ja pisma mam, dokumenty — — A ona, ptaszka ładna, mnie także obraziła.

— Jakżeż to? — mruknąłem przez zęby, wstydząc się sam siebie i swej ciekawości.

— He, he — zaśmiał się bezecnie Tomiłow — Jakie mnie ona słodkie słóweczka mówiła jeszcze w Warszawie! jaki to ja był pierwszy i bohater i czort wie co! A ona tut-że i od Czeremuchina nie precz była i z wami na pewno kokietowała?

Czarne otchłanie zdrady i przewrotności otwierały mi się przed oczyma jedna po drugiej w miarę jak mówił ten kat. Nie chciałem przynajmniej dawać mu o sobie powiadomień.

— Nie — odezwałem się — mnie łączyły z baronową tylko stosunki polityczne i towarzyskie.

— Nuu już... — odrzekł Tomiłow przecią-

gle, niedowierzając, albo tolerując możliwość dawniejszych moich praw do Heli.

To zwierzę pozwalało mi! — — Gadał dalej:

— Ale już w Berlinie sztuka nadto podła. I mnie nie oszukasz! Ona ze mną romansuje w hotelu, w powozie, gdzie popadnie. A na jej sekretnej kwaterze u przyjaciółki jawi się tenor, Mozes Coleoni, Żyd także — tfu! Ja ją tam i podpatrzył. — Ot został ja kilka dni dłużej, to jej i główka boli i nie może ona kompromitować się, bo u niej czyn dworski i mąż i ojciec. — »*Ja smiryłsia*«. — Niech ciebie główka boli, gołąbko, niech tobie twój czyn i obowiązki, — a ja popatrzę, gdzie ty chodzisz od rana do nocy i jakie twojego papaszy czucie z tobą i do naszych interesów. — Tak ja za nią pocichońku — jedna linia tramwajowa, druga linia, placyk, brama, schody na lewo — — Dwa razy tam pośpiała być, niegodiajka! Nu, na trzeci raz, tak ja już tam pojawił się.

Zimny pot wystąpił mi na czoło, bom znał i ten adres skomplikowany i ten lokal. Krwawa scena odbywała się jakby przedemną. Patrzyłem już wprost na mordercę, a on podniecał się w opowiadaniu, zauważywszy swój magnetyczny wpływ na mnie.

— Ja już pożegnał się z Helą, już mnie w Berlinie oficyalnie nie było — już i z ho-

telu wyjechał na kolej, a czemodanczyk oddał ja jednemu ze swoich ludzi, którzy mnie po części politycznej pomagali. A na którą godzinę Hela zakazała do siebie mossie Coleoni, to ja wiedział z drugiej sprawki. Tak ja Żydu dał wiadomość po telofonie, żeby on nie przychodził. Nu, Żyd powierzył — jego szczęście! I ja przyszedł na rande-wu punktualnie o godzinie naznaczonej — —

— I któż panu drzwi otworzył? — zapytałem, wzdrygając się — służąca?

— Nie — ona sama. Już ja pierwej przeniuchał wszystkie maniery w tym »konspiracyjnym lokalu«. Tam ja ją i położył na łóżeczku...

— Co? jak? wystrzałem?!

— A u mnie rączki od czego? — — —

Nie wiem już, jak się zachowywałem dalej: czym tak zbladł, czy wstał, czy minę miałem rozpaczliwą? — dość, że Tomiłow przerwał opowiadanie. Zaczął jednak:

— Zatrwożyła się trochę, biedna — dziwne jej było, że ja — nie tamten — — Nu, ja nie odrazu — — — I dosyć dla was, bo wy człowiek nerwowy.

Milczałem długo, ściskając oburącz głowę i nie patrząc na Tomiłowa. Odezwał się po chwili śpiewnie i prawie łagodnie:

— A krasawica była sławna!

Oprzytomniałem i zapytałem szorstko:

— W jakim celu opowiedział mi pan to wszystko?

— Cel i prywatna i polityczna, bo dzieło ważne. Latzki z córką zdradzali naszych. Ot u mnie dokumenty ciekawe: pismo Latzkiego, rakalii, do Sankt-Petersburga, a on przez Helę wiedział...

— Nie chcę żadnych dokumentów; proszę mi ich nie pokazywać.

— Jaż ich wam nie zostawię. Chciał tylko pokazać, że trzeba było.

— Nie wiem. Jutro wypiszę się z partyi.

Tomiłow spojrzał na mnie dziko i przebiegle:

— Mnie wszystko równo. Tylko jeżeli byłoby śledztwo tutaj, wy po mojej stronie?

— Bądź pan pewien, że pana nie wydam.

— Nu wot.

Wstałem, dając znak, że czekam na jego odejście. Powstał i on i tłómaczył się jeszcze, bardzo zimno, z miną wyższego nad przesądy człowieka:

— Widzę, że zrobił ja wam nieprzyjemność. — Cóż? — trzeba było. Napróżno ona, Hela, przechytrzyć probowała ruskiego rewolucyonera.

Milczałem, wypraszając go oczyma. Nie podałem mu ręki, oczywiście. I on nie zda-

wał się tego pragnąć. Odszedł wolno, bez ukłonu, rzucił tylko tyle na pożegnanie:

— A wy — małe ludzie...

— Poszukaj pan większych między swoimi.

— I poszukam. —

---

25 lutego 1906.

Jedyna moja ucieczka i ostoja w Warszawie, Wojciech Piast wyjeżdża!

Zastałem go porządkującego papiery, palącego niektóre. Zdrów już, wyprostowany, i dzwoni krokiem po swej izdebce, jak wódz przed walną rozprawą. Wybiera się znowu gdzieś w swą wieczną podróż »do braci potrzebujących« — jak mówi. Właśnie teraz, gdy ja go najbardziej potrzebuję, gdym się już przyzwyczaił do myśli, że go mogę odnaleźć w tej cichej postaci Krotoskiego, gdy na świecie nikt, oprócz niego, nie napełnia mi serca ufaniem w możliwą przyszłość — wyjeżdża!

Trudno — musi. On wie zawsze, co ma czynić, dokąd dąży. Tylko ja nie wiem.

Ale ujął mnie za serce swem obejściem ojcowskiem i wyjątkowo czułem. Czy go kto powiadomił o wszystkich mękach, które przeżywam? Ale któżby? — — Zna tylko nagi fakt

owego ohydnego zabójstwa, nie może wiedzieć o nękających mnie szczegółach i komplikacyach.

— Gdy mnie już nie będziesz miał przed oczyma, synu, czyń zawsze, jakbyś stał przedemną. Ja ścigam cię duchem moim ciągle. Pamiętaj o tem, choćby ci powiedziano, że niema mnie już pośród żyjących — —

— Ależ stryju!...

— Tak. — Słowa moje, któreś uchwycił, chowaj. Mało ich usłyszałeś odemnie bezpośrednio w tych czasach, gdy przemaga ciemność. I mnie duszno, i ja mam zbyt wiele do zniesienia ciężarów, większych, niż twoje, choć ci się twoje wydają nieznośnymi. Tobie, jednostce, stała się krzywda zbawienna. Nam, milionom, dzieją się krzywdy zabójcze: systematycznie wszczepiają nam w organizm jady. Ale my nie umrzemy, bo Duch Najwyższy prowadzi swój legion z pośród nas wybrany, prowadzi przez ciemność; a gdy się stanie światło, będziemy w nie obleczeni, jakoby w nową purpurę...

Tak mówi i wybiera się gdzieś ze srogim marsem na czole, z iskrą tak młodą w oczach, że mu jej zazdroszczę.

Czy on bredzi? — — To mi wszystko jedno! Gdy słyszę kochaną jego brednię, wierzę w życie. Gdy wezmę na rozum swój, lub nasz partyjny, nowopolski, postępowo-międzynaro-

dowy — przychodzi mi na myśl w łeb sobie strzelić.

Podczas rozmowy przyszło mi nagłe postanowienie:

— Pójdę za stryjem, gdzie mi rozkaże. Może się przydam na co?

Piast ujął się pod boki i wysoką swą, żołnierską postać tak ułożył, jak szef lustrujący rekruta.

— Zawcześnie, synku, jeszcześ nie gotów. Jeszcze masz w mózgu czady twych robót i perfumy twych zapędów. Ja zresztą idę teraz w drogę, w którą cię wziąć nie chcę — — —

Musi wiedzieć?...

Chciałem się upewnić, że go jeszcze zobaczę przed wyjazdem. Odpowiedział wymijająco. Gdym odchodził, przeprowadzał mnie oczyma temi naczelnemi, których się nie zapomina. Pamiętam wszystkie jego postacie: i tę wymarzoną z lat moich dziecinnych — i tę szyderczą z Hagi — i groźną z czasów wielkiego strajku — i dzisiejszą przychylną, ze łzą męską, powstrzymaną w dobrotliwym skurczu orlich oczu. — —

Ciągle tak stoi i trwa nademną.

---

26 lutego.

Teraz przyjechał Latzki do Warszawy:

Inny to pan, niż ów humanitarny działacz i do wczoraj nasz przyjaciel! Zranione serce ojca nie usprawiedliwia postawy, którą przybrał.

Chociaż sprawca morderstwa zagmatwał pozory i zatarł ślady, Latzki zgadł instynktowo, że zabójca przybyć musiał do Berlina ze wschodu i na wschód odjechać. Tylko zemsta Latzkiego, okrutna, prawdziwie starozakonna, idąc po omacku za instynktem, pożrećby chciała naraz całe tłumy, w których przypuszczalnie znajdować się ma zabójca. — I taką nawet furyę możnaby zrozumieć w człowieku zranionym do żywego — wyjątkowo bowiem kochał córkę — ale Latzki zrzucił, jak pożyczone stroje, wszystkie swe »polskie« tradycye, swe zabarwienie socyalistyczne, swe sympatye dla rewolucyi. Udał się poprostu do władz rosyjskich, otoczył się policyą, sprzymierzył się z biurokracyą.

Ciężką miałem z nim rozmowę w tym samym hotelu Bristol, gdzie niedawno pachnęły zawrotowe perfumy Ileli. Pośpieszyłem zaraz skoro mi dał znać o swoim przyjeździe; ze wszech miar wydało mi się to stosownem i koniecznem. Szedłem naprzeciw badaniom, które przewidywałem, uzbroiwszy się w całą ostrożność.

Zacząłem od kondolencyi. Wysłuchał mnie Latzki w milczeniu, obserwując jak podsądnego. Żadnych rozrzewnień, ani śladu tych okrągłych, dyplomatycznych frazesów, którymi mnie traktował dawniej. Zawzięty, świadomy swej żądzy i siły pruski Żyd patrzył na mnie tylko jako na źródło możliwych powiadomień.

— Należał pan do przyjaciół tej męczennicy za sprawę waszą. Pamięci mojej córki winien pan teraz pomoc w wyszukaniu i ukaraniu potworu, który ją zabił. Ten potwór jest między wami — — —

I takie w oczach błyski nienawistne, jakbym ja mógł być posadzony o udział w morderstwie. Odpowiedziałem dość skromnie, ze względów taktycznych:

— Czyż pan przypuszcza, że ktoś stąd mógł się dopuścić tej haniebnej zbrodni?

— Jestem pewien. Tylko u was może się gnieździć taki zwierzęcy antysemityzm, między waszymi narodowcami!

— Tylko u nas?! — zadziwiłem się.

— A gdzież zatem? przecie nie w Berlinie, nie w Europie — tylko u was, w Moskwie, w Białymstoku, czy w Warszawie, na tym wrogim wszelkiej cywilizacyi Wschodzie, w którym grzęźniecie, choć się mienicie europejskim narodem!

Winszuję sobie, żem się wstrzymał od dyskusyi, jakąby w innych warunkach przeprowadzić należało. Z tym Latzkim, któregom poznał dzisiaj, trzeba mówić, jak z niebezpieczną siłą.

Zwróciłem inaczej rozmowę:

— Skąd pan właściwie wnosi, że fanatyczny antysemityzm był przyczyną zbrodni? Czy są tego poszlaki?

— Pan dobrze wie, że nie mogło być innych pobudek. Głupie bajki rozsiane przez niektóre dzienniki o tragedyi miłosnej nie dają możliwego tłomaczenia. Wie pan również, że wielka nieboszczka pracowała usilnie nad przyznaniem sprawiedliwości tej dobroczynnej rasie, której praca i geniusz są od wieków pochodniami ludzkości, chociaż ludzkość płaci jej od wieków czarną niewdzięcznością.

Wierny przyjętej taktyce, nie spierałem się. Te zresztą teorye ogólne, z których składałem sobie nową, odsłoniętą postać Latzkiego, nie były jemu celem rozmowy. Przyjechał tu nie na akademickie ze mną rozprawy; przy-

jechał, aby tropić, dowiedzieć się i zemścić. Żądał odemnie wyraźnie pomocy w tej akcyi:

— Liczę na to, że mi pan nazwie wszystkie znane mu osoby, które w ostatnich tygodniach tajemnie i pod cudzemi nazwiskami wyjechały stąd do Berlina.

— Tego z wielu względów uczynić nie mogę, a najprzód dlatego, że od czasu mojej podróży nie zajmowałem się prawie wcale polityką czynną, nawet w tych dniach wystąpiłem z partyi.

Latzki spojrzał na mnie, jak sędzia śledczy, któremu wymyka się z rąk świadek.

— Aha — nie może pan? — — Jednak dla sprawy takiej, jak wykrycie zabójcy pani baronowej Paugwitz, dobrodziejki waszej, mógłby pan coś uczynić? — — Podejrzenie nie pada chyba na towarzyszów pana partyjnych? — co? — — więc o innych chodzi — — I tych mi pan nazwać nie może? — —

— Excellencyo! gdybym znał zabójcę, możebym przezwyciężył swój generalny wstręt do delatorstwa. Ale ponieważ go nie znam..

— Tak, tak, rozumiem — rzekł Latzki z obrzydliwą goryczą — szlachetność wrodzona pańskiej rasie — rozumiem. Odsyła mnie pan do policyi — nie omieszkam jej użyć. Policya oczywiście działać będzie po

swojemu: zaaresztuje całe szeregi osób podejrzanych, przedewszystkiem tajemniczą jedną postać, o której niegdyś mówiliśmy w Hadze — — starego krewnego pana — — który tu jest, jak pan to musi zapewne wiedzieć?

— Oddawna go nie widziałem — rzekłem, blednąc zapewne, bo Latzki spostrzegł moje zmieszanie.

— Widzi pan... możnaby oszczędzić staremu krewnemu nieprzyjemności, gdyby śledztwo skierowane zostało gdzieindziej — — ale skoro zasady nie pozwalają mieszać się panu do poszukiwań, musimy zaczynać od dowódców — — Pan Piast nie jeden kryminalny zarzut ma w swych aktach...

Namacał ohydny badacz najczulsze miejsce mego sumienia. Mogłem, rzucając policyę śledczą na trop rzeczywisty, uwolnić zapewne Wojciecha Piasta od niebezpiecznych opałów. Jużci ze sprawą zabójstwa Heli nie ma Piast nic wspólnego, ale gdy się teraz dostanie do więzienia...! Próbowałem dyskutować spokojnie o tym nikczemnym projekcie:

— Tu znowu ja muszę zauważyć, że pan Piast nie może być żadną miarą zamieszany do zbrodni berlińskiej. Excellencya także jest o tem chyba przekonany?

— Ale pan Piast wie zawsze wszystko — —

pan Piast jest odpowiedzialny za wiele zbrodni natchnionych przez jego teorye.

— Wątpię — odrzekłem twardziej — jego teorye są może niepraktyczne, ale czyste.

Latzki stanął przedemną w postaci, która narysuje mi go w pamięci na resztę dni moich. Jego powaga wydała mi się nagle tylko pychą, opancerzoną złotem i poparciem możnych; jego oczy krwią zabiegłe może kochały niegdyś coś, co było nim samym, jego córką, jego plemieniem; ale teraz mówiły tylko o nienawiści do wszystkich ludzi, po za rodzajem Sema istniejących. Głos zadźwięczał bojową namiętnością.

— Słuchajcie nadal waszego Piasta i jemu podobnych! Trzymajcie z umarłymi! Swiat pójdzie dalej swoją drogą po trupach waszych. — Nie będę pana już przekonywał. Skoroś pan, korzystając z wyjątkowych względów takiej kobiety, jak moja córka, pozostał obrońcą wstecznictwa, nie weźmiesz pan udziału w przyszłej uczcie ludzkości. Dobrze mówiła mi moja biedna i święta zmarła, że pan zaledwie rozumiesz nowy ustrój świata, przez nas przygotowywany, lecz nie jesteś pewnym sprzymierzeńcem do pracy odrodzenia.

— Rzeczywiście nie jestem sprzymierzeńcem do wszystkiego.

Na tem przerwała się nasza rozmowa.

Bezpośrednio po niej poszedłem chyłkiem do mieszkania Piasta. Pukałem napróżno. Stróż nie mógł, czy nie chciał mi udzielić żadnych objaśnień, zapewniał tylko, że pan Krotoski już tu nie mieszka.

——— ———

27 lutego.

Wojciech Piast aresztowany został wczoraj, przed rozmową moją z Latzkim! Nasz protektor wiedział o tem, gdy mnie badał dodatkowo — to niewątpliwe. Ręczę nawet, że z jego delacyi nastąpiło aresztowanie Piasta i wielu innych, oraz rewizye po mieszkaniach dzisiejszej nocy. Więc to już wróg otwarty — i nie udaje nawet przyjaciela. Otoczył się wartami i występuje w charakterze urzędowego inkwizytora; widziano go dzisiaj w mundurze pruskim i w towarzystwie urzędników tutejszych.

Ostatnia to kartka pamiętnika w Warszawie. Ja sam nie mogę być pewien godziny.

Kraków, 15 marca 1906.

Nie czynię sobie wyrzutów, że uciekłem, bo tam już niema nic uczciwego do roboty. Wybory do prześwietnej prawodawczej Dumy obejdą się bez mojego udziału. Owoce ruchu wolnościowego ograniczyły się do tej problematycznej perspektywy, a rewolucya czynna zwyrodniała w chaotyczny rozbój.

Uciekłem wreszcie dlatego, że bezwarunkowo lepiej czekać na wypadki pod wolnem niebem, niż w więzieniu, do którego mam niektóre kwalifikacye. A i bez dowiedzionej winy można się dostać do więzienia i jeszcze dalej.

Piast tam siedzi; nie mogłem nawet dowiedzieć się, gdzie go zamknięto. Szukać go nie mam już przez kogo — Tomiłowa, ani Latzkiego już o pomoc nie poproszę! Tem bardziej uwolnić Piasta nie jestem w stanie; sam tylko zawikłałbym się, bez pożytku. — Ten drogi, stary krewny! — — Mam tylko

dziecinną nadzieję, że on zginąć nie może, że on zawsze trwać będzie, póki ja żyję, a nawet — póki my żyjemy — — —

Cisza Krakowa murowana i dostojna, jak pomnik grobowy w pięknym kraju. Zawszem kochał tę ciszę romantyczną, nawiewającą dumne i smutne pieśni. Dzisiaj milsza jeszcze po piekielnym zgiełku warszawskim, tęskniejsza jeszcze po zawodach tamtejszej walki. — Po zimie, pełnej błota i krwi wiosna tu już przeciąga tatrzańską wonią i rozrzedza stęchliznę wspaniałych murów. Rumienią się wesoło w karbowanym białą przesłoną błękicie kołpaczaste wieże Panny Maryi, pyszni się kunsztowna szkatuła Sukiennic, każdy budynek na Rynku śmieje się twarzą osobliwą, noszącą w rysach cechę polskiego szlachectwa. Budowana góra Wawelu wydaje się starą jak nasz świat, współczesną zielonym olbrzymom legendarnych kopców. I rzewnie, aż do łez, wypływają z wieków godziny, otrąbione przez górne hejnały.

Nie śmiem wmieszać się w ciurkające tu pomiędzy staremi pamiątkami poniki życia nowego, ani dać się kołysać snowi dawnej chwały, który tu osiadł na wieżach i murach. Czuję się prawie wygnańcem między swoimi — tyle mych pragnień i umiłowań pozostało tam, w Warszawie, przywartych do

tamtych krwawych bruków i więziennych murów!

Można tu przecie żyć i rozwijać się, jak tego dowiedli różni dzielni obywatele; można tworzyć wspaniałe dzieła sztuki, jak niejeden mistrz okazał — — Ale nie dla mnie to życie i twórczość. Pełno jeszcze zgiełku mam w głowie, śnią mi się nocami galopy wojska po bruku, krzyki swawoli i rozpaczy, trzaski browningów, salwy karabinów i okrutnie ślepe grzmoty bomb. Do innego świata dążyłem jeszcze wczoraj, przedzierając się przez kurzawę krwawą, poza którą miał być kraj szczęścia ludu i mojego szczęścia. Na obu drogach spotkałem nietylko zupełny zawód, ale tragedyę najcięższą, bez piękna w tragiźmie — obrzydzenie do robót i osób z niemi związanych. Żeby choć jeden bohater przez mękę swą rozbudził nową wiarę! Nie — zmarniało tylko i zginęło wiele drobnych głów i rąk, w innych warunkach użytecznych. — —

Żeby ta Hela była inna, żeby chociaż inaczej umarła! — —

W łunie pożaru, w fałszywych blaskach rewolucyi ludzie wydawali się większymi; pożar dziś gaśnie i ci sami ludzie są tak drobni, jak i przedtem. Ci, którzy polegli, mają przynajmniej symboliczną wartość ofiar; ich nazwiska coś znaczyć będą w rojeniach przyszłych pokoleń. Ale ci, którzy przeżyli, są

przerażająco mali. I ja znajduję się oczywiście w tej ostatniej kategoryi.

Ze znajomych moich dwaj tylko ludzie, krańcowo różni między sobą, zachowali swe rozmiary niepospolite: Latzki i Piast. Jednemu »wiedzie się« — jak mówi pospólstwo, — chociaż duszę ma zatrutą przez gorycz i zemstę; drugi uwięziony i pozornie bezsilny, choć duch jego szeroko, szeroko rozkrzewia swe wpływy. Ktokolwiek zobaczył i usłyszał Piasta, pamięta go na zawsze, i czy go ma za starego dziwaka, czy za apostoła wiecznych idei, liczy się z nim, jak z głosem sumienia. Chyba że jest wyznawcą instynktów zwierzęcych podniesionych do godności rozumu — — wtedy nienawidzieć może Piasta, a uwielbiać Latzkiego. Tylko nie przypuszczam, aby kto mógł jednocześnie cenić i naśladować tych obu? — —

Owszem — ja byłem takim okazem człowieka przez długie już lata mego życia. Muszę przyznać się do tego. Żyłem dla chleba i dla Słowa, dla rozkoszy i dla obowiązku, dla siebie i dla ludzkości. Gdybym w równej mierze wahał się między tymi przeciwnymi biegunami, byłbym zerem. Ale ponieważ żyłem raczej dla chleba, dla rozkoszy i dla siebie — mogę się pocieszać, że byłem czemś wyraźnem: poszukiwaczem własnej korzyści w rzekomym dobrobycie mas i kochankiem

pięknej, a zwodniczej kobiety. Te dorobki nie starczą za tytuł obywatela, ani są nawet zapasem na zadowolenie reszty życia; we wspomnieniach gorzkną i niepokoją.

Byłoby może inaczej, gdybym oddawna poszedł za Piastem? — —

Teraz już zapóźno. Piast uwięziony, oskarżony i sądzony przez wrogów może już nie wydostać się na wolność. Latzki zdaje się z nim mieć rozmaite dawne porachunki i posiada nadzwyczajne wpływy u władz rosyjskich. — Życiu czcigodnego stryja nie grozi niebezpieczeństwo, bo nietylko w zabójstwie Heli, ale w żadnej zbrodni ten człowiek nie mógł brać udziału. Ale czy jego procesu nie zechcą sędziowie i delatorowie przeciągać do nieskończoności, aby go tym chociaż sposobem obezwładnić?

Gdybym nawet gwałtem chciał od dzisiaj zostać pożytecznym i czynnym członkiem społeczeństwa, nie mam sposobu w ręku, nie mam fachu. Przestałem od paru lat pisać po literacku, a gdybym chciał rozpocząć na nowo, nie znalazłbym ani potrzebnego spokoju, anibym się zdobył na ów silny nakaz twórczy, bez którego dzieło sztuki nie powstanie. Nawet technikiem kolejowym nie jestem i nic w tym wydziale stworzyć nie potrafię; wykonywałem przez lata funkcyę, którą maszyna do pisania, prowadzona przez bylekogo, mo-

głaby wykonać. Zajęciem mojem głównem, moją rolą w społeczeńswie jest od lat kilku bezsilna, zależna, papierowa polityka. Gdybym nawet wierzył, żem coś w tym kierunku osiągnął i nadal osiągnać mogę — niepowodzenie ogólne wyrzuciło mnie poza granice terytoryum, do którego praca moja była zastosowana. Tutaj rozpoczynać akcyę inną, albo stąd przemycać trochę druków do Warszawy? — na to mi brak już zapału.

Od czasu przyjazdu do Krakowa włóczę się z kilku znajomymi, przeważnie z rozbitkami z Warszawy, po malowniczych ulicach i zakątkach, po zieleniejących już Plantach, i oddycham fizycznym spokojem, który mi jednak wewnętrznego spokoju nie zastąpi. Trochę mi cieplej, trochę wygodniej, ale czuję się starszym i mniej do życia ochoczym. Łowię wiadomości z Warszawy o stanie umysłów, o naprężeniu sil do walki przyszłej. Wszystko się kurczy, albo rozprzęga. Już zaczynają po gazetach traktować rewolucyę jako szczytne wspomnienie i obliczać jej wartość dla przyszłej historyozofii i sztuki. Bandytyzm, urodzony ze źle zasianych ziarn socyalistycznych, podaje rewolucyę w ohydę u wielu, kompromituje szlachetne nawet dążenia partyi skrajnych. Rozpowszechnia się mniemanie, że prawdziwa rewolucya już minęła, że wstąpiła w fazę konstytucyonalizmu. Tymczasem

rozbestwienie instynktów rabunkowych i krwiożerczych, rozpasanie młodziezy, rozwielmożnienie taniego frazesu — dają ciągłe preteksty ośmielonej starej władzy do przywracania porządku. A porządek, który nadchodzi, wydaje się strasznie podobnym do przedrewolucyjnego.

Czyżbyśmy te ogromne ofiary, tę ruinę ekonomiczną, tę krew, ten zapał zmarnowali tylko na próbę, jak mogłaby się udać rewolucya socyalna i polityczna w Rosyi?

Inaczej, samoistniej trzeba było przygotowywać ten przewrót wewnętrzny: rozbudzić w ludzie żywotne, nie zaś mordercze instynkty, wzmagać w nim miłość, nie zaś nienawiść. Miłość bowiem trudna jest do zaszczepienia, ale zawsze owocna; nienawiść łatwa do zasiania, lecz plami i wyjaławia gniazdo, gdzie się wylęgła. Bywały w dziejach święte wojny, ale nie było nigdy świętych grabieży, ani mordów — — —

Ależ to wszystko mówił Piast!

Kraków, 1 kwietnia 1906.

Przyjechał Wiśniakowski z ważnemi nowinami z Warszawy. Sprawa Piasta toczy się przed sądem wojennym.

Odłączono ją zupełnie od zabójstwa berlińskiego, w którem Piast nie mógł oczywiście mieć udziału. Delator Latzki, oskarża jednak Piasta o cały szereg rzekomych zbrodni Stanu, powołując się na świadectwa i dokumenta, dostarczone z Berlina.

Ale i z Warszawy pociągnięto do świadczenia wiele osób, między innemi i niewinnego pod każdym względem Wiśniakowskiego z naszego biura, który tym sposobem był obecny przy kilku scenach i konfrontacyach znamiennych. Opowiada chaotycznie i z niewczesnym zapałem do swojej roli, jednak nachwytał dużo wiadomości. Teraz dano mu już spokój, pogardziwszy zapewne drobnym świadkiem. Ale on skorzystał ze swej »kompromitacyi

politycznej«, aby przyjechać tutaj i udawać wygnańca. Niezły człowiek, tylko śmieszny.

Powoływano i naczelnika Słomińskiego. I ja otrzymałem pozew do sądu. Szukają mnie.

— Uważacie, kolego — opowiadał po swojemu Wiśniakowski — musiałem sobie stworzyć... panie tego... plan — o! Niby Piasta nie znam, tylko mam o nim najlepszą opinię — o! I Piast jest już człowiekiem przeżytym, należącym do przeszłości.

— A naprawdę znaliście Piasta uprzednio?

— Byliśmy, panie tego, w korespondencyi... Ale widzieć go — nie widziałem.

— Teraz zaś widzieliście go?

— Jakżeż! przy śledztwie, w dziesiątym pawilonie! W kancelaryi — tej sławnej! — badał oficer żandarmeryi i prokurator cywilny. A ja stałem tak — na lewo, kiedy jego wprowadzono. — Tęgi dziad! w surducie starożytnym, jak te — wiecie? — ze stu portretów litografowanych powstańców — czub srebrny, wąsy ciemne, prosty, suchy, spokojny — malowaćby go, panie tego.

— W kajdanach?

— Nie — strzeżony tylko zblizka. — Bo to jest tak, widzicie: oficer, który prowadził śledztwo, rozkazał: »Podać mnie numer 44« — niby jego, Piasta.

— Miał numer czterdzieści i cztery?!

— A tak. Więc wszedł najprzód podoficer, za nim żołnierz pod bronią, dalej on, na końcu znowu żołnierz. Ja, panie tego, nie pozdrowiłem go, nie poznałem, gdy mnie zapytano, czy znam — powiedziałem tylko swoją o nim opinię — o! Ze słyszenia, z ust obywateli poważnych i starszych — — Mówiłem, zdaje się, dobrze, panie tego, sekretarz pilnie notował w protokole.

— Ale cóż mówił Wojciech Piast?

— Jakoś ze mną nic — zaciął się. Tylko, gdy skończyłem, panie tego, skinął mi głową powoli, z uśmiechem — o tak. — Oczy ma jak świdry, ten stary! Mówię wam, pokochałem go za to jedno spojrzenie.

— I nie słyszeliście go wogóle mówiącego?

— Ależ poczekajcie, kolego! Słyszałem i jego i wielu innych, bo mnie trzymano przez parę dni w pogotowiu do badania. Siedziałem w cy-ta-de-li — tak, panie!

— Mówcież więc — jaki jest akt oskarżenia?

— O ile mogłem wyrozumieć ze śledztwa, panie tego — Piasta oskarży prokurator o mnóstwo spisków i zbrodni Stanu, starożytnych bardzo i nowszych, o recedywę kilkakrotną, a teraz przypisuje mu cały szereg przestępstw i szczególniej wpływów. Jakby chcieli całą rewolucyę zwalić, panie tego, na tę siwą głowę.

Nie mogłem go bronić, gdy mnie nie pytano — ale poznawałem zupełnie cudze akcye w tych, które mu przypisują.

— Któż go będzie bronił przed sądem wojennym?

— Paru tęgich adwokatów pójdzie na ochotnika. Jeden mi mówił — o, przedwczoraj — że dowiedzie niepoczytalności swego klienta. Zacytuje jakieś broszury o »Błękitnej Królowej«, okaże niekonsekwencye w zdaniach, a przytem nieposzlakowaną prawość życia księcia Wojciecha Piasta. Czy on książę?

— Podobno. Nie o to chodzi.

— Adwokat kładzie na to nacisk. Powie o ruinie, o przewrotach w życiu Piasta, o jego podeszłym wieku... Chce niby, panie tego, dowieść, że przez klęski i zmiany losu pomieszało się w głowie staremu. Nie wiem, czy go tem obroni?

— Daj Boże! Ale tymczasem jakże się bronił sam Piast? Co mówił na śledztwie?

— Na indagacye mało odpowiadał — prawie tylko: tak, albo nie. Udziału w dawnych ruchach narodowych nie zapierał się, o nowych spiskach nie chciał mówić, gdy go zapytywano o jego stosunek do nich. Przeczył zarzutom oczywiście fałszywym; czuć było, że mówił tylko rzeczy niezbędne. A wszystko wie! i nie da się wyprowadzić w pole przez zapytania — nie wymienił ani jednego nazwi-

ska! Uczyć się nam od takich twardych ludzi! Ćwik i orator, co się zowie, panie tego.

— Wspomnieliście dopiero co, że odpowiadał przez tak i nie?

— Raz się rozgadał. Usłyszałem, bo mnie widać zapomniano w sąsiedniej izbie. Innych świadków usunięto. A było to, gdy dopuszczono do śledztwa tego Latzkiego, co przyjechał z Berlina. Posadzono go za stołem, pozwolono badać na swoją rękę. — A to figura zapowietrzona! Cóż to mówiliście, że on pół Polaka, że nam pomaga, panie tego?

— Tak się zdawało. No, mówcie dalej.

— Szwargotał po niemiecku i nie zwracał się bezpośrednio do Piasta, tylko do prowadzącego śledztwo lub do prokuratora. Ale widać było, panie tego, że on tu wszystkiem jest, że oskarża i szczuje. Mówił też i głośno, że występuje w interesie swojego rządu, który ma do oskarżonego różne pretensye... Skrzywił się i nadął, jak ta butla w kształcie Bismarcka, żydowskiej fabryki. Przewracał jakieś papiery, z których dowodził, że Piast jest naczelnikiem rewolucyi polskiej teraźniejszej, w Rosyi i w Prusiech — wyobraźcie sobie, kolego!

— I wtedy Piast odpowiedział?

— Wtedy odpowiedział... Zaraz, niech złożę aby dobrze przypomnieć. — — — Dotąd drży

we mnie, kiedy wspominam. — Powiedział Piast:

»Człowiek obcy (tak on nazywał Latzkiego, a tamten jego »oskarżonym«) — Człowiek obcy wystąpił tutaj z delacyą, chcąc swą osobistą zemstę wywrzeć na mnie, iż zwalczam bez ustanku jego knowania, które są przeciw Chrystusowi i przeciw mnie i przeciw wam, sędziowie, którzy mu wierzycie. — Nie zapieram się, że stawiam opór sprzymierzonym rządom. Wszystkie moje roboty są w granicach prawa narodów. Jakikolwiek wyrok dadzą o mnie sądy ludzkie, roboty te pójdą naprzód. Nie ja bowiem niemi kieruję, ale Duch przezemnie«.

O! tak im wygarnął!

— A oni jemu co na to?

— Nic — słuchali. Zaczęli szeptać pomiędzy sobą, panie tego — nie mogłem dosłyszeć. Oficer do prokuratora coś musiał mówić, że podsądny ma pstro w głowie, bo palcem na czole rysował sobie kółka. — Potem przeczytał Piastowi długi referat, tłomaczony z niemieckiego, o jego kryminałach w Berlinie, w Hadze, w Paryżu, w Galicyi — Bóg wie gdzie! Waryat, czy nie waryat, nawojował po świecie niemało, panie tego — a po naszemu: pilnował sprawy, gdzie tylko była.— Więc znowu gdy wysłuchał, powiedział Piast:

»Dokumenta wasze noszą podpisy upra-

wnione i pieczęcie odciśnięte rękoma, które je dzierżą z urzędu. Ale treść aktów jest fałszywa i oszczercza, bo dyktowali je ludzie bez sumień i przerabiacze prawa na narzędzia podłych instynktów swoich, — jako ten człowiek obcy, który usiadł dzisiaj między wami, a gdzie zasiędzie przynosi z sobą przewrotność sądu i splamienie ducha«.

— Tak powiedział Piast na śledztwie?! — zawołałem.

— Chyba że tak?... — odrzekł Wiśniakowski. Harmider się zrobił. Latzki zerwał się z krzesła — rozumie jucha wszystko po polsku — »Jak pan śmiesz — zawołał po niemiecku — rzucać potwarze na człowieka i rządy, którym tylko dobrodziejstwa zawdzięczacie?« A Piast pierwszy raz spojrzał Latzkiemu prosto w oczy — i cicho się zrobiło przez chwilę — i sąd zaniemówił — i Latzki usiadł, drapiąc palcami po stole. A nasz stary tak powiedział:

»Chwila jest, Lejbo Latzki, że trzeba ogłosić prawdę o tobie i o was, bo przebrała się miara liczby i nieprawości waszej. Dopóki władaliście tylko złotem, byliście jeszcze znośni. Gdy przez złoto sięgacie do innych potęg i oplatacie dusze — czas jest otrząsnąć się od was i z wami walczyć«.

— Tu już oficer mu przerwał, Latzki zaś zażądał zapisania do protokółu wyrazów obel-

żywych i potwarczych, skierowanych do urzędnika pruskiego ministeryum. Wyprowadzono potem Piasta, to jest, panie tego, on sam na wezwanie wrócił spokojnym krokiem do więzienia. Wtedy dopiero Latzki zaczął szwargotać zapalczywie, przyciszonym głosem, aż mu gały na łeb wylazły. Oficer i prokurator słuchali go grzecznie, ale niby z przymusu. I wiecie, kolego? — dziwna rzecz! Nikt tam nie zdawał się nienawidzieć Piasta, oprócz Latzkiego. Oficer okazywał mu nawet pewną względność, żołnierze — stupajki usuwały mu się prawie ode drzwi — Ja przecie wiem, jak to nnych traktują po naszych więzieniach! —

— Najgorszy ten rozwścieczony Latzki — zauważyłem — ten zgubić gotów Piasta — — Ale jakże dalej poszedł proces? czy prokurator sformułował już akt oskarżenia?

— Podobno jeszcze nie. Czekają na innych świadków z Berlina. A także mówią między naszymi, panie tego, że Piast jest dawnym oficerem francuskim — —? Kto takiego wie?! I nie mogłem zebrać dokładnych dalszych wiadomości, bo mnie, panie tego... uwolniono. Siedzą tam jeszcze z naszej kolei: Tatur, panna Czadowska, ale dostępu do nich niema.

— Panna Czadowska! czegóż nie mówicie?!

— Nie bójcie się, kolego, nic jej nie bę-

dzie. Właściwie zrobili u niej tylko rewizyę przy aresztowaniu Piasta. Ona sama chciała pójść za nim do więzienia. I zaraz oficer od żandarmów oświadczył jej gotowość do usług. Prosiła tylko, żeby mogła widywać Piasta, jako, panie tego, krewna. Zdaje się, że go widuje.

— A Tatur?

— Ten głęboko siedzi, nie tylko jako świadek.

— Dużo innych naszych nachwytano?

— Rajkowskiego! — I to za tę hecę na Kruczej, przeciw której powstawał!

— A Helda?

— Gdzie zaś! Łazi po świecie — — Ja doszedłem do przekonania, kolego, że my za naszych Żydów to jeszcze, panie tego, zapłacimy — o!

— Mnie się już dawno zdaje...

Kraków, 15 kwietnia 1906.

Teraz, kiedy Piast w niebezpieczeństwie, cały świat polski troszczy się o niego, lamentuje. Póki chodził wolny i działał, zaledwie zwracano na niego uwagę. Zdaje się, że aby stać się u nas wielkim i wływ wywierać — trzeba umrzeć.

Gazety wszystkich odcieni biją w dzwony na trwogę, dopominając się o uwolnienie więźnia. Jedynie żydowskie milczą, ale i te nie śmieją występować przeciw osobie Piasta, który się stał teraz nietykalnym. Milczą również o tej sprawie dzienniki pruskie, inne zaś zagraniczne powtórzyły upominania się o Piasta sympatycznem echem.

Nawet liberalna prasa rosyjska szeroko rozdrukowała płomienną mowę »kadeta« *** na zjeździe stronnictwa, który zasadniczo uwielbia Piasta, stawia go w rzędzie naczelnych duchów słowiańszczyzny, bohaterów istotnej rewolucyi konstytucyjno-demokraty-

cznej, dokonać się mającej na wyżynach federacyi wolnych Słowian. Mówi szlachetnie i odważnie, z obrzydzeniem odcina się od ślepych poglądów innych swych rodaków na sprawę polską. Przypominają się Rylejewy, Bestużewy, Bakuniny!

Tydzień temu rozeszła się wiadomość, że Piasta niema już w warszawskich więzieniach. Podobno rząd francuski upomniał się o niego i wydano go Francyi — — ? Ale potwierdzenia tej wieści niema, naprzykład wzmianki jakiej w dziennikach francuskich, lub choćby odezwy od paryskich Polaków. Wogóle nic pewnego nie wiemy oddawna o procesie, który toczy się pod ziemią, z udziałem podobno różnych wpływów dyplomatycznych.

I prasa nasza wypaliła już, zdaje się, zapas swych fajerwerków na cześć Piasta; pełna jest teraz agitacyi wyborczej do Dumy państwowej. — A Piast może być w najgorszych terminach — — Zdawałoby się, że zapał publiczny zgasł po wypełnieniu swego programu: jeżeli Piast zostanie uwolniony, myśmy to przez nasze głosy sprawili; gdyby zginął, będziemy jeszcze po nim płakali, uczynimy go świętym narodowym — i podchmielimy sobie na stypie.

Żebym wiedział przynajmniej gdzie on jest! Ale co ja mogę? jakie mam wpływy? jakich sprzymierzeńców?

Pozostaje mi stwierdzić, że jestem niczem i rozmyślać.

. . . .

Wiosna idzie, wiosna, najmądrzejszy z przewrotów świata! Ale człowiek tak już daleko odbiegł od zwierzęcia, że nie może być odrodzony i szczęśliwy przez samą przyrodę. Drugie życie, stworzone przez umysł ludzki, jest w działaniach swych na człowieka tak silne, jak życie zwierzęce, ale gorzej znacznie urządzone. Moje mi ciąży przez swą drobność, słabość, bezcelowość.

Gdybym przynajmniej mógł się ogrzać przy tem ognisku, które bucha od Piasta! Poczułbym wiosnę w duszy, zacząłbym znowu wierzyć, że, ruszając się, coś czynię; że idąc, gdzieś dojdę — — »Żeby żyć, trzeba wierzyć« — powiedział mi niegdyś Piast nad owym czarnym stawem w Hadze.

Pewien jestem, że teraz nawet, jeżeli uwięziony pije, zamiast powietrza najnowszej wiosny, stęchliznę grobów, jeszcze w towarzyszach i stróżach budzi święty niepokój ducha, jeszcze wypukanymi alfabetami szerzy przez mury pożogę swego apostolstwa.

To, czego on naucza, nie jest wynalazkiem, nie jest odkryciem bakcyllusa naszej niewoli, ani leczniczego przeciwko niej serum; to tylko nawoływanie głosem wielkim i czystym, abyśmy byli sobą, wierzyli w siebie i rozwijali

się według rodzaju swego. Siła Piasta jest w Duchu, o którym wiecznie mówi, w którego wierzy. Tego Ducha nie on sobie stworzył w retorcie poszukiwacza ciekawości, ani dla przemycania spekulacyjnych dążeń. Synem on jest Ducha wcielonym — my jego synami i wnukami.

Słowa Piasta są odwieczne; doznaje się pokusy lekceważenia ich, jako echa dni przeżytych i skończonych. Jednak stanowią ewangelię narodu mimo wszelkie bunty partyjne i wynudzone literackie pomysły zbawcze.

Czy on, czy dawniejszy jaki hetman powiedział te słowa:

»Wszystkie obowiązki zawierają się na teraz w jednym obowiązku. Tym obowiązkiem jest dla nas ciągnąć dalej żywot wielowiekowy narodu naszego. Nie od nas zaczął się obowiązek leżący na narodzie polskim, nie na nas się skończy...«

Ale nam, buntowniczemu a chwiejnemu pokoleniu, potrzeba aby żył ten, któryby przypominał.

———

Kraków, 19 kwietnia 1906.

Wojciecha Piasta rozstrzelano w Warszawie!

Więc jednak zdarzyć się to mogło!

Ja tu rozmyślałem o Nim, bawiąc się przypuszczeniami, co byłoby i co będzie... Tylko nigdy naprawdę nie przypuściłem możliwości tego ciosu — —

Tak — za wałami cytadeli, bez przewiązki na oczach — pluton żołnierzy — nigdy mnie chyba nie opuści wymarzony obraz tej kaźni!

Tyle za nim głosów, nawet nieprzyjaciół! Tak wyraźnie święty był ten starzec!

I wierzyć tu w Boga? w Opatrzność? w tryumf sprawiedliwości? — —

Ja, który już tylko tego jednego naprawdę kochałem na ziemi, nie mam dzisiaj dla kogo, ani poco żyć — — Zabito wiarę moją w przyszłość. Jako ponęta życia pozostawałaby mi jedynie zemsta. — — I gdyby nawet była wykonalna w spółce z ludźmi tak zrozpaczo-

nymi, jak ja — czuję, że mi Jego cień nie pozwoliłby. Onby mi zapewne powiedział, gdybym był przy jego skonie:

— Odchodzę, aby wypełniły się wyroki. A ty nie imaj się sztyletu ani bomby, tylko wznieć w sobie ducha mojego i rozkrzewiaj go po świecie.

Ale mi nawet nie przekazał wyraźnie tego testamentu. I jestem zupełnie sam.

A On, któremu teraz dopiero gotów byłem oddać życie, już nie istnieje — —

Kraków, 22 kwietnia 1906.

Straszna wieść nie przyszła drogą urzędową. Tutaj przyniósł ją pierwszy Tatur, nasz robotnik, który cudem zręczności uciekł z więzienia z paru innymi towarzyszami. Zapisuję, co ten dzielny człowiek opowiada o ostatnich chwilach Wojciecha Piasta.

— Nasamprzód taki był z nim nasz początek. Wiedzieli my, że on z nami siedzi, ale myśleli: at! jeden więcej, jeden mniej. Ale już na trzeci dzień przeznali my, że to taki pan, co z nami trzyma. Z nowości znał nasz alfabet turemny, jak swój i zapukał do nas, że się nazywa Wojciech Piast, stary ojciec. Tak my go potem i wołali: ojciec.

— A widzieliście go kiedy dawniej, czy tylko w cytadeli?

— Dawniej słyszeli my coś nie coś o nim, a widzieli na jednym wiecu. Et! zawracali nam głowy, że to przebrany zdrajca ludu, szpicel... Wierzyć nie wierzyło się, ale zawsze

wątpienie mieliśmy w sobie, czy to on dla nas robi, czy tylko dla burżujów i szlachty. A to jest wcale inny, niż tamte... No, więc widywali my jego teraz codzień o tej samej godzinie, kiedy jego wyprowadzali na »pragułkę«. Jest takie miejsce na podwórzu, gdzie widać go było z najwyższej szyby naszego okna przez czas paru oddechów. Ja zawsze wtedy ostrożnie stawałem na stole, albo i na barana mnie który wziął i podsadził. Bo okna z mętnego szkła na parterze, tylko górna szyba czysta. I wołałem do swoich: Zbierajcie się chłopcy, bo już ojciec prostuje sobie giry! — niby że to nas zaraz po nim wypuszczali na »pragułkę«.

— Piasta zaś wypuszczali samego?

— Zawsze sam szedł, w chłopskiej czapce, ale w płaszczu to jakby wojskowym. Zajadły dziad — bo przecie był podobno w trzech rewolucyach, a chodzi silnie, aż dudni. Spacerował sobie galanto, jak ten generał, co go wszyscy słuchają. I kiedy przeszedł nam przed oczami ostatni raz, taki sam! Aż dziwno wspomnieć — —

— Wiedzieliście, kiedy się to stanie?

— Od niego wiedzieliśmy. Pukał on nam przez ściany całe litanie! — — Jako to my rycerzami pracy być powinni, nie mordu i gwałtu — — jako nie słuchać mamy nieprzyjaciół Chrystusa, bo nieprzyjaciółmi są

ludu i ojczyzny... To jeden z naszych, kpiarz psiakrew, zapytał go raz: »czy ojciec ma parafię? a dochodną?« A on mu odpowiedział: »nie drwij, synu, bo rychło ojca na śmierć poprowadzą; dziedzictwo nasze wspólne, dzieliłem je z wami. Co jeno mam, życie moje oddaję dla was; gdy odejdę, jeszcze życiem mojem dychać będziecie«. — Tak mu rzekł, jakby go w pysk zamalował. — — Trochę jak z książki gadał, ale mądra głowa była i przyszłe rzeczy wiedział. On nam nawet wyjawił, kiedy korytarz i brama nie będą strzeżone — dalibóg! I przepowiedział, że po jego egzekucyi będzie zamieszanie w głowach »naczalstwa« i sołdatów, że strach padnie na nich, a wielka burza będzie na niebie. To my właśnie wtedy i tamtędy...

— A gdy go prowadzili na śmierć, widzieliście go?

— A gdy go prowadzili, to szedł, jak się rzekło, tak samo, niby na tę »pragułkę«. Nie związany szedł i nie w tej śmiertelnej siermiędze, w swojem zwyczajnem ubraniu — na rozstrzelanie — takie już miał podobno przed innymi łaskawe pozwoleństwo. I bębny nie huczały, jak zwykle, co to głuszą te wrzaski i przekleństwa, które skazani z siebie wyrzucają, kiedy już idą za wały. Stary cicho szedł. — A znał on dobrze miejsce, gdzie go było od nas widać i my wiedzieli przez jego

pukanie, że to był ten dzień. Wdrapali się my, jak kto mógł najwyżej do górnej szyby i patrzyli bez oddechu. Kiedy się nam pokazał przechodzący, to już na nas patrzył i podniósł rękę i wielkim krzyżem nas przeżegnał. A i taki jeden między nami, co nie chrzczony był od dziecka, i ten się przeżegnał. To my już tylko do murów przykładali ucha, żeby usłyszeć. I trwało pewnie z kwadrans, że słuchaliśmy, pary z ust nie puszczając. Aż kiedy gruchnęło głucho, jakby kto z długiej szufli węgla do ognia podsypał, a potem drugi raz tak samo, to my się zbiegli na środku izby i spojrzeli sobie w otwarte ślepia, bo każdy już wiedział, że się stało...

Opowiadał potem Tatur historyę ucieczki swojej i trzech jeszcze towarzyszów, która wygląda na bajkę. A przecież jest prawdą namacalną. Sam trzymałem w dłoni zacną, rogiem od pracy podszytą, prawicę Tatura.

Fakt rozstrzelania Wojciecha Piasta potwierdza i panna Czadowska, która przyjechała tu wczoraj. Dziwna istota! Przybladła tylko od parutygodniowego siedzenia w więzieniu, gdzie się dostała z własnej woli, ale rzekłbym, że nie straciła humoru — — ? Przycichła trochę, uśmiecha się jakoś nienaturalnie — —

A przecie widziała ona Piasta kilka razy w więzieniu i w przeddzień kaźni! Potwierdza datę jego śmierci i wszystko, co dobyć można z jej zaciętego, niepokojącego uśmiechu, zgadza się z opowiadaniami Wiśniakowskiego i Tatura. Tylko zapadła w znieczulenie jakby snu magnetycznego. Odpowiada składnie i nie obłędnie, lecz nie chce, widać, zadawać się z nikim, ani nawet ze mną. Jednak nie okazuje mi wcale niechęci.

Przyjechała tu — mówi — aby odpocząć od mąk warszawskich i aby się doczekać kogoś, z którym znowu do Warszawy powróci. Kto to? — nie chce powiedzieć.

Widywałem ją tak często i tak niedawno, tak dobrze znałem jej życie i aspiracye, że nie przypuszczam możliwości jakiejś zmiany w jej egzystencyi lub w kierunku jej umiłowań — —? Ostatnią jej namiętnością — już ci idealną — był Piast — — Więc teraz, gdy on zginął, co znaczy ten uśmiech panny Zofii zakochany w przyszłości, ufny i pełen tajemniczych projektów? Dni następne może mi wyjaśnią tę zagadkę, która mnie mocno zajmuje i poniekąd drażni, bo chociaż do poufniejszego udziału w życiu panny Zofii nie roszczę sobie prawa, ona przecie jest ostatnią osobą, którą Piast wyróżnił, jako krewną i przez to tem bardziej jeszcze moją siostrą.

Gdym ją tu ujrzał niespodzianie, ucieszy-

łem się. Będzie z kim — pomyślałem — choć mówić o Piaście — albo i założyć towarzystwo jego imienia, szkołę Piasta!

Powiedziałem coś podobnego pannie Zofii, a ona mi na to:

— Bez Niego ani kroku w życiu dla ogółu nie postawię.

Ależ jego niema! Więc cóż dla nas? wspominać, składać go z okruchów jego zdań, stawiać mu pomnik? To zamało na życie i nie zgodne z jego przykazaniami.

Chciałem się dowiedzieć od panny Czadowskiej, czy nic nie pozostało po Piaście w formie rękopisów, choćby listu testamentowego? — Nie wie. — Więc o czemże mówili w godzinach tych bezcennych, przedśmiertnych? — — Znowu ten uśmiech tajemniczy, nareszcie już niemądry! Szlachetna to istota, ale zawsze tylko kobieta. Gdybym tam był z Piastem na jej miejscu!

Ani owej »Teogonii«, która pod symbolami zawierać mogła cudowny poemat albo i księgę proroczą — ani syna, rodzonego dziedzica duszy — ani piędzi ziemi własnej, gdzieby odnaleźć można dotykalne ślady pracy osobistej, choćby drobne pamiątki — — nic, nic!

Po drogach był przez całe życie, śród bitew ciał i bitew dusz — siał uparcie ziarna w lotny piasek naszego zmysłu historycznego. Mało co wzeszło — —

Pragnący szczęścia milionów, a nienawidzony przez wielu! Ci, którzy go kochali, bronili go słowami tylko; od zguby nikt go nie obronił.

I przeminął, a my zostaliśmy!

Kraków, 27 kwietnia 1906.

Mam prawdziwy kłopot z biedną panną Zofią, której stan zdrowia jest zatrważająco enigmatyczny. Nie schnie, ani więdnie; owszem górski klimat i wiosna ożywiają z dnia na dzień jej kwitnącą młodość. — Ale gada nie do rzeczy.

Chodziła sama na długie przechadzki w okolice miasta; po paru dniach dopiero uprosiłem ją, nie bez trudności, aby mi pozwoliła sobie towarzyszyć. I rozmowa powracała oczywiście do Piasta, tylko w formie takiej, że zacząłem powątpiewać o stanie umysłu tej wyjątkowo do niedawna roztropnej kobiety.

Panna Zofia mówi o Piaście tak, jakby on »odszedł« tylko, lecz nie zginął. Bierze dosłownie jego wyrażenie, które i ja słyszałem, ale rozumiem oczywiście jako przenośnię. A zarazem przyznaje, że Piasta rozstrzelano; wie o tem, choć nie była już w więzieniu, bo w przeddzień wykonania wyroku kazano

jej cytadelę opuścić. Widziała się, już w Krakowie, z Taturem; wypytała o najdrobniejsze szczegóły z ostatniego dnia Piasta. I przyjmując je do wiadomości bez rozpaczy, bez nadmiernego wzruszenia, powtarzała tylko:

— Tak... tak miało być...

W pierwszych dniach rozmawialiśmy wogóle mało i nie swobodnie. Ale na trzeci dzień usłyszałem takie zdanie:

— Panie Tadeuszu! My tu nie na lamenty przyjechaliśmy, ale na odpoczynek przed nową pracą. On powróci! On mi obiecał!

Spojrzałem na nią. Oczy miała jasne, ideowo namiętne — —

Nazajutrz sprowadziłem podstępnie do panny Zofii znajomego mi profesora, psychiatrę. Wywiązał się dobrze z zadania. Pragnął się tylko przedstawić pannie Czadowskiej, jako krewny jej krewnych i zainteresowany w wielu robotach społecznych w Królestwie. Był dostatecznie swobodny i wcale nie natarczywy w zapytaniach; lekko naprowadził rozmowę na temat Piasta, którego był i jest wyznawcą — — Dodać trzeba, że panna Zofia przed obcym zupełnie człowiekiem była w wynurzeniach powściągliwsza; jednak ani słowem nie zaprzeczyła swemu przekonaniu, że Piast dotychczas istnieje.

Rozmówiłem się z profesorem bezpośrednio po tej wizycie.

— Cerebracya panny Czadowskiej — powiedział mi — nie jest dotychczas bynajmniej wadliwa, oprócz na tym jednym punkcie. Stwierdziłem już takie objawy chwilowego porażenia mózgu przez szereg bardzo silnych i jednolitych wrażeń. Może to być ten wypadek, może zachodzić uporczywe ukrywanie jakichś powiadomień, sprzecznych z wieścią rozpowszechnioną o śmierci Wojciecha Piasta, powiadomień, których my nie znamy? Mogą wreszcie być te powiadomienia fałszywe, lub problematyczne, a nasza znajoma czepia się ich, jako deski zbawczej dla uratowania swych ukochanych złudzeń. Spotkałem w mej praktyce dużo pacyentów wmawiających w siebie wierzenia niemożliwe, lecz pożądane. I ten stan umysłu przejść może w monomanię.

— Cokolwiek więc to jest, jaką pan profesor zaleca kuracyę pannie Czadowskiej?

— Ach, żadnej! Panna, jak łania. Sama zmiana miejsca i wrażeń ją uleczy. Możnaby ją co najwyżej zająć innym szeregiem myśli, wzbudzeniem nowych uczuć... To już pana rzecz.

Odpowiedziałem bardzo poważnie:

— Muszę dodatkowo powiadomić pana profesora, że wszystko, co mnie łączy z panną Czadowską, to paroletnie koleżeństwo w biurze i w niektórych pracach ogólniejszych. W ostatnich zaś czasach związkiem między

nami był właśnie Wojciech Piast, krewny nas obojga.

— O tym radziłbym mówić, jak najmniej. To właśnie szkopuł, który trzeba omijać. Ale pomnożyć wrażenia wesołe — jest przecie wiosna — przechadzki, może jaka podróż? — — A wreszcie, młodzi państwo jesteście oboje i zdajecie się z sobą sympatyzować. Pobierzcie się — to sposób radykalny.

— O tem mowy być nie może. Jesteśmy tylko rozbitkami, przypadkowo na jednej desce...

— To właśnie — wzajemna pomoc i kuracya. — Przepraszam zresztą za rady. przechodzące zakres mej kompetencyi, jednak płynące ze szczerej życzliwości. — Co do panny Czadowskiej, nic jej nie zdaje się grozić, jeżeli wyjdzie z koła swej obsesyi.

Najlepsi ludzie ci lekarze! Ale w trudniejszych zawikłaniach hygienicznych ich porady równają się temu, co wie każdy człowiek przy zdrowych zmysłach. — I ta ich poczciwa, generalna recepta dla młodszych: żeńcie się! — W naszym wypadku — choć ja o radę nie prosiłem — cała mądrość kochanego profesora na nic. Ani mnie, ani pannie Zofii w głowie małżeństwo. — — Napróżno zapłaciłbym za wizytę pięć guldenów, gdyby je profesor był wziął. Ale ich nie chciał przyjąć od znajomego. To także właściwość polskich lekarzy.

Chodzimy tedy na przechadzki z panną Zofią. Smutne wędrówki, w których wiosna, piękniejsza w tym prapolskim kraju, niż gdzieindziej, kłóci się z marami nas prześladującemi. Choć przyznać trzeba, że w naszej parze panna Zofia jest, w porównaniu ze mną, elementem wesołym. Pierwszy raz ją widzę w rozkosznym krajobrazie, nie w tem ohydnem naszem biurze i na krwawej ulicy. I jakby na przekorę świeżej naszej żałobie, nie nosi swej zwykłej czarnej sukni; ubiera się jasno, kwiaty zebrane po drodze nosi w ręku i na kapeluszu. — Primavera polska, lepiej, niż Botticellowska, narysowana i bliższa nas.

W zachowaniu się jej niema zalotności, jest nawet jakby negacya przypuszczenia, żeby mnie chciała się podobać. A stroi się w kwiaty, uśmiecha się w dal, jak narzeczona czyjaś — nie moja. Już mnie to nawet zaczyna korcić. — Czyżby rzeczywiście w jej sercu, na pół zamkniętem dla mnie, zaszło coś takiego, co je napełnia nadzieją i ochotą do życia?

I jak tu wyłączyć wspomnienie o Piaście z rozmów naszych? Wszędzie jest Piast!

Na Wawelskim zamku panowali przodkowie jego, śpią w podziemiach ich godła królewskie, przywarte do kości świętych, okadzonych uwielbieniem milionów — —

Albo raczej Piast żyje w tem dzielnem

pokoleniu, które się rusza i śpiewa na Podgórzu, Skalmierzu, Łobzowie — — Stąd wyszli praojce jego, wstąpili na Wawel i na szczytach wygaśli, ale bujnie plenią się w dolinach, gotowi znowu wzbić się w dumę i chwałę. Ilu to już spotkaliśmy krzepkich, jak dęby, mężów w barwnych sukmanach, którymby tylko płaszcz na ramiona i słowo wyższe w usta — a byłby On!

Stąd, od bramy królewskiego tumu, przemawiał Piast, witając wchodzącą trumnę Króla pieśni, który był pogrzebion na obcej ziemi i powrócił między swoje i żyje dotąd i hetmani. A dzwon Zygmuntów nad samą trumną Wieszcza z czeluści swych dał głos przez wszystką ziemię polską: na wieki! na wieki!

Piast w tem wszystkiem jest — —

Tak sobie poetyzujemy wspomnienie Piasta z panną Zofią — tylko ona z wiarą żarliwą, ja bez wiary.

Kraków, 3 maja 1906.

Niech i ja będę waryatem! wszystko mi jedno! Albowiem życiem, na jedną tylko dobę przyszłości obliczonem, oddychać nie mogę. Niech będę waryatem, jak panna Zofia, jak On!

Wytrysły zewsząd wieści, niby młode liście po wiosennej burzy: Piast żyje! — —

Widziano go na polach mazowieckich i wielkopolskich i małopolskich, wędrującego od wsi do wsi ze słowem uśmierzenia przeciwko zazdrosnym wołaniom o cudzą ziemię, słyszano przepowiadającego ojczyznę sennym polom — — Świadczą siermiężni mówcy, oracze i kowale przyszłości. Podnieśli głos uczniowie Piasta na zebraniach gminnych, stanęli murem przy nauce Jego, poszli w dalekie na Wschód poselstwa z Jego przykazaniem.

W takim obrazie, nie sennym, lecz dotykalnym i pachnącym ziemią, stoi mi przed oczyma Piast. Przed osadą prapradziada - kołodzieja, pod lipą sądową i królewską, dokoła

Wojciecha Piasta gromada. Nie obleczony w purpurę — w szarym, wędrownym płaszczu — radzi Piast z wiecem, rozszerzającym się na miliony głów wiejskich i miejskich. On jeden panuje, pierwszy między równymi, obrany zgodnym okrzykiem serc uświadomionych. On jeden jest szczytem, do którego dążą zestrzelone myśli ludu. — Przed majestatem liczby i zgody korzą się serca synów zbuntowanych, cofają się zakusy wrogów ościennych aż do krańców, które Duch Najwyższy przeznaczył dla Polan, dając im Piasta za wiecznego stróża.

I głośno znów o Piaście w miastach wielkich zachodnich, gdzie prawa ludów pozostały w zachowaniu. W Paryżu ogłosił Piast drukiem dzieło o Sprawiedliwości, w Londynie — o Równowadze europejskiej, oba dowodzące niemożliwości przedawnienia sprawy polskiej, oba poparte przez Francyę i Anglię. Nawet Rzym papieski, zapatrzony w nieziszczalny miraż nawrócenia Rosyi, roztkliwił swe serce powszechne nad losem najwierniejszego syna, który nie umarł i nie chce umierać.

Czyżby inny mógł to sprawić, niż Piast, najupartszy z nieszczęsnych, największy w dziejach tryumfator z pomiędzy zwyciężonych? — — Rozpęd siły jego pośmiertnej i nieśmiertelnej? — czy On sam? — — —

Ależ z Warszawy ludzie wiarogodni przy-

noszą tu opowieści, jako widzieli Piasta, dotykali szat jego i ręki, słyszeli słowa!

Jeden mówi:

— Piast ukrywa się w warsztatach, nawołuje robotników do pracy — —

Drugi mówi:

— Niby cudem godził Piast głosy przy wyborach — —

Trzeci donosi:

— Gdyby nie Piast, bogacze nie otworzyliby kies swoich na pomoc głodnym, na nowe szkoły, na wołające potrzeby społeczeństwa — —

Wszędzie On żyje i działa!

Ujrzę go! Czekać nie będę, aż mi się zjawi na sennych drogach mego życia. Wyjdę naprzeciw niego tam, gdzie go zdybać najłatwiej: powrócę jutro do upartej roboty warszawskiej — —

Spotkam go zaraz — to mi będzie wielką nagrodą; nie spotkam — zgodzę się i na taki los. Noszę w sobie jego wiarę i przykazania żywe. Jestem już tylko legionistą na służbie Błękitnej Królowej — —

. . . .

KONIEC.

